

Egon Bondy

Szaman

Korporacja Ha!art
Kraków 2012

I. Obóz

1

Szaman rozsunął pokrycie namiotu i rozkaszał się. Choć zbliżało się południe, utrzymywał się nocny przymrozek, którego przenikliwy chłód drażnił jego oskrzela. Zmęczony i zniechęcony rozejrzał się po obozie. Przed namiotem leżała wielka kałuża pokryta lodowym skrzepem. Szaman wiedział jednak, że gdy tylko na nią wejdzie, wpadnie w błotnistą wodę aż po kostki. Wszędzie wokół też było błoto, rozniesione przez ludzi, którzy biegali od świtu tam i z powrotem; wszystko było nim pomazane. W powietrzu wyraźnie wyczuwało się przedwiośnie – cała osada zwariowała na tym punkcie. Obok czaszki niedawno upolowanego mamuta, leżącej odłogiem w bagnie na środku obozowiska, chłopcy grali w berka czy coś podobnego, a kobiety, wyszedłszy przed namioty, łątały stare ubrania i nuciły. Szamana w ogóle to nie wzruszało. Z rana musiał skorzystać z toalety, od której dzieliło go morze błota. Miał na sobie tylko stare buty, których nie chciał zamoczyć. Poza tym, jak zawsze przy zmianie pogody, bolało go lewe ramię.

Miał nadzieję, że ziemia za obozem będzie jeszcze zamrznięta, zrobił więc długi krok... prosto w wodę. Szybko z niej wyskoczył i pobiegł na upatrzone miejsce w krzakach za namiotem. Gleba rzeczywiście była tam jeszcze twarda. Ze spuszczoną suknią siedział na kłodzie, którą sam kilka lat temu położył na dwóch pniakach. Skonstruował ten, tak często wyśmiewany przez innych, wynalazek, bo kucanie stawało się dla niego z wiekiem coraz trudniejsze. Siedział i powoli wywoływał skurcze, uruchamiając gastromaszynę. Pomyślnie wypróżnienie miało wpływ na jego błyskotliwość i nastrój w ciągu dnia, a dziś zdecydowanie nie zamierzał babrać się jeszcze raz w błocie. Powoli dłuwał w nosie i obserwował życie w osadzie.

W kałuży przed namiotem plątał się młody chłopak przypominający stracha na wróble, ubrany w wyliniałe i doszczętnie zużyte skóry. Sprawiał wrażenie, jakby sprawdzał, czy kałuża jest głęboka i ile błota może przyłgnąć do nóg człowieka. Szaman westchnął, docisnął resztę i ryknął:

– Zostaw to! I nie waż się tego przynosić do domu!

Potem znów kilka razy pokręcił głową i westchnął cicho z rezygnacją.

To kamerdyner Kukułka – jego kara na stare lata. Skierował on uwagę szamana na tor rozważań o pochodzeniu rozumu – temat, który w ostatnim czasie mocno go niepokoił. Jednocześnie poczuł, że czas kończyć, bo wycisnął już wszystko. Wstał, naciągnął suknię i w zamyśleniu spoglądał na parujące odchody, jakby zastanawiał się, czy ta nowo stworzona rzecz nie komplikuje zanadto i tak już nieprzejrzyste złożonego świata. W rzeczywistości natomiast sprawdzał, czy ich ilość odpowiada ilości wczorajszego pożywienia, a zatem, czy nie będzie musiał wkrótce powtórzyć całej operacji. Nie można było nic wywnioskować na temat jego poglądów w tej kwestii, ponieważ ciągle wyglądał na tak samo zniechęconego.

Gdy wrócił do namiotu, Kukułka, zerkając na niego z pokorą, choć też z radością, posłusznie wycierał nogi o drewniany wieszak. Szaman chciał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką i wszedł do środka.

Przez chwilę grzebał sobie między zębami, ale stwierdził tylko to, co już wiedział – brak mięsa i korzonek. Wprawdzie nad ogniskiem wisiał zupełnie szerniały, wędzony szczur, ale pełnił on rolę zapasów na czarną godzinę. Teraz – w wyniku wiosennych powodzi, które uniemożliwiały łowy – jeszcze czarniejszą. Trzeba wyruszyć do osady.

Jakieś dwa lata temu, gdy dokwaterowano do niego Kukułkę, myślał, że oszczędzą mu obowiązku biegania za jedzeniem. Ale już po pierwszym miesiącu wiedział, że była to złudna nadzieja. Początkowo Kukułka chodził po wszystko, co przekazywano szamanowi, ale z czasem mieszkańcy osady zaczęli sobie z niego żartować i w rezultacie – oprócz tego, że mężczyźni spuszczaali mu manto, a kobiety obrzucały odpadkami – Kukułka nie dostawał nic. Porażka. Szaman skarżył się kilka razy u naczelnika. Nie pomogło. Naczelnik nie mógł interweniować w takich błahostkach, nawet gdyby chciał. A przecież nie chciał.

Szaman musiał zatem znowu pójść sam. Kukułka tymczasem gnił w namiocie, zbijał bąki i czekał na to, co mu przyniesie. Nie miało sensu zabierać ze sobą tego nedorajdy. Jeszcze nigdy szaman nie dostał więcej jedzenia, niż byłby w stanie unieść. Tylko w okresie mamucich godów Kukułka zdołał zgromadzić jakieś zapasy na drzewach za namiotem szamana.

Szaman wyszedł przed namiot i znowu zaczął kasłać. Rozglądał się otępiąłym wzrokiem po obozie. Ogarniający go bezwład często trwał przez cały dzień. Wkurwiała go to i nie umiał tego zrozumieć. Nie należał bynajmniej do najstarszych mieszkańców obozu. Zakładał, że przeżył około pięćdziesięciu czterech zim, a mężczyźni, którzy razem z nim dorastali, byli teraz myśliwymi w sile wieku. Ostatecznie wyglądem zbytnio się od nich nie różnił. Więcej nawet – ponieważ przez całe życie nie pracował, na pierwszy rzut oka wyglądał na mniej wyczerpanego i młodszego. Podczas gdy każdy z jego rówieśników – o ile jeszcze żył – miał już kilkakrotnie połamane wszystkie kości, często bardzo szpetnie zrosnięte, jemu, oprócz tego lewego ramienia, nie dokuczało nic. Myśliwi w jego wieku byli na oko krzepcy i zwinni, ciągle za czymś latali lub przynajmniej kłócili się i wdawali w bójkę, przejawiając w ten sposób szczerą chęć do życia... a on był zmęczony. Dawno już przestał pić wywar z muchomorów, po którym na drugi dzień człowiek czuje się, jakby dostał po ryju; zrezygnował też z grzybów halucynogennych, znanych tylko jemu i używanych wyłącznie przy okazji niezbędnych szamańskich obrzędów. Natomiast jego rówieśnicy byli naćpani niemal cały czas. Kobiety też. Żarli tego tyle, że nawet największe zapasy muchomorów, wiszących na ścięgnach reniferów w najokazalszym miejscu namiotu, mało komu starczały na cały sezon. Już na wiosnę większość skubała resztki. Kobiety włóczyły się po lasach, jak tylko pojawił się pierwszy grzyb, choć jeszcze przez pięć miesięcy po przesileniu wszędzie leżał śnieg. Szaman zastanawiał się, czy nie ma jakiejś ukrytej choroby i doszedł do wniosku, że w grę wchodzi jedynie schorzenia serca lub głowy, bo pod każdym innym względem – z wyjątkiem tego ramienia – był zdrowy jak renifer. Ostatnio zaczął jednak odczuwać dziwne rzeczy, które widocznie brały się z tego zmęczenia i przemieniały go – coś, czego nie rozumiał, ale co było całkiem oczywiste, uchwycone w stanie jasnego, choć płonącego umysłu. Był to przedziwny płomień, płomień lodowy, ale lśniący blaskiem. Nie

wiedział, czy ktokolwiek doświadcza tego ognia, bo gdy przy spotkaniach z kolegami z innych obozów ostrożnie podejmował ten temat, oni zupełnie go nie rozumieli. Pytał sam siebie, czy naturę tego płomienia zrozumiałaby Muszka.

Teraz jednak stał przed namiotem, ciągle w przemoczonych mokasynach, i rozglądał się, z którego namiotu ulatuje dym i gdzie jest go najwięcej.

Najwięcej dymu unosiło się oczywiście nad namiotem naczelnika. W ostatnim miesiącu szaman bywał tam niemal regularnie, dlatego zdecydował, że lepiej zostawić go na gorsze czasy. W kilku innych namiotach także się kopało. Kobiety szykowały obiad, bo w czasie gdy szaman rozmyślał w toalecie, zrobiło się południe. Poza sezonem łowieckim faceci opychali się dwa razy dziennie, nie tylko na noc. Zrobił ostrożny krok, znowu wpadając do tej wielkiej kałuży. Nogi mu skostniały. Po raz kolejny obiecał sobie, że każe Kukułce nzbierać kamieni i wybrukować mokradło przed namiotem, tak jak zrobili to wewnątrz. Możliwe jednak, że cały wysiłek pójdzie na marne, bo jak tylko ruszą roztopy, kamienie utoną w bagnie, pozostawiając kałużę w tym samym miejscu. Wyobrażenie kamiennych ścieżek między namiotami należało do jego ulubionych. Doczłapał do swojego celu, wciąż myśląc o błocie i o tym, jakby to wyglądało.

– Długa ta zima w tym roku, tak długa, że podobnej nie pamiętam – zagaił do siedzącego na kle wielkoluda, który przycinał strzały. Był to właśnie jeden z jego rówieśników. Szaman wiedział, że przeżył dokładnie tyle zim co on, ale wiedział również, że wielkolud nie pamięta nawet, czy zima była krótka, czy długa. Ostatecznie to szaman był od tego, żeby pamiętać. A on żonglował historią, jak mu było wygodnie. Nawet naczelnik nie mógł tego kontrolować. Szaman wiedział, że może palnąć, co mu się żywnie podoba.

– Zima zimą, ale nadchodzi wiosna, trzeba się będzie nabiegać przy polowaniach; żeby łowy się powiodły, potrzebne będą przede wszystkim potężne zaklęcia. Bez Pani Zwierząt nikt się nie obejdzie, nawet największy siłacz – ciągnął dalej szaman, przysiadłszy na kle. Wielkolud przerwał pracę i potakiwał uważnie.

– Wiem, że zimą zgubiłeś swój magiczny naszyjnik – czas, żebym przygotował ci nowy. W okresie przedwiośnia muszę zapewnić pomyślność wszystkim myśliwym. Czeka mnie mnóstwo pracy! Będę rozmawiał z Panią Zwierząt o każdym myśliwym z osobna i nie wolno mi będzie opuszczać namiotu!

Wielkolud słuchał w skupieniu, choć słyszał to każdego roku. Szaman dzwonił naszyjnikami, kośćmi i amuletami, którymi się obwieszał; właśnie przez te naszyjniki, kości i amulety nikt nie mógł zobaczyć, w jak opłakanym stanie jest jego futro; porządny myśliwy już dawno by je wyrzucił.

Tymczasem ubiór szamana wydawał się wszystkim bogaty i reprezentacyjny.

– Będę do ciebie wysyłał Kukulkę po jedzenie – poślę go jeszcze dziś, a ty zadbaj o to, żeby kobiety nie podrzuciły mu śmieci, bo najedzony odpadkami nie mogę rozmawiać z Panią Zwierząt. Dobrze o tym wiesz! – podkreślił szaman, jakby wielkolud rozumiał to lepiej niż inni.

A on znów z powagą przytaknął.

– Co tam się piecze? – zapytał szaman, gdy doszedł go zapach z namiotu.

– Miałem jeszcze zamrożone żołądki reniferów – odparł bez żadnej dumy myśliwy.

– Trzeba je szybko zjeść – powiedział szaman. – Mróz utrzyma się pewnie jeszcze przez kilka dni, ale dziś w nocy miałem sen o brudnej wodzie, co oznacza, że lada moment zaczną się roztopy i powódzie. Powinieneś wyrzucić wszystko, czego nie zjesz. Pospieszcie się z tym! Będę przysyłał Kukułkę. Zaraz go tutaj zawołam, a ty w tym czasie przygotuj zęby do nowego naszyjnika.

Postawny myśliwy przytaknął. Kiedy szaman poczłapał dalej, wielkolud wysłał kobiety do spizarni po dwa dodatkowe żołądki reniferów.

Szaman rzeczywiście człapał po błocie; nogi miał już tak mokre i przemarznięte, że udał się przez środek placu do kolejnego namiotu, nie zważając na nic.

Dowiedział się, co gotują i zamierzają gotować oraz przypomniał surowo, że za siedem dni zostanie sam w namiocie, skąd będzie wysyłał Kukułkę. Przypilnował, żeby senior rodu siedmiokrotnie naciął jeden ze słupów podtrzymujących namiot i poszedł dalej. Na bardziej odległą przyszłość nie mógł już nic zaplanować. Miał tylko nadzieję, że w ciągu dwóch tygodni nie zeżrą wszystkiego i że wciąż pozostanie jeszcze naczelnik, a upływ czasu sprawi, że być może w końcu zakwitną pąki, które nazbiera Kukułka, jeśli sytuacja stanie się krytyczna.

Nie był jeszcze głodny, więc nie spieszył się do domu. Osada leżała na wzniesieniu u zbiegu dwóch rzek, które teraz można było wprawdzie przegrodzić kamieniem, ale które w okresie wiosennych i letnich powodzi były w stanie zatopić błonia aż po sam horyzont. Po równinach gdzieś tam rozsiadane były krzaki, tu i ówdzie widniało jakieś drzewo, ale poza tym ziały one teraz pustką, pokryte w większości brudnym śniegiem, równe jak dłoń i zachęcające co najwyżej do ziewania, choć latem co krok pstrzyły się nory królików i innych zwierząt. Nadawali się wyłącznie do tego, żeby z daleka wypatrzeć mamuta lub stado reniferów; szaman potrafił to robić, choć nie było to jego zadaniem, ale pamiętał o tym, bo mamuty i renifery pojawiały się coraz rzadziej. Zamiast nich na horyzoncie dostrzec można było tylko wilcze watahy pokonujące kilkadziesiąt mil dziennie w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Z dzieciństwa szaman pamiętał mgliście stada reniferów sunących wolno na odległość strzału od obozowiska, stada, które wlokły się noga za nogą, nie robiąc jednak na nikim żadnego wrażenia. Coś do tego doprowadziło, a im cięższe były zimy, im bardziej deszczowe lata, tym więcej uwagi zwracali na to szamani. Każda myśl o tym drażniła go. Rok po roku badał przyczyny tego stanu rzeczy, podobnie jak jego znajomi w innych osadach, ale nikt nie wpadł na sensowne wyjaśnienie. Szaman nie uważał się za najlepszego w swoim fachu, ale wiedział również, że nie jest najgorszy. Być może mądrzejsi byli ci, którzy wynieśli się ze swoimi rodzinami. Trafiło się już kilku takich i mimo że nikomu za żadne skarby nie chciało się przeprowadzać, szaman zastanawiał się, czy nie byłoby to dla niego lepszym rozwiązaniem. Obóz nie należał jednak do najliczniejszych, a zdobywanie nowych terenów łowieckich w czasie upalnej wędrówki mogło okazać się zadaniem ponad jego siły. Dalej więc siedzieli tam, gdzie tkwili ich przodkowie od momentu stworzenia człowieka, brodzili w błocie zimą i latem, nie widując przez wiele miesięcy słońca i zapadali na wstrętne choroby oczu przez dym w namiotach, gdzie na dodatek przez większość

roku panował mróz. Wiosną jednak step mienił się licznymi kolorami, był barwniejszy niż cokolwiek, co dane było szamanowi zobaczyć lub co byłby w stanie narysować. W żadnej innej porze roku nie widywano takich kolorów. Były to bezużyteczne kwiaty, które nie interesowały ani myśliwych, ani kobiet zajmujących się zbieractwem. Szaman nie mógł jednak przeoczyć ich przedziwnego piękna i wdzięku. Dla Kukułki wszystkie były jednakowe, dlatego szaman sam chodził je zrywać, a potem, zaplecione w wianki, wieszał wokół swojego namiotu. Umiał nawet rozpoznawać je powonieniem; nie mógł się tym jednak z nikim podzielić, ponieważ dla pozostałych był to taki sam smród, w przeciwieństwie do zapachu zwierzęcego stolca i moczu, które wprowadzały każdego w podniecenie. Szaman zastanawiał się, czy Muszka też rozpoznaje zapachy kwiatów.

Po jednej ze stron za osadą zaczynał się las. Zbierano tam chrust, karczowano drzewa na skraju, kiedy upolowano dorodną sztukę, wydłubywano korzonki i szukano grzybów. Szaman przez całe lato uzupełniał tam zapasy narkotyków oraz zbierał potrzebne mu kości małych zwierząt i ptasie pióra. Tylko Bóg jeden wie, że w ostatnich latach zaniedbał ten obowiązek, przywiązując do niego coraz mniejszą wagę, ale musiał mieć coś pod ręką, więc latem buszował tam Kukułka. I tak się cieszył z wolności, że spędzał tam czasem cały dzień; przestraszony wracał do domu na noc, zapomniawszy wykonać zadania, i zbierał lanie. Czarna ściana lasu na północy nie wyglądała teraz zbyt zachęcająco. Więcej nawet – wydawało się, że ciągnie od niej większy chłód niż z równiny, na której mroźnie pohukiwał wiatr. Tak czy siak: mimo iż zimowy las nie podobał się szamanowi, ciągle pozostawał on źródłem pożywienia, nawet w okresie mrozów. W czasach, gdy szaman był jeszcze dzieckiem, żaden myśliwy nie drgnąłby nawet na widok królika; teraz wszyscy wzięli się za tropienie, wymyślali pułapki, przeszukiwali nory jak krety i polowali na wiewiórki i dzięcioły, tak jak latem na stepie kobiety polowały na świstaki i myszy.

Szaman doszedł mimowolnie do najwyższego punktu obozowiska; dreptał w miejscu na przemarzniętych nogach i rozglądał się wzdłuż horyzontu z niewesołą miną. Nie było na co patrzeć. Pod niebem zawieszonym na odległość strzały i szarym jak kamień ciemność rządziła niepodzielnie, więc prawie zbędna stała się zamiana dnia z nocą. Znowu spadnie śnieg i wszędzie zalegnie błoto. W tych warunkach wilgoć wsiąkała po same kości nawet pod najcieplejszym futrem, którego zresztą szaman nie posiadał. Dokuczliwie gryzły go pchły. Kukułka znów zapomniał przewietrzyć skóry nad ogniem. „Zwierzę jest czymś świętym... ducha zwierząt nikt nie zgłębi. Być może znano go wcześniej, ale my już go nie poznamy” – pomyślał nagle szaman. Zirytował się jeszcze bardziej i z całej siły kopnął psa, który przypadkiem wszedł mu pod nogi.

Przez ostępy z kałużami opuszczał miejsce, gdzie razem z naczelnikiem zwoływał zgromadzenie myśliwych, zmierzając w dół do swojego namiotu. Gdy tam dotarł, natychmiast wygonił Kukułkę z barłogu i wysłał go po mięso.

2

Po całym dniu szaman i jego uczeń szykowali się do spania. W południe naźarli się do tego stopnia, że aż bekali; teraz nie byli już głodni. Szaman przysiadł na ogorzałym pniaku przy ogniu i zastanawiał się, jak nauczyć swojego adepta robienia amuletów, co znacznie ułatwiłoby mu pracę.

Uczeń stał się dla niego ciężarem. Za młodu wychowywał jednocześnie kilku praktykantów, którzy co do jednego rozeszli się już po świecie. Marne były ich dalsze losy. W wieku trzydziestu pięciu lat przekazał im w swojej naiwności to, do czego sam doszedł, młodzi zaś jeszcze naiwniej zaczęli to później głosić publicznie jeszcze młodszym... i kiepsko na tym wyszli. Uznano, *consensus omnium*, że deprawują młodzież, szkodzą religii i podburzają lud, więc nie są szamanami, lecz czarnoksiężnikami, którzy pragną jedynie zagłady całej społeczności ludzkiej. W zależności od obyczaju zostali później zjedzeni lub wygnani. Szaman wyrzekł się ich stanowczo i publicznie przysiągł, że niczego ich nie nauczał – sami to wszystko wymyślili. Wprawdzie nie wygnano go i nie zjedzono za to, ale zabroniono przyjmowania kolejnych praktykantów. Teraz, gdy wspomnienia te już nieco przybladły, a polowania od wielu lat kończyły się porażką, przypomnieli sobie o nieuchronnym upływie czasu. Aby zabezpieczyć się na wypadek śmierci starego szamana, posłali mu młokosa, do ojcostwa którego nikt się nie chciał przyznać, żeby wyuczył go zawodu. Dzieciak nie miał po kim odziedziczyć strzał, łuku, oszczepu i pozostałych narzędzi; kto wie, czy w ogóle byłby w stanie zbudować sobie własny namiot.

Szaman został postawiony niejako przed faktem dokonanym i chociaż znał młokosa od dziecka, musiał przyznać, że oprócz tego, iż jest kompletnym odszczepieńcem, posiada również pewne zadatki na szamana; byłoby szkoda, gdyby się zmarnował. Młodzian od dzieciństwa dostawał ataków padaczki; nikt nie wiedział, kiedy choroba znów się odezwie. Jęczał i krzyczał, a gdy wracała mu świadomość, wypowiadał się tak obłąkańczo, iż można było wierzyć, że obcuje z duchami. Szaman rozważył to wszystko i przyjął młodzieńca. Niestety, był to adept głupi i leniwy – gdy tylko stwierdził, że niczego mu tutaj nie brakuje, duchy nagle przestały go odwiedzać, a on rozwalał się błogo w kącie namiotu i wyjadał resztki jedzenia gospodarza. Nie dało się go nauczyć ani jednego dłuższego zaklęcia, przy obrzędach mylił prawą rękę z lewą, nie potrafił przyrządzić i ugotować ani jednej leczniczej mikstury, po muchomorach tylko głupio się chichrał, na nocnym niebie znał się jak świnia na gwiazdach, nie umiałyby ustalić momentu przesilenia, nawet gdyby go poproszono, mnożenie i dzielenie natomiast uznawał za czary świętego ducha, a nie procedurę myślową, której trzeba się nauczyć. Mimo to zdarzały się chwile, gdy szaman nie miał odwagi go wyrzucić – odczuwał względem niego respekt pomieszany ze współczuciem. Czasami uczeń zaskakiwał mistrza słowami, które nagle ślina przyniosła mu na język lub głęboką świadomością religijną przy całkiem rutynowych obrzędach, jakie szaman odprawiał bez najmniejszego zaangażowania intelektualnego, wyłącznie jako konieczny i nudny obowiązek. Szaman uważnie obserwował adepta w chwilach wybuchu jego religijnej egzaltacji i wiary, której jemu stale ubywało. Zastanawiał się w głębi duszy, czy uczeń naprawdę kontaktuje się z rzeczywistością spoza tego świata. Nie dziwił się temu, co młodzieniec opowiadał o swoich przeżyciach i snach na jawie. Było to bardziej skomplikowane niż to, czego dowiedział się i dowiadywał, kiedy w ekstazie chodził po szamańskim drzewie, rosnącym od najgłębszych podziemi, w których śpi tysiącletnia ryba niosąca świat na

swoim grzbiecie, aż do najwyższych niebios, gdzie sklepia się skorupka jajka, z którego wylał się świat i którego żółtko – żarzące się słońce – wędruje codziennie po niebie. Szamana uderzało tylko to, że młodzik zna szczegóły spraw, które, jak przypuszczał, znane były tylko jemu, i że poznał je bez ukończenia wymagających, trwających latami ćwiczeń; ba, nie potrzebował nawet używanych przez szamanów substancji odurzających. Wiedział to w jakiś bezpośredni sposób, jakby cudowna łaska sama na niego zstępowała, bez żadnych szczególnych wyrzeczeń. Jednocześnie wiara, którą uczeń wkładał w najprostsze magiczne czynności, dawno uznane przez szamana za trywialne bzdury przeznaczone dla świeckich, frapowała go, a czasem nawet trochę zachęcała, by choćby na moment uznać cały ten humbug za coś poważnego.

Szaman wiedział na przykład, że po zimie nadejdzie wiosna; nawet gdyby nie złożył żadnych ofiar i nie wykonał rytuałów, i tak by nadeszła, jak jesień przychodzi po lecie, a zima po jesieni; ale gdy jego kamerdyner omdlewał i padał w ekstazie, płacząc i śmiejąc się przy wykonywaniu obrzędu, szaman nie był do końca pewny, czy w tych pospolitych czarach i zaklęciach nie ma rzeczywiście czegoś świętego, wielkiego, cudownego, olśniewającego, spajającego wszystko i życiodajnego. Dlatego go nie wyrzucił. Ci z innego świata ostatecznie przecież sami wybierają osoby, z którymi chcą rozmawiać.

Ale nauczyć Kukułkę czegokolwiek było ponad siły ludzkie, a pewnie także boskie – w przeciwnym razie ci z drugiego świata już dawno by go przecież czegoś nauczyli. Gdy szaman pogodził się z tym, że uczeń nie zdoła opanować złożonych rytuałów, nie będzie umiał widzieć i słyszeć na odległość, zanurzać się pod ziemię, wzbijać się nad obłoki, by dostrzec stada lub zobaczyć, jak się wiedzie umarłym, gdy nabrał absolutnej pewności, że Kukułka nie nauczy się, jak być niewidzialnym lub unosić się w powietrzu, aby okazać swój szamański autorytet zgromadzonemu plemieniu, postarał się nauczyć go przynajmniej najprostszych trików i najbardziej mechanicznej pracy, jak choćby robienia amuletów, do czego przygotowywał się teraz w ramach czekającego go zadania. Z trikami też się nie powiodło. Kukułka tak bardzo bał się ukrytego w nich bóstwa, że wszystko poplątał. Niech zatem zostanie przynajmniej zwyczajnym znachorem i aptekarzem!

Szaman kucał na pniaku i przeglądał zbiory kości, ptasiego pierza, suszonych żab, dżdżownic, motyli skrzydeł i korzeni o ludzkich kształtach. Zastanawiał się, jak najprościej wyjaśnić uczniowi, że ich magiczna moc jest ze sobą ściśle powiązana, że można ją zwiększyć lub przeciwnie – zniweczyć przez nieprawidłowe zestawienie. Sam nigdy nad tym nie rozmyślał – od momentu, gdy został w młodości szamanem, wiedział, że to bzdura – co potwierdził ostatecznie także jego nauczyciel – ale znał na pamięć właściwości wszystkich składników amuletów ochronnych i sam w ciągu swojego życia wprowadził kilka nowinek, jak choćby te piękne motyle skrzydła i zasuszone, niegdyś pachnące kwiaty. Poszerzył też listę magicznych zakazów o szereg kolejnych, jak choćby ten, że ciężarna kobieta nie może mieć przy sobie nic ostrego, żeby łono się nie rozpruło... W tej dziedzinie odniósł pewne sukcesy. Po zaklęcia ściągano do niego z bardzo odległych osad. Ale jak to przekazać temu idiocie Kukułce?

W końcu uznał, że nie warto się tym martwić przed snem. Jutro też jest dzień, a jedzenia wystarczy im na tydzień lub dwa. Spakował więc swój kramik do skórzanych worków i polecił Kukułce utrzymywać ogień nad paleniskiem, choć często biedak miał z tym kłopoty i zbierał za to cięgi; opatulił się ciepłymi, suchymi skórami, które w ciągu dnia Kukułka pod jego nadzorem w końcu odrobaczył nad ogniskiem. W namiocie szybko zapadła zupełna ciemność. Nagle między dwoma kawałkami poszycia namiotu pojawiła się szczelina, a czyjś głos zaszeptał cicho.

Szaman obudził się i podniósł na łokciach. Przez szparę można było dojrzeć jasne niebo z ciemnymi, niebieskimi chmurami przelatującymi szybko pod księżycem. Pogoda zatem gwałtownie się zmieniła. Zaczęło się prawdziwe przedwiośnie.

3

Głos znowu się odezwał, a szpara pociemniała z powodu czyjejś twarzy zerkającej do namiotu.

Szaman odrzucił nakrycia i wyciągnął się całym ciałem w stronę gościa.

– To ty? – zaszeptał prawie bezgłośnie. Bał się, żeby nie zbudzić Kukułki. Jednakże proces zanikania zdolności i umiejętności tysięcy pokoleń myśliwych zaszedł już u młodziana tak daleko, że szelest nie był w stanie wyrwać go ze snu. Chrapał dalej zwinięty koło paleniska.

– Trzecia noc od dziś, dopiero gdy zasną... – zaszeptał nieznajomy.

– Powinna być pełnia – równie cichutko odpowiedział szaman – i być może będzie, bo pogoda się zmieniła.

– Możesz nam dać coś na spanie dla psów?

– Już to przygotowałem – powiedział szaman i grzebał przez chwilę w poduszce. Po chwili znalazł woreczek i podał go swojemu gościowi. – Dla każdego wystarczy mała kuleczka, ale nie zapomnijcie o żadnej z tych bestii!

– W porządku... Dalej gryzie cię w gardle?

– Już jest lepiej. Piję herbatę z miodem. Jest niezłe – odparł szaman, a szczelina zniknęła tak nagle, jak się pojawiła; gość bezszelestnie oddalił się od namiotu. Na myśl o tym szaman się zaśmiał. To, czego ani on, ani Kukułka już nie potrafili, ciągle jeszcze umieli ci najmłodszy. Być może dlatego, że dziś zapotrzebowanie na króliki i myszy było większe niż na bizona i mamuty. Ponownie owinął się w skóry, ugniół poduszkę i natychmiast usnął. Wciąż nie oddalił się zaledwie od tysięcy pokoleń myśliwych.

II. Obrzęd

1

Zbliżała się północ, obóz spał. W nielicznych namiotach żarzył się jeszcze popiół w paleniskach, w pozostałych jakby nie było ognia. Szaman wiedział jednak, że stare baby, strażniczki płomienia z namiotu obok, dbały o jego podtrzymywanie nawet w czasie największych powodzi i nawałnic, gdy wszyscy ratowali się ucieczką w wyższe partie lasu. Powinien sprawować nad nimi nadzór, zaglądając każdego ranka do ich namiotu, by pozdrowić ogień, rozdmuchać go i złożyć mu ofiary, ale dawno już tego nie robił, uspokojony interpretacją, że duch ognia zamieszkuje przecież w jego własnym tchu, więc po cóż miałby chuchać w ognisko?

Psy rzeczywiście zasnęły. Prawdziwy mały cud! Szaman miał nadzieję, że nie zdechną, bo przy tak fatalnym stanie dróg ciężko byłoby znaleźć choćby szczenięta w odległych sąsiednich osadach. Uśmiechnął się na myśl, ilu sprostałoby temu zadaniu. Bez problemu dotarł do cienia lasu. Księżyc świecił w pełni, zgodnie z przewidywaniami, a chmury odsłaniały jego dziecięcą twarz, przy której szaman spędził tyle bezowocnych nocy na daremnych dociekaniach i próbach zrozumienia.

Zarówno szaman, jak i ci, którzy szli przed nim, z pewnością nie chcieli zostać zauważeni. W ciemnym lesie zwolnił, posuwając się bardzo ostrożnie do przodu, bo trudno tu było stawiać kroki.

Wprawdzie nie potrafił orientować się tak dobrze jak myśliwi, lecz tyle razy już pokonywał drogę do jaru, że i dziś nie zabłądził. W lesie leżał jeszcze stary śnieg, ale pod jego zlodowaciałą powłoką wiosenne wody rzeźbiły już zdradliwe zasadzki. Żywe gałęzie drzew splotły się tak gęsto, że miejscami nie można było przejść inaczej niż na kolanach. Obumarłe konary z jeżowatymi, zeszlými gałęziami stanowiły kolejną przeszkodę. Tylko dzięki intuicji szaman mógł śledzić kierunek i podążać dalej dróżką, którą pozostali już się przetoczyli. W pewnym miejscu gwałtownie zaczynała się stromizna, pełna spiczastych głazów sterczących między drzewami. Ziemia położona na północ była już całkowicie oblodzona. Gdzieś w połowie tego zbocza do szamana doleciały stłumione ludzkie głosy i po raz ostatni zauważył na dole światło pochodni. Gwizdnął dwukrotnie jak królik śnieżny i usłyszał, jak po chwili w jego stronę ruszyły z góry dwie lub trzy postacie. To był najtrudniejszy odcinek drogi – naturalny, skalisty wyłom, a szaman pod względem sprawności prezentował się na tle grupy mizernie. Podcłapało do niego trzech młodzieńców – podczas gdy jeden z nich czekał u dołu, dwóch pozostałych ostrożnie spuściło go po prostopadłej ścianie. Teraz mógł już samodzielnie zejść na, otoczone z każdej strony stromym zboczem, karczowisko na dnie jaru. Latem przez jego środek płynęła rzeczka, która przy jednym końcu wyciekała ze skały, by po drugiej stronie w niej zniknąć. Dlatego miejsce to owiewała mgła tajemnicy. Była to oczywiście rzeka podziemnych bytów, która jedynie przypadkiem wyłaniała się tutaj na powierzchnię. Płyńie ona przez podziemne pastwiska, piją z niej podziemne renifery i mamuty, a także podziemni ludzie, którzy odeszli z tego świata.

Kto latem tu zabłądził, wrzucał do rzeki choćby garść trawy. Niektórzy przychodzili zanurzyć w rzece groty strzał i oszczepów, aby celniej sięgały zwierząt. Szamani z dawnych czasów odprawiali tu obrzędy, podczas których pozwalali się rozrywać podziemnym duchom, by potem owe duchy mogły ich ponownie scalić. Większość jednak unikała dziś tego miejsca, a kobiety straszyły dzieci, że je tam zaprowadzą i zostawią.

Na karczowisku przebierało nogami około dwudziestu myśliwych. Było tu chłodniej niż w wyższych rejonach. Żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia dwa lata. W ziemię na krawędzi karczowiska wbito pochodnie. Oświetlając całe zgromadzenie od dołu, roztaczały nad nimi tajemniczą i nadprzyrodzoną aurę. Cienie mieszały się ze sobą – było ich o wiele więcej niż żywych ciał. Nikt nie miał pewności, czy nie dołączyły do nich byty inne niż ludzkie. Gdy szaman wkroczył na środek, pozdrowiono go wilczym zawołaniem. Wyciągnął z zanadru mały, jaskrawo obmalowany bębenek. Powoli, z krótkimi odstępami, które zwiększały napięcie rytmu, zaczął uderzać w niego kostkami. Młodzi utworzyli krąg, obejmując się ramionami. Dwóch z nich wyszło na środek, trzymając w ręku kościane flety. Szaman nadawał rytm, tylko czasami łagodnie przyspieszając. Wszyscy milczeli, dopóki nie zaczął śpiewać pieśni, która zazwyczaj rozpoczynała zgromadzenie. Była to z pewnością starodawna pieśń, złożona raczej z eksklamacji niż tekstu ciągłego – pieśń na cześć dawno zmarłego myśliwego. Młodzi zaczęli tanecznym krokiem poruszać się dokoła, powtarzając refren. Hipnotyczny, jednostajny rytm i przeciągła melodia działały na wszystkich odurzająco, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Znaleźli się pod ochroną potężnych sił i nawet jeśli ktoś by ich szpiegował, teraz nie miałyby odwagi ich zaskoczyć. Zainicjowano najważniejszy męski rytuał, surowo zakazany obrzęd, za który groziła kara śmierci, choć nikt nie śmiał przeciwko niemu wystąpić.

Szaman zaczął nową pieśń, mniej uroczystą i starodawną – potem następną i kolejną, aż wreszcie swoją własną, którą z biegiem lat ułożył na potrzeby tego obrzędu. Pod koniec śpiewał wyschniętym gardłem, które zmuszało go do silnego kaszlu, nowy, zaimprovizowany, zrodzony w tej chwili hymn. Młodzi już od godziny tańczyli w stale przyspieszającym rytmie, śpiewali chórem znane im pieśni, a w końcu, gdy kaszel zmógł już zupełnie szamana, wychodzili na środek i dorzucali własne słowa, na które reszta zgromadzenia odpowiadała chórem.

Stopniowo krąg rozpadał się na grupki po dwóch, trzech bądź czterech młodzieńców, z których każda tańczyła w inny sposób. Szaman po każdym ataku kaszlu, który hamował garścią zlodowaciałego śniegu, rozpoczął jeszcze szybszą i bardziej odurzającą pieśń, podwyższał głos aż do nieludzkiego skrzeku i wirując całym ciałem, dzwonił setkami nawleczonych i wszytych w strój amuletów, co dodawało muzyce grozy.

Niemal jednocześnie wszystkich bardziej zamroczyło. Młodzi wymieniali się między sobą bransoletkami, naszyjnikami i innymi ozdobami, niektórzy zdobili włosy zabarwionymi wstążkami z kory brzozonej, inni tańczyli i zachowywali się jak dziewczęta. Stykali się ze sobą we wszystkich możliwych pozycjach. Część padła na ziemię, część klęczała, reszta tańczyła. Niektórzy dobrali się w pary, inni w większe grupy.

Szaman falował w rytm własnego bębena, nawet gdy ustał dźwięk fletu. Śpiewał na przemian strofy starożytnych pieśni i nowych kompozycji. Pot łał się z niego strumieniami. Wydawało się, że osiągnął duchową ekstazę.

Było to święto młodych myśliwych, święto, które wzmocniało braterstwo mężczyzn, wieczne jak sam świat, bo zgodnie z tradycją zapoczątkował je pierwszy na tej ziemi myśliwy; obchodzono je kilka razy w roku, zazwyczaj zimą, w tym sezonie już chyba po raz ostatni, bo zbliżała się wiosna. Święto, które silniej niż jakikolwiek inny obrzęd spajało całe plemię, święto społecznie donioślejsze niż rytuały inicjacyjne chłopców i dziewczyc, obchodzone w głębokiej jaskini pod kierunkiem szamana i w obecności naczelnika oraz najważniejszych przedstawicieli starszyny plemiennej, z pełnym, wspólnym błogosławieństwem. Święto, które ponoć – o czym wiedział tylko szaman – było niegdyś dniem wolnym od pracy; dopiero niedawno zostało zakazane i obłożone drastycznymi sankcjami, mimo że w młodości uczestniczył w nim niemal każdy myśliwy, uznając to za najwyższy honor i wyróżnienie. Zakaz, uzasadniono tym, że święto niszczy moralność, poniża instytucję rodziny i marnotrawi płodność, co zagraża populacji i jest niezgodne z naturą. Każdy naczelnik i każdy szaman mieli zadbać, by nikt w nim nie uczestniczył i dopilnować, by wygnano wszystkich, którzy się na to odważyli. Wielki Naczelnik i Wielki Szaman, którzy stali na czele wszystkich osad i skupisk plemienia, zlecali pracownikom Urzędu Bezpieczeństwa kontrolę przestrzegania zakazu. Szaman, który dopuściłby do obscenicznych obrzędów na terenie swojej osady, powinien zostać wygnany, a uczestnicy – zjedzeni. Co dziwne, gdy tylko myśliwi dorastali do wieku, w którym podlegali już naczelnikowi, zapominali o własnym udziale w obrzędach i z pozycji osób dorosłych, czyli z pozycji rozumnych, moralnych i odpowiedzialnych ojców, pomagali tępić tę uroczystość, podkreślając przy tym, że towarzyszy jej demoralizująca muzyka. Sami pozwalali sobie tylko na grę na skrzypkach, gdy napchani muchomorami wspominali tkliwie stare dobre czasy.

Szaman wiedział, że Święto Młodych Myśliwych było odwieczne. Rozumiał też dlaczego. Ale wiedział również, że Urząd Bezpieczeństwa tępi je gorliwie i traktuje jak tabu i że wielu młodych ludzi ze strachu nie wychyla się przed szereg. Święto z powszechnej uroczystości przekształciło się w czarny ryt. Przemiana ta najbardziej wpłynęła na muzykę. Istniała znacząca różnica między starodawnymi śpiewami chóralnymi a nową, dziką muzyką, która jakby przewidując własny upadek, chciała na koniec uwolnić wszystkie swoje siły. Tylko szaman był świadomy, że nowe, obłąkańcze brzmienia staną się matką muzyki przyszłości, że ich pozorny chaos doprowadzi przyszłych ludzi do stworzenia dojrzalszej formy muzycznej, znacznie bardziej inspirującej niż rzepolenie na skrzypkach przez otepiałych dziadów podczas uczt za osadą.

Szaman miał tych zgredów powyżej uszu. Nie tylko dlatego, że człowiek nie mógł nawet pierdnąć bez ich zgody, ale że w celu ochrony swojej tępoty godzili się na istnienie Urzędu Bezpieczeństwa, a nawet utrzymywali go i pozwalali, żeby ich ruchał.

Wyczerpany do cna szaman usiadł na kamieniu na środku karczowiska – dawnym ołtarzu ofiarnym. Położył bębenek na ziemi i kawałkiem skóry wycierał pot z twarzy, karku, piersi, pleców i pod pachami. Następnie wycisnął z niego strumień kropel. Spojrzał na niebo, a ponieważ chmury już zniknęły, wiedział, że jest środek nocy – między północą a świtem.

Wstał, odkaslnął i kilka razy uderzył palcem w bębenek; podeszło do niego dwóch młodzieńców. Oznajmił im, że wraca do domu.

Niemal wszystkie pochodnie wokół karczowiska już dogorzały. Resztki ognia oświetlały teraz scenerię, która nikomu nie wydawała się mroźna. Tylko szaman czuł zimno i bał się, żeby jutro nie dostać gorączki. Nie był już tak zahartowany jak młodzi myśliwi, a z wiekiem jeszcze bardziej zniewieściał. W milczeniu wdrapał się na zbocze; pozwolił się wciągnąć przez zwisającą ścianę, a potem sam udał się do domu. Mimo że zmęczenie i chłód dawały się we znaki, czuł, jak zawsze po odprawieniu tego obrzędu, wielką radość. Cieszył się jego pięknem, muzyką i udziałem młodzieży, wśród której być może znajdzie się ktoś, kto z czasem zrozumie przekaz legend i pieśni. Zauważył ze zdziwieniem, że mimo fizycznego zmęczenia, czuł się psychicznie odprężony, choć jeszcze niedawno był zupełnie rozbity. Zanucił cicho jeszcze jedną starodawną pieśń na cześć młodych myśliwych.

2

Po raz ostatni spadł deszcz ze śniegiem, w nocy zamarzała kałuża w osadzie i wraz z ciepłym wiatrem z południowych stepów nadeszła wiosna. Rzeki wokół obozowiska wylały, gdzieś daleko w górach topniały śniegi. Można było jedynie polować na wiewiórki i myszy w lesie. Szaman miał zamówione mięso jeszcze na kilka dni do przodu, pozostało mu jedynie wygrzewać się przed osadą pod lasem i liczyć zakwitające pąki. Czuł odurzającą wiosenną ospałość i lenistwo; znów odłożył na później edukację Kukułki. Wiedział, że będzie mógł się teraz spokojnie pożywić u stołu naczelnika, bo za kilka dni będą go potrzebować do wielkich ofiar przed polowaniami, które ruszą, gdy tylko renifery zaczną wracać na północ, a wraz z nimi, miejmy nadzieję, przyjdą też mamuty.

Pod lasem zakwitły przebiśniegi, przylaszczki, fiołki, pierwiosnki i zawilce. Szaman rozłożył się wśród nich na skórach i z zamkniętymi oczami śledził węchem ich rozmowy. Tego dnia usłyszał, jak na kwiecie przy jego głowie usiadła pierwsza pszczoła. Ukłonił się jej z szacunkiem: wszak zrodziła się ze słońca, jak przekazał mu jego nauczyciel. Oznacza to, że słońce wkrótce ponownie obejmie władzę.

Powlókł się do obozu po jedzenie – z futrem pod pachą i przygarbiony, jak to miał w zwyczaju. Z lasu wracały kobiety ze splecionymi workami wypełnionymi wszystkim, co udało im się znaleźć, zerwać, wydłubać i upolować. Dziewczęta biegły przed starszymi kobietami, a szaman starał się nie zwracać uwagi na ich jęki. Niósł w ręku rozwinięty pęk niebieskiego dzwoneczka i bawił się, dmuchając w niego. Z pochyloną głową niemal wpadł na Muszkę, która siedząc w kucki, wydłubywała coś z ziemi.

Wyprostowała się i pozdrowiła go z szacunkiem. Kobiety, a zwłaszcza dziewczęta, bały się szamana.

Szaman przeciwnie: zatrzymał się i przysiadł na trawie. Wiosną jeszcze jej nie widział. A zimą widywał rzadko, schowaną pod stosem skór, więc nie pamiętał nawet, jak wygląda. Teraz stała przed nim bez futra, w krótkiej spódnicy do kolan. Stała i z lękiem wpatrywała się w ziemię; najchętniej by uciekła, ale powstrzymała się z szacunku.

– Podrosłaś od jesieni, Muszko – powiedział szaman.

Wiosenne otępienie przerodziło się w zawrót głowy.

Leżąc zamroczone skierował wzrok w stronę słońca i spostrzegł nadlatującą chmurę.

– Łabędzie – powiedział mimowolnie. – Wracają łabędzie.

Podniósł rękę, a Muszka powiodła oczami za jego palcem i uśmiechnęła się, bo to piękne, gdy wracają łabędzie. Teraz już ciągle będzie pięknie.

Szaman wstał i podszedł do niej zakłopotany. Przypomniał sobie o niebieskim pąku.

– Śmiało! – zachęcił Muszkę.

Powoli i ostrożnie chwyciła cienką łodyżkę. Oboje patrzyli na nią. Pąk zakwitł w rękach dziewczyny. Szaman zakaszał. Bez słowa odsunął rękę od dziewczyny i spuściwszy wzrok pod nogi, udał się dalej.

Łabędzie, lecące na swoje legowiska za osadą, zaskrzeczały w oddali.

3

Nie trzeba było długo czekać, by szaman ponownie zawitał w namiocie naczelnika z beczelną prośbą o jedzenie. Specjalnie ubrał się w nieco zdarte skóry, nie na tyle jednak, by wyglądać na kocmołucha. Naczelnik wprawdzie przyjrzał się mu, ale nie powiedział ani słowa i sam wybrał dla niego z rożna jeden z najlepszych kawałków mięsa. U naczelnika naturalnie nigdy nie brakowało jedzenia, nawet jeśli niektórzy myśliwy żywili się już tylko korzonkami. Szaman najadł się zatem porządnie, a potem beknął głośniejsz niż pozostali – na cześć gospodarza i dla własnej satysfakcji.

W namiocie miał już przygotowany sprzęt do obrzędów łowieckich.

Woda nadal stała na łąkach. Dopiero za siedem dni przyjdzie czas na renifery.

Naczelnik tylko się domyślał, a szaman, wiedząc o tym, podkreślał swoją pozycję. Renifery mogły się wprawdzie spóźnić o dwa, trzy dni, ale szaman zawsze umiał to zagadać. Dlatego na rzucone naprędce pytanie, ile czasu jeszcze pozostało, z powagą otworzył oczy, przestał żuć, wywalił jęzor na wierzch i przebieając, niby po kryjomu, splecionymi palcami, powiedział na koniec:

– Siedem słońc.

Cisza.

– I pół – dodał zdecydowanie. Tę połówkę zawsze mógł zinterpretować tak, jak mu było wygodnie. Jako połowę dnia lub połowę tygodnia. Ostatecznie nawet jako cokolwiek, bo wiadomo, że owo „pół” wypowiedział w szamańskiej, magicznej mowie, a nie w zwyczajnym języku.

Po tym oświadczeniu znów zabrał się z pełnymi ustami do jedzenia, a wokół zapanowało ciche podniecenie.

Szaman chętnie dowiedziałby się, co naczelnik i najstarsi myśliwi wiedzą o jego udziale w obrzędach w jarze, ale musiał założyć, że nie wiedzą nic. Wyczołgał się przed namiot, podwinął szaty i oddał mocz do wielkiego naczynia z czaszki bizona, co było z jego strony dobrowolnym aktem wdzięczności za udzieloną gościnę. Nie mając żony, która ługowałaby dla niego skóry, nie musiał zbierać uryny i wolno mu było sikać, gdzie mu się żywnie podoba. Odwdzieczył się zatem domownikom jako uprzejmy gość.

Woda powoli spływała z łąk. Podtopiona, wiecznie zamarznięta gleba topniała na pół palca tylko w szczycie lata, kiedy wody wracały w koryta rzek. Teraz spływały nieprzerwanie, tak jak nieprzerwanie ciągnąć będą za nimi renifery, do czego nie potrzeba żadnych obrzędów. Szaman dobrze wiedział, że rytuały nie zwiększą ani nie zmniejszą ilości reniferów. Podobnie jak czary nie wpłyną na zręczność myśliwych. W obozie było pełno starych przyków. To oni znowu zajmą najlepsze miejsca przy brodzie, którym co rok wędrują renifery i będą pudłować, podczas gdy młodzież o sokolim wzroku będzie latać za przepłoszonymi stadami po stepie, czasem wracając dopiero po wielu nocach. Starszyźnie zmiękły mózgi od muchomorów; po dziesiątkach zim mrugania powiekami od swędzącego dymu ogniska dziady utraciły wzrok. I żaden rytuał nie mógł im już pomóc.

Szaman wiedział jednak równie dobrze, że zostanie obarczony winą za wszystkie niepowodzenia. Zawsze udawało mu się zachować dystans i stosowny szacunek dzięki jakiemuś lataniu w powietrzu lub innej głupocie, jeśli została zaaranżowana i przedstawiona z należytą dbałością o psychologiczne szczegóły. Czynił to jednak niechętnie, więc sam miał nadzieję, że tego roku reniferów będzie tyle, co komarów, a myśliwi na początku sezonu uszczęśliwią całą osadę.

Miał taką nadzieję. Pewnego wieczoru zaszył się nawet w swoim małym szamańskim namiocie, który Kukułka postawił niedaleko obozu, żeby wzbic się w niebo i policzyć nadciągające stada. Wzbudziło to natychmiast ogromne zainteresowanie w osadzie – mężczyźni stali z powagą przed namiotami i wypatrywali go na zboczu, kobiety zerkały z lękiem i spuszczały dzieciom lanie, żeby nie ruszały się z miejsca. Z lekkiego, jaskrawo pomalowanego namiotu dobiegał zmienny rytm bębienka, wrzaskliwy głos szamana, jego suchy kaszel, a także dwa obce głosy, krzyczące niezrozumiale w mowie szamańskiej. Na koniec namiot zaczął się nadymać od wewnątrz, jakby ktoś w niego dmuchał. Kołysał się i nieomal spadł, ucichły wszelkie dźwięki i straszliwa cisza zaległa nad obozowiskiem. Kobiety nakryły się skórami, dzieci zbiły w jedną gromadkę, myśliwi z zakłopotaniem przebierali nogami, a naczelnik usiadł ze swoim urzędowym kosturem przed namiotem. Wzdychał i pocił się tak bardzo, że wszędzie roznosił się jego smród. Psy też się czegoś przestraszyły, schowały się, skomląc i na koniec zamilkły. Z nadejściem nocy wszyscy zamknęli się w namiotach, starając się nie zakłócać ciszy.

Nazajutrz rano jaskrawego namiotu nie było już na zboczu, a myśliwi przechodzący ostrożnie obok legowiska szamana słyszeli jego okropne chrapanie. Schwyтали Kukułkę; na przemian bili go i wpychali mu mięso, próbując się czegoś dowiedzieć, ale on tylko bardziej się przeraził.

Albo szaman wzbiał się w obłoki zbyt późno, albo nie zobaczył zbyt wielu stad: należało się zatem spodziewać kłopotów.

Kiedy po dwunastu godzinach snu wreszcie się obudził, zmęczenie ustąpiło miejsca trosce o przyszłość. Siedział z pochmurną miną, zrezygnowawszy z posiłku u naczelnika, a nawet oddał Kukułce mięso, które mu przynieśli.

Wyszedł dopiero następnego dnia.

Z nikim nie zamienił ani słowa. Powłókł się leniwie do naczelnika, wyrzucił z namiotu zdecydowanym gestem wszystkie kobiety z dziećmi i zasiadł do rozmowy z gospodarzem.

Potem każdy z nich zamknął się w swoim namiocie, a osadę ogarnął spory niepokój.

Kłopoty szamana trwały jednak nadal.

Rano naczelnik przyszedł do niego osobiście i teraz obradowali znowu w jego namiocie. Później naczelnik zwołał starszyznę i szamanowi pozwolono się nazwać.

Naczelnik oświadczył, że szaman bardzo słabo wywiązuje się z szamańskich obowiązków. Już od wielu lat stada pojawiały się rzadziej, a zimy stawały się dłuższe. Mamutów nie widywano; zapomniano o nich. (Szaman przypomniał, że po raz ostatni było to dwa lata temu, ale przyznał, że pojawił się tylko jeden, w dodatku stary osobnik o łykowatym mięsie). Szaman musi się poprawić, a skoro źródło problemów tkwi zazwyczaj w niewłaściwej ideologii, będzie trzeba baczniej obserwować, czy nie dopuszcza się on jakichś ideologicznych odchyień. To i owo się o szamanie słyszało, to i owo zauważyli ludzie. Istnieje podejrzenie, że brał udział w obrzędzie w jarze, że nie wierzy w Wielkiego Naczelnika, nie słucha się Wielkiego Szamana, umyślnie przekręca rytuały, komponuje własne pieśni, zamiast korzystać z oficjalnych, nie szanuje dokonań społeczeństwa, w którym żyje, słucha demoralizującej muzyki, a nawet się onanizuje, co już naprawdę urąga wszelkiej przyzwoitości.

Szaman był zmęczony bardziej niż kiedykolwiek. Bolała go głowa, więc popijał ziołową herbatę wielkimi łykami, a na koniec rzucił na nich złowrogim głosem potworne zaklęcie, dzięki czemu dojrzeli do kompromisu. Szaman odprawi nazajutrz najskuteczniejsze magiczne rytuały, a wszyscy w osadzie aż do zakończenia wędrówki reniferów będą ściśle przestrzegać magicznych nakazów: nie trzymać się za genitalia lewą ręką, nie słuwać do ognia, nie sikać w namiocie, nie nosić kolorowych ozdób i codziennie dostarczać szamanowi i Kukułce pozostałe żołądki reniferów.

Kiedy starszyzna odeszła, szaman ułożył się na boku i głęboko wzdychał. Przecież wiedzą tylko tyle, że nie słucha poleceń Wielkiego Naczelnika i Wielkiego Szamana, ale jeśli teraz rzeczywiście migiem czegoś nie wyczaruje, zaszczują go, a Urząd Bezpieczeństwa zrobi z niego sieczkę.

Życie w tej epoce i na tej ziemi to zupełna udręka, skoro nie masz prawa nic sam pomyśleć, powiedzieć, a co dopiero zrobić, skoro na wszystko istnieje oficjalny paragraf i wszystko podlega cenzurze, skoro musisz kłaniać się takim zbrodniarzom, jak Wielki Naczelnik i takim krwiożerczym idiotom, jak Wielki Szaman, skoro musisz obawiać się o swoje życie, jeśli grasz nowoczesną muzykę, komponujesz własne pieśni, nosisz brodę i długie włosy. Udręka jest tym większa, bo wiemy, że już za dwa pokolenia czyściciel na ziemi się skończy, bo dzięki nowoczesnej technice ludzie nie będą zmuszeni akceptować i słuchać żadnego Wielkiego Naczelnika czy Wielkiego Szamana, że nastąpi swobodny przepływ informacji i wolność w sztuce, że uzna się zdobycze rewolucji seksualnej i emancypacji kobiet, szkoły będą dostępne dla wszystkich, a uczyć w nich będą tylko prawdziwi specjaliści, a nie oszuści – że już za dwa pokolenia, czyli jeszcze za życia naszych dzieci, nastąpi definitywny koniec tego średniowiecza, a dzięki osiągnięciom rewolucji naukowo-technicznej nastanie wolność, jak pouczają nas starzy szamani, których przesłanie przekręcają dziś i niszczą zdrajcy pracujących myśliwych: Wielki Naczelnik i Wielki Szaman.

Mówił do siebie, klnąc cierpko, ale w głębi duszy wiedział, że mówi to nadaremno. Ileż razy słyszał to od swojego nauczyciela, którego na końcu zjadła starszyzna, ileż razy nad tym rozmyślał – nawet teraz poczuł ostatecznie, że to rozumie, ale nijak się to ma do rzeczywistości.

Kiedyś budziło to u niego grozę, wstrząs, jakby świat usunął się spod stóp, a potem wstręt, taki wstręt, że miał ochotę odejść na lodowiec i już nigdy nie stykać się z ludźmi lub powiesić się, jak to robią zhańbieni myśliwi. Na koniec poczuł głęboką, lodowatą rezygnację, która otwiera drzwi na oścież wszelkiej miałkości charakteru i wszystkim grzechom świata – i dopiero teraz, w ostatnim okresie, pod lodową powłoką przekonania o niemożliwości naprawy tego świata odezwało się coś, czego jeszcze nie umiał rozpoznać, czego jeszcze nie słyszał, ale co przeczuwał. W najgłębszych trzewiach targało całym ciałem dziwne przecucie, przecucie całego ciała, jak przecucie miłości u trzynastoletniej dziewczyny, która przeczuwa, że coś tam jest, ale nie wie co.

4

Nazajutrz rano szaman wyszedł ze swojego namiotu w najokazalszym stroju.

Koniec końców był potężnym szamanem, co uświadomili sobie wszyscy, gdy zobaczyli, jak kręci się przed nimi w czerwono-żółtej szacie ozdobionej czarnymi symbolami i podobiznami zwierząt, obszytej nietypowymi, błyszczącymi kamyczkami z dalekich krain, z dwoma bębenkami za pasem i magicznym kosturem w dłoni, który był tak potężny, że ktokolwiek znalazłby go w swoim łożu, do rana byłby martwy, z wysokim diademem na głowie, ozdobionym egzotycznym pierzem, i z Kukułką u boku – objuczonym tobołkami z niezbędnym wyposażeniem – któremu nogi się płaczą, gdy idzie złąkniony i przestraszony jak królik. To również przydawało szamanowi groźnej powagi. Wszyscy mimowolnie ustąpili o krok.

Wielka ceremonia, w której będą uczestniczyć wszyscy myśliwi, miała się dzisiaj odbyć w głębi świętej jaskini, do której dostęp mieli jedynie szaman z naczelnikiem. Następnego dnia, jeszcze głębiej, specjalnie dla nich miał tam zostać odprawiony najpotężniejszy rytuał.

Szaman przejrzał przyniesione pochodnie oraz stągwie z tłuszczem i poleciwszy, aby na razie wszyscy czekali (bo opieszałość przy obrzędzie sprawiała dobre wrażenie), odniósł je z Kukułką do jaskini, w której zostały rozmieszczone i zapalone. Potem na jego rozkaz zgasł wszelki ogień w obozie (nawet ten święty, strzeżony przez stare baby), a myśliwi zaczęli szykować swoją broń.

Potem wszyscy weszli za szamanem do jaskini i przykucnęli w ciszy. Podczas gdy szaman dziwacznie manipulował porożami reniferów i czaszkami bizonów, Kukułka spadł na nogę mamuci kiel. Zawył z bólu i zebrał kopniaka od szamana.

Po wymamrotaniu świętych tekstów, które rozumiał jedynie szaman, zapadła jeszcze bardziej przejmująca cisza. Szaman wszedł na czarny kamień w głębi jaskini, gdzie ledwo go było widać i zaczął:

– Nasze społeczeństwo odnosi z każdym rokiem coraz większe sukcesy w polowaniach. Pod wodzą naszego mądrego i wszystkowiedzącego Wielkiego Naczelnika oraz Wielkiego Szamana stale wzrasta bogactwo plemienia i pęcznią zapasy w naszych namiotach. Dzięki niestrudzonemu i niewyczerpanemu poświęceniu naszego znakomitego kierownictwa co roku przybywają do nas coraz większe stada reniferów, bizonów i mamutów – jest ich tyle, że nie sposób ich nawet upolować. A jeśli ktoś narzeka na jakieś braki, to tylko dlatego, że marny z niego myśliwy i marny syn naszego plemienia, że marnie polował i sam jest wszystkim winien, a co gorsza – sprowadził nieszczęście na wszystkich myśliwych, którzy co roku podejmują heroiczny bój o pokarm. Osobnik taki jest w stanie zniweczyć wysiłek całej osady, a nawet całego plemienia, dlatego trzeba go natychmiast zdemaskować, unieszkodliwić i na zawsze przegnać.

Mowa ta jak zawsze odniosła magiczny skutek. Wszyscy, łącznie z naczelnikiem, drżeli ze strachu, jednocześnie odzeganując się w duchu od swoich wcześniejszych narzekań na sytuację gospodarczą obozu i wszelkiego powątpiewania w terażniejszość. Czekali jedynie, kogo szaman wskaże jako ukrytego szkodnika i wroga, który w ubiegłym sezonie tak im zmącił wzrok i rozchwiał ręce, że gówno upolowali. Nikt nie mógł być pewien, czy wybór nie padnie właśnie na niego.

Podniósł prawicę, w której zamiast magicznego kostura trzymał teraz czarny oszczep ociekający świeżą krwią. (Wszyscy wiedzieli, że w jaskini nie było żadnego zwierzęcia, w którego krwi mógłby zanurzyć oszczep).

Groźnie rycząc, rzucił oszczep w środek zgromadzenia, ale ten cudem przeleciał i zniknął gdzieś u wejścia do jaskini. Szaman z pianą na ustach oświadczył, że właśnie odkrył i zgładził szkodnika ludzkości, a jest nim nie kto inny, jak ukrywający się w oddali obcy Wielki Naczelnik, który zapragnął wytępić ich osadę i całe plemię. Teraz jednak śmiertelne ostrze tkwi w jego trzewiach, a on sam ledwie dyszy. Tegoroczne łowy będą udane dzięki temu szczęśliwemu ujawnieniu i celnemu strzałowi, a dzielni myśliwi, nieskrępowani już żadnymi zagranicznymi zakłęciami, mogą rozpocząć magiczne polowanie na zwierzęta na ścianach jaskini – zwierzęta, nad których duchem panowali już nasi przodkowie, i które wytropią dla nas setki swych współbraci ciągnących w niesłychanej ilości z południowych stepów. Co do ofiary bezpośredniej, trzeba przywlec tu i poderżnąć gardło temu starcowi, który ukrywa się w osadzie, będąc pomocnikiem i narzędziem w rękach obcego Wielkiego Naczelnika.

Wielu myśliwych wybiegło w pośpiechu na zewnątrz, wszyscy zdziwieni, bo nikt nie zauważył, żeby brakowało kogoś ze starszych. Ale rzeczywiście, na środku placu w osadzie klęczał zapomniany starzec – nieznający nawet plemiennej mowy niewolnik naczelnika, który po latach służby w kuchni i spiżarni,gnił teraz w stosie śmieci zapomniany przez wszystkich.

Przyprowadzono go. Szaman nie omieszkał wspomnieć, że ten chromy i zniedołężniały starzec jest sługą naczelnika. Dziwne, że naczelnik już dawno go nie wygnał. Nie udało mu się jednak umknąć przed wzrokiem szamana.

Nastąpiła egzekucja, którą szaman przeprowadził osobiście i błyskawicznie, przy asyście wystraszonego Kukułki. Gdy myśliwi zaczęli podchodzić do szamana, żeby włożył im do ust spory kawałek suszonego muchomora, on zaczął własne magiczne polowanie, w trakcie którego tłukł aż do utraty tchu w oba bębunki i miotał się w konwulsjach jeszcze bardziej dziko niż pozostali. Ewidentnie mieli do czynienia z wielkim szamanem.

Co się działo następnego dnia w najgłębszych mrokach jaskini – nie dowiedział się już nikt. Naczelnik ze starszyzną wytoczyli się wieczorem na zewnątrz, jakby przez cały dzień brali udział w wyścigach, a ich wzrok pełen był przerażenia. Nie zamieniwszy z nikim słowa, zapadli w sen i spali jak zabici.

Szaman wyszedł z jaskini dobrą chwilę po nich, również wyczerpany jak upolowane zwierzę, ale uśmiechnął się i wrócił do domu całkiem wesoły. Zdołał jeszcze nawet zrugać Kukułkę za to, że znów wszystko poplątał przy wielkich ofiarach.

W następnych dniach szaman nie mógł jednak sobie poleniuchować. W najkosztowniejszym stroju chodził dostojnym krokiem po osadzie, co chwilę odciągał myśliwych od prac przygotowawczych i wyjaśniał im, jak zawsze dobitnie i zwięźle, lecz zarazem jasno i z przekonaniem, że to, co dla innych społeczeństw z przestarzałym strojem byłoby niemożliwym do pokonania kryzysem gospodarczym, nasze znakomite kierownictwo, które już dawno opracowało szczegółowy i precyzyjny plan ratunkowy, za pstryknięciem palca przemieni w jego dialektyczną antytezę – w epokę powszechnego dobrobytu.

Objasniał im to na różne sposoby, aż po kilku dniach nawet ślepy musiał przyznać, że wszyscy zostali przekonani i pałali pionierskim zapalem.

Szaman usiadł potem przy wejściu do namiotu i jadł żołądki reniferów, popijając je sokiem jeżynowym, który tylko naczelnik miał zawsze na własne potrzeby. Sok był kwaśny, sfermentowany i bardzo mu smakował. Twierdził, że jego żołądek nie przyjmuje muchomorów i był teraz na najlepszej drodze, żeby wyciągnąć od naczelnika całe zapasy. Kukułka siedział w kucki w namiocie i był tak otumaniony, że można się było spodziewać kolejnego ataku padaczki. Wyglądał, jakby coś świdrowało jego mózg, gdyby go oczywiście miał.

W rzeczywistości szaman nie czuł się tak triumfalnie, jak się prezentował. Nie mógł zapomnieć, że podczas wizyty w niebie dostrzegł na równinach tylko nieliczne resztki stad i starał się uwierzyć, że jego magiczne procedury i ofiara złożona z człowieka mogą jednak coś zdziałać. Poza tym bał się, że nie zareagował wystarczająco szybko na kroki poczynione w jego sprawie przez starszyznę i że przed wielkimi obrzędami wysłano kogoś z donosem do Urzędu Bezpieczeństwa. Przechadzając się w tych dniach po obozie, zauważył, że brakowało jednego z chłopców.

Czochrał swoje długie, szamańskie włosy i ponownie rozważał, czy nie byłoby lepiej uciec na lodowiec, by dożyć swoich dni w kompletnym odosobnieniu. Z niewysłownym lękiem uświadomił sobie, że jest już tak stary i leniwy, tak bardzo lubi żołądki reniferów i sok jeżynowy, że możliwość ucieczki na lodowiec właściwie nie wchodzi już w grę. Przed Urzędem Bezpieczeństwa lepiej chyba uciec na stryczek.

Stan Kukułki również niepokoił go bardziej niż zazwyczaj. Kukułka bredził coś czasami o swoich widzeniach Wielkich Duchów, szaman niezbyt się ucieszył, gdy nagle zaczął majaczyć o sprawach, o których nie powinien mieć pojęcia: o kłamstwie, oszustwie, bezprawiu, cierpieniu, prawdzie i kto wie, czym jeszcze. Większość myśliwych nie znała takich słów. Oczekiwany atak padaczki nie chciał nadejść, więc szaman zastanawiał się, czy aby ta pokraka nie rozmyśla. Ale to z pewnością nie było teraz najważniejsze.

Pierwsi tropiciele już trzy dni temu wyruszyli na wyschlę równiny. Na razie ślad po nich zaginął.

Aż wreszcie powrócili!

Naprzeciw nich wybiegły wszystkie dzieci, choć dorośli nie uznawali tego za stosowne. Przyjmowali zasadniczo zdrowy pogląd, że lepiej wysłuchać hiobowych wieści w spokoju. Szaman również podzielał to przekonanie, ale mimo to z nerwów żarł jak opętany. Tymczasem dzieci krzyczały w oddali, a gdy się zbliżyły, było już wiadomo, że krzyczą z radości. Chwilę później myśliwi usłyszeli na własne uszy, że las jest pełen reniferów i że nigdy jeszcze tyle ich nie było.

Szaman bacznie obserwował powracających tropicieli, żeby ocenić, z jakiej mniej więcej odległości wracają, a potem zamknął się w swoim namiocie z bukłakiem soku jeżynowego. Stał się zbędny, wszystkim by przeszkadzał, możliwe nawet, że przez kilka dni nie przyniosą mu jedzenia. Potrafił jednak, tak jak wszyscy w osadzie, najeść się na zapas.

Przyjemnie odurzony rozciągnął się na skórze. W tej samej chwili Kukułka dostał ataku.

III. Wizyta

Spełniły się najgorsze obawy. Pewnego dnia, gdy wszyscy myśliwi już od tygodnia przebywali za osadą, a z nimi większość kobiet i starszych dzieci, szaman, wygrzewając się na pniaku przed namiotem i siorbiąc resztki jeżynowego wina, zobaczył jak do obozowiska wkracza inspekcja Urzędu Bezpieczeństwa.

Było ich dwoje. (Ulżyło mu, że to nie pluton egzekucyjny, choć w tym samym momencie uświadomił sobie, że nie ma to żadnego znaczenia: jeśli zostałby skazany, myśliwi mogli zostać wezwani na egzekucję w każdej chwili, nieważne z jakiej odległości). Facet był całkiem sporych rozmiarów, wystarczyłyby z nawiązką na pięciu takich kapcanów jak szaman. Jego partnerka – piękna i chyba dość gorliwa, pewnie z jakiejś rodziny potentatów, którzy nigdy w życiu nie pracowali. Szaman liczył na to, że w odróżnieniu od towarzyszącego jej osiłka, była już produktem nowo otwartej Akademii Urzędu Bezpieczeństwa, o której istnieniu wiedział, choć nie udało mu się jeszcze spotkać żadnego jej wychowanka. Nie wiedzieć czemu bał się jej bardziej niż osiłka.

Ubrali się tak, by każdy od razu ich rozpoznał – w skóry pokryte czarnym barwnikiem, założone włosiem do wewnątrz; dodatkowo opasali się żółtymi jelitami, za które zatknęli kościane sztylety.

Szaman chciał w pośpiechu schować w namiocie bukłak z jeżynowym winem, ale zdał sobie sprawę, że jest już za późno – nic nie mogło umknąć ich uwadze, choć pozornie gapili się w niebo i pod nogi. Przez chwilę udawał, że ich nie widzi; gdy znaleźli się w środku obozowiska, wstał, jakby przebudził się z głębokiego zamyślenia i „dopiero co ich zauważył”. Wyszedł radośnie naprzeciw, krzycząc przy tym do Kukułki, jacy goście do nich zawitali.

Przywitał ich gorliwie i serdecznie; agenci zareagowali wstrzeźmiewczo. Wcześniej strzelił w pysk Kukułkę, żeby przyniósł z obozu co najlepsze kąski, a przede wszystkim, żeby napełnił bukłak u kobiet naczelnika, nawet gdyby stanowczo się temu opierały. Szaman tymczasem gadał, żeby rozmowa nie stanęła w miejscu.

Przy poczęstunku – niestety skromnym – zdał sobie sprawę, że to agentka przysporzy mu najwięcej kłopotów. Jej partner póki co milczał, zupełnie nie orientował się w wiedzy szamańskiej; chyba skierowano go tu do zadań związanych z egzekutywą. Szamanowi ulżyło, gdy zauważył, że obżera się muchomorami – to by wyjaśniało jego głupotę – więc wypełnił mu plecionkę suszonymi grzybami.

Przy posiłku nie wypadało prowadzić przesłuchania, ale nie można było dopuścić, by obiad zbyt szybko się skończył. Szaman zaczął więc ostrożnie:

– Jak zdrowie Wielkiego Naczelnika, towarzyszek?

– Jak zawsze dobrze.

– A naszego Wielkiego Szamana?

– U niego również jak zawsze dobrze.

– Jak można by pomyśleć inaczej – dodał słodko – przecież chronią ich wszystkie najwyższe istoty duchowe. Co tam chronią! Wielki Szaman nimi włada, a one nie mogą się mu sprzeciwić!

– Słusznie powiadacie, towarzyszek szamanie – odpowiedziała z najwyższą powagą tajna agentka. – Nie można nawet pomyśleć inaczej. Niektórzy jednak, z tego co wiemy, sądzą, że można myśleć inaczej.

– Z pewnością nie w naszym obozie, mój magiczny kostur dawno by ich wypleniał – dodał w pośpiechu z najwyższym oburzeniem.

– Naprawdę? – spytał agent z miną, która nie przypadła szamanowi do gustu.

– Przestrzegacie przykazań, towarzyszu szamanie? – spytała agentka, zanim szaman zdołał uspokoić sytuację.

– Wszystkich! – odparł natychmiast z przekonaniem. – Codziennie składam trzydzieści trzy pokłony przed wizerunkiem Wielkiego Naczelnika oraz piętnaście i pół pokłonu przed wizerunkiem Wielkiego Szamana...

– Gdzie one są? – spytała agentka.

Szaman ze zgrozą rozejrzał się po namiocie. Posążki, którym powinien oddawać cześć, stały zazwyczaj w kącie obok szamańskiego bębena i laski, ale teraz nie widział tam niczego poza kupą łachów. Czternaście dni temu, po wielkich ofiarach, szaman kazał Kukułce wyprać i naprawić szaty poplamione krwią i pozostałe ubrania, zabrudzone i podniszczone w czasie zimy, ale ten, jak widać, olał to i rzucił wszystko na kupę – dokładnie tam, gdzie stały portrety polityków, którym nie było teraz widać nawet głowy.

„Zabiję kiedyś tego drania” – pomyślał i natychmiast zabrał się za zbieranie szmat.

– Przykrywamy je zawsze w taką pogodę, żeby się nie przeziębiły...
– bredził jednocześnie – w ubiegłym roku mieliśmy tu wielką epidemię grypy.

Poprzewracane posążki, umazane mokrym błotem, leżały pod stosem szmat. Szybko przetarł je rękawem i postawił na ozdobnym kamiennym podeście, na którym powinny stać.

– Aha – powiedział agent, chyba tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Potem składałam codzienną ofiarę naszym wielkim przodkom – szaman, drżąc kolanami, kontynuował na siedząco – raz na tydzień odprawiam rytuał za pomyślność łowów i błogosławię amulety myśliwskie, sprawdzam, czy nikt nie czci fałszywych bożków, doglądam, aby ciężarne kobiety nie nosiły ubrań na lewą stronę, raz na miesiąc kupuję i...

– No dobrze – przerwała mu agentka. – To teraz sobie użyjemy.

Szaman patrzył na nią z otwartą gębą – cóż to znowu Urząd Bezpieczeństwa wymyślił? Dziewczyna rozwiązała spódnice. Rzuciła ją w kąt i ściągnęła kaftan.

Siadła na łóżku i kiwnęła palcem na szamana. Agent poruszył się opieszale. „Nazał się muchomorów jak królik” – pomyślał szaman i zsunął spodnie. Podniósł się niezdecydowany, bo wciąż nie był pewien, co się święci. Zrzucił święteczny płaszcz, który ubrał dla gości i doczłapał do łóżka w samej narzucie. Agentka kiwnęła też wyraźnie palcem na Kukułkę, kucającego z tyłu namiotu, który – o ile już sama wizyta nie pomieszała mu wszystkiego w głowie – do reszty zgłupiał.

Szaman kategorycznym gestem kazał mu zrzucić gacie.

– Ty z przodu, on z tyłu – oświadczyła agentka i położywszy się na bok, podparła pięścią głowę.

Szaman zrzucił skóry i wsunął się do łóżka. Miał iść od tyłu.

Agentka wypięła się i ręką szeroko rozwarła pośladki.

Szaman spojrział szalonym wzrokiem na Kukułkę i kazał mu dołączyć. Przez chwilę masował jej krocze, a potem gwałtownie wszedł tam, gdzie mu kazano. Kukułka jednak nadal stał przy łóżku jak słupek soli. I chociaż mlaskał i przełykał ślinę, na nic się nie odważył.

– No dalej, towarzyszu! – upomniała go agentka – towarzysz szaman z tyłu, a wy, towarzyszu, z przodu!

Kukułka wszedł na łóżko. Agentka podniosła nogę aż pod strop i spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– No dalej, kretynie! – syknął szaman, chociaż czuł, że musi wybierać między opieką nad damą i kontrolą Kukułki, bo obu obowiązków spełnić nie zdoła. Takiej wizyty z Urzędu Bezpieczeństwa jeszcze nie przeżył.

Kukułka zachowywał się, jakby go zmroziło. „A to bestia! Jeszcze dziś go zabiję, przysięgam!” – pomyślał szaman.

Agentka opuściła nogę i przeciągnęła się tak, że szaman cudem nie zniszczył namiotu. Chwyliła Kukułkę za genitalia.

– No co tam, towarzyszu, co tam? – powiedziała surowym tonem, licząc jednocześnie, że ręką dokończy to, co rozpoczęła natura.

Szaman zrezygnowany zamknął oczy i zdecydował, że zostawi tego pętaka samemu sobie. „Najlepiej będzie, jeśli to oni go zabiją...” – przekonywał samego siebie, unikając myśli, że jego ciało też zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Ze wszystkich sił próbował o tym zapomnieć i skupić się; pracował z zaciśniętymi zębami.

Słyszał, jak dziewczyna coś papla, ale jej nie słuchał.

Agentka znów się przeciągnęła, a szaman widząc, że zaczęła przyspieszać, zrozumiał, że Kukułka definitywnie skończył; został odrzucony i pozostawiony na łaskę losu. Od razu mu ulżyło, przewrócił swoją pracodawczynię na brzuch, usiadł na niej wygodnie jak na reniferze i po chwili – ani zbyt krótkiej, ani długiej – dopełnił swojego obowiązku, i chyba zasłużył na pochwałę, bo dziewczyna dyszała ciężko i rzucała się na łóżku, a gdy szaman zszedł, jeszcze przez dobrą chwilę kręciła tyłkiem.

– Tego towarzysza trzeba wyrzucić, towarzyszu – powiedziała, gdy usiadł. – Jeszcze nigdy nie widziałam takiego kaleki. Jak to możliwe, że został waszym asystentem, a może nawet praktykantem?!

Szaman z chęcią zaznaczyłby, że został mu przydzielony. Nikt go o zgodę nie pytał, a on od dawna ma go powyżej uszu. Nie wiedział jednak, czy przed agentami może sobie pozwolić na jakikolwiek komentarz na temat organizacji obozu. Kopniakiem posłał więc biedaka do kąta.

– Teraz ty z przodu, a Jano z tyłu! – rozkazała znowu agentka.

Czarne myśli krążyły po głowie szamana. Było dopiero południe.

Ślicznotka przewróciła się na drugi bok, więc szaman musiał się przenieść, podczas gdy Jano, którego chyba nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, ruszył z kopyta, narzucając diabelskie tempo.

Funkcjonariuszka miała naprawdę piękne, duże cycki, szaman lubił właśnie takie. Dziękował za nie swoim duchowym strażnikom: kto wie, czy bez ich pomocy nie skończyłby jak Kukułka. I tym razem jego praca potrwała znacznie dłużej, natomiast Jano jechał dwa razy bez wyciągania. Potem ta gnida kazała im się zamienić, więc szaman stracił dostęp do cycków i mógł ją jedynie ciągnąć za warkocze; cieszył się zatem, że w ogóle dociągnął do końca.

Agentka krzyczała dziko, a gdy została sama w łóżku, wciąż rzucała się jak szalona.

Szaman usiadł na stołku, zabrał się za resztki obiadu i nalał sobie jeżynowego wina. Pot lal się z niego strumieniami, a on nachmurzony zastanawiał się, czy nie będzie przeciągu. Do bólu reumatycznego w ramieniu doszedł jeszcze postrzał. Wziął swoją narzutę, wytarł się i zaczął szukać odświętnych strojów, które leżały porzrzucone i podeptane gdzieś na ziemi. W końcu udało mu się je wyciągnąć spod stosu ubrań gości.

– No to jedziemy dalej – rzuciła ochoczo agentka.

Szaman zbladł, a ręce tak mu się trzęsły, że znalezionym płaszczem zamiatął śmieci z podłogi. „Jestem tylko nędznym starcem – nie zasłużyłem na taką śmierć!” – przeleciało mu przez głowę, ale siedział dalej jak ogłuszony.

Na szczęście Jano, z oczami wybałuszonymi od grzybów, nie wiedział, co to trud. A ponieważ dziewczynie zależało już tylko na tym, by dostać to, czego chciała, zaczęli bez szamana.

I znów co najmniej trzy razy wte i wewte. Minęło dobre pół godziny, a szaman zaczął powoli odzyskiwać wiarę w siebie, gdy dziewczyna wreszcie powiedziała „dość!” i zrzuciła Jana. Ten zachwiał się na niepewnych nogach i doszedł po raz czwarty, finiszując na stole tuż pod nosem szamana. Starzec ledwo zdołał odsunąć róg, z którego pił.

„No, wreszcie spokój” – powiedział do siebie.

Agentka leżała. Jano usiadł za stołem i sięgnął po garść muchomorów. Szaman przepasał swój płaszcz i gonił nogą po podłodze za suknią, a Kukułka w ciemnym kącie smarkał w rękaw.

Wyglądało na to, że już naprawdę będzie spokój.

Za chwilę trzeba będzie posłać Kukułkę, żeby wyzebrał kolację.

– Czy stosujesz zakazane metody, towarzyszu? – zapytała nagle ślicznotka na łóżku.

– Ja? – odparł ze strachem szaman. – Jak bym śmiał! Zakazane metody są demoralizujące, tak zdecydował Wielki Naczelnik, a ja...

– Nie chrań, przed nami nie musisz nic ukrywać, to przecież my jesteśmy od tego, żeby kontrolować, czy ktoś nie stosuje zakazanych metod i właśnie dlatego musimy każdemu zaprezentować, na czym polegają, żeby było wiadomo, co jest zakazane. To przecież jasne, nie?

Szaman wiedział, że wszystko, co orzeknie Tajny Urząd Bezpieczeństwa, jest zawsze w sposób oczywisty jasne. Dlatego tylko kiwnął głową.

– Oczywiście ty, jako duchowy przywódca swojej osady, również musisz je znać, żeby móc je kontrolować.

Szaman na wszelki wypadek przytaknął.

– No to chodź – Jano może się popatrzeć, ale z pewnością nigdy się tego nie nauczy.

Szaman spojrział na agenta z dyskretnym uśmiechem.

– Ale tak powinno być – dodała dziewczyna – on jest strażnikiem prawa i szlus. Szaman to co innego. To intelektualista.

– Zgniły – dodał agent, ale raczej nie pod adresem szamana, lecz wskutek automatycznego przywołania wyuczonej frazy. Uśmiechał się przy tym jak nieobecny i łykał grzyby.

Dziewczyna kiwnęła znacząco na szamana i rozłożyła nogi.

Trzeba podkreślić, że szaman znał zakazane metody i wielce je sobie cenił. Zastanawiał się tylko, czy ta suka dowiedziała się o tym od przełożonych. Wszedł do niej na łóżko i podsunąwszy jej pod tyłek zwinięty w kłębek mundur, wbił głowę w jej łono.

Sperma agenta była gorzka i śmierdząca, a dziewczyna skurczami podbrzusza wypuszczała jej z siebie coraz więcej. Ale przecież szaman nie był żadnym podlotkiem, przeżył już w życiu pięć razy tyle, co ta młódka, więc kontynuował spokojnie i metodycznie, z zaangażowaniem właściwym profesjonalistom. Wiedział, co potrafi, a w dodatku był teraz panem sytuacji.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Szaman śmiał się sarkastycznie, a agentka odpływała z tego świata. W połowie szaman wystrzelił jak z procy, obrócił się do tyłu, wsadził jej głowę między swoje kolana i włożył prącie do gęby.

Szybko zrozumiał, że dziewczka ma o tym gówniane pojęcie, tyle że ją pizda swędzi. O mało go nie ugryzła, ale szaman nie przerywał pracy, chichocząc w myślach i chwilę później złożył swe stare, lecz czcigodne narządy na jej cycy, ciesząc się, że wreszcie sobie użyje.

Dopóki się darła, nie odpuszczał jej. Przestał, gdy padła bezgłośnie jak trup, choć pozwolił sobie jeszcze porządnie ją ugryźć. Zwinnie się obrócił i siedząc okrakiem na jej piersiach, bawił się nimi i na nich z ogromnym zaangażowaniem; dawno już chyba żadnej kobiety nie poddał takiej obróbce.

Spokojnie sobie pierdnął, beknął i zszedł z łóżka na stół.

– A więc – agent ze szklanymi oczkami zadudnił głębokim głosem – stosowałeś zakazane metody, a my cię przyłapaliśmy.

Szaman był rozweselony, dlatego nie brał jego słów na poważnie i tylko się szczyrzył. Nalał sobie do pełna; pijąc, ścierał drugą ręką pot z karku, żeby znów nie chwycił go postrzał.

– Nie śmiej się – ponownie odezwał się agent przypominający księżycowego golema. – Przyłapaliśmy cię i basta. Aresztujemy cię, a jak uwzględnimy pozostałe występki, to ci poderżniemy gardło.

Szaman gapił się na niego.

– I zjemy. – dodał agent.

Szaman milczał. Powoli odłożył róg na drewniany stojak; zaczęło do niego docierać, że ten głąb mówi na poważnie.

– Zrobiliście to celowo? – zapytał leniwie.

– Nie. To jej pomysł. Ale przynajmniej nie musimy się bawić w przesłuchania. Jeszcze byś nas oszukał, po szamańsku.

– Masz rację – odpowiedział szaman.

Wiedział już, że dziś nie przestanie się pocić, i że znów chwyci go postrzał. Zastanawiał się, czy w tej sytuacji poderżnięcie gardła nie byłoby lepszym rozwiązaniem.

– Nas nie oszukasz.

– O nie...

– Pakuj majdan i idziemy.

– Czemu?

– Ponieważ i tak mieliśmy cię zgarnąć, a teraz zostałeś przyłapany.

Szaman milczał, czując tępy strach. To, że poderzną mu gardło, ostatecznie nie było tak ważne. Ale przez całe życie słuchał opowieści o tym, co w Urzędzie Bezpieczeństwa dzieje się z aresztowanymi jeszcze przed wykonaniem wyroku.

Kukułka w kącie szczykała zębami tak głośno, że było go słychać. Szaman zdał sobie z tego sprawę, ale zrobiło mu się go nawet żal.

– No to pakuj się.

– Musimy poczekać, aż wróci naczelnik – powiedział szaman niepewnym głosem.

– Nie musimy.

– To niezgodne z prawem...

– To, co robimy, nigdy nie jest niezgodne z prawem.

– Jestem wielkim szamanem... znają mnie we wszystkich osadach naszego plemienia... jestem...

– Jesteś nikim.

– Nie możecie mi nic zarzucić...

– Wszystko możemy.

Szaman widział przez wejście namiotu, jak zachodzi słońce. Wokół krążyły kruki. Wiało. Nie byłoby dziwne, gdyby doszła do tego jeszcze burza śniegowa. Albo nawałnica. Wciąż za wcześnie na wiosnę, dopiero piąta pełnia od przesilenia. W nocy pewnie będzie przymrozek. Kukułka powinien przynieść drewno i kości na nocne ognisko.

– No, zbieraj się!

Szaman powoli wstał i nieobecny wzrokiem rozejrzał się po namiocie. W kącie stały portrety dygnitarzy. W drugim siedział ten biedak skulony w sobie. Na łóżku leżała naga kobieta. Przez wejście wpadało coraz mniej światła, a na zewnątrz, na środku obozowiska, świeciła ogromna mamucia czaszka.

Wahając się i nie wiedząc, co robić, podszedł kilka kroków w stronę beczki, w której trzymał swoje szamańskie kostiumy obrzędowe.

– Przebiorę się – powiedział zupełnie niepotrzebnie.

– Nie! – warknął agent – kto wie, co mógłbyś zrobić. Weź sobie tylko jedzenie na drogę.

Jedzenie w zasadzie zostało zjedzone. Kukułka powinien dopiero pójść po kolację. Ale czy to nie wszystko jedno: iść z jedzeniem czy bez? Chociaż z drugiej strony podróż trwa trzy dni...

Kobieta powoli usiadła na łóżku, opuściła z wielkim zmęczeniem głowę na piersi i powiedziała:

– Zostaw go.

Szaman patrzył na nią zdziwiony.

Agentka ewidentnie go nie widziała. Kopnęła bezsilnie golema ze szklanymi oczkami i kazała podać sobie wino.

– Nie mamy takich rozkazów – dodała chłodno.

– Ale to przecież nie szkodzi.

– Pewnie, że nie, możemy go zgarnąć w dowolnym momencie – odpowiedziała – ale nie chodzi o to, żeby go aresztować.

Szaman nadal stał i obserwował ją.

Golem chciał coś powiedzieć, ale kobieta zatkała mu gębę. Zareagował jak na komendę, usiadł znów w tej samej pozycji, z łokciami opartymi o kolana, i napełnił sobie usta muchomorami. Jego nadrzędny organ znów się uruchomił, ale z golemowej mowy nic już nie zostało. Do przyszłego razu może już tylko rznąć, żreć, spać i zachowywać się uprzejmie nawet wobec przestępców politycznych.

– Usiądźcie, towarzyszu szamanie – powiedziała kobieta i wyciągnąwszy mundur spod tyłka, zarzuciła sobie kaftan na ramiona, ponieważ zrobiło się chłodno.

– Jano miał rację, ale zapomnij o tym. Nic do ciebie nie mamy. Chodzi o to, że w ogóle z nami nie współpracujesz.

Szaman usiadł. Pstryknął palcami na Kukułkę, żeby przyniósł ostatni bukłak jeżyniaka i nalał trochę agentce.

Ona jednak ociężała, ale stanowczo odepchnęła Kukułkę.

– Wyrzuć tego idiotę, niech się nie waży zbliżać do namiotu!

Szaman mrugnął porozumiewawczo do chłopaka i kazał mu zniknąć. Potem jeszcze wyszedł, rzucił za nim starą kością i krzyknął, żeby spał na śmietniku lub gdzie mu się podoba...

– W ogóle nie współpracujesz, towarzyszu. Przecież to duży, naprawdę duży obóz; mimo to nic się tu nie dzieje, wyjąwszy drobnostki w rodzaju kobiet z sukniami na lewą stronę lub chłopaka, który chodzi obnażony wokół ogniska; czasem najwyżej ktoś spróbuje zakazanych metod, a te, jak wiesz, osłabiają płodność i grożą wyginięciem plemienia – pokiwała głową, której wciąż nie podniosła, mówiła więc niezrozumiale do własnych piersi, pod kotarą z włosów, które po rozwiązaniu warkoczy zakrywały jej całą twarz. – Albo ktoś nie rozdzieli świętego ognia w namiocie tych starych bab i nie pobłogosławi go... – zamilkła, a szaman lekko się wzdrygnął, choć agentka nie sprawiała wrażenia, jakby było to coś ważnego. – Przecież tutaj muszą mieć miejsce jakieś czyny antypaństwowe, inaczej się nie da... jakieś tańce młodych myśliwych... a my o tym nic nie wiemy.

Szaman patrzył się na nią w milczeniu z aroganckim grymasem na twarzy. „Skoro wiedzą nawet o tym – to czego jeszcze chcą?” – kalkulował w myślach.

– Wiemy o tym, oczywiście, że o tym wiemy, ale tylko tak ogólnie – że ma to miejsce, żadnych szczegółów. Musimy jednak się dowiedzieć, kto tam chodzi, jak się zachowuje, kto go do tego namawia, kto śpiewa, kto komponuje zakazane pieśni antypaństwowe, kto przeciwko nam podjudza, kto agituje za odejściem z obozu na lodowiec, kto sobie pomyślał, że jest za mało zwierzyny – po prostu wszystko. Trzeba znaleźć w waszej osadzie jakiegoś przestępcę politycznego, zdemaskować go, oddać pod sąd i ukarać. Nieustanny strach sprawia, że ludzie stają się czujni i ostrożni, więc sami garną się do współpracy.

„Nieźle was szkolą w tej Akademii – pomyślał szaman – rzeczywiście pełen profesjonalizm. Zero fuszerki”.

– W konkretnym przypadku, jeśli sytuacja tego nie wymaga, nie musimy interweniować w sprawie każdego chłopca, który z tobą tańczył – ale musimy o nim wiedzieć, musimy mieć pełny wgląd we wszystko, co się tu dzieje.

– Towarzyszko, ja mam już swoje lata – zaczął powoli szaman – prawie nic nie pamiętam. Nikogo nie znam – chyba że z widzenia. A jeśli coś usłyszę, to albo natychmiast zapominam, albo wszystko mi się płacze. Niestety, Urząd Bezpieczeństwa nie może na mnie polegać, trzeba znaleźć w naszej osadzie kogoś młodszego, sprytniejszego i zdolniejszego.

Czekał z obawą na jej odpowiedź.

– Też tak sędzę, towarzyszu szamanie, dokładnie tak mówiłam towarzyszom z góry. To są zadania dla kogoś młodszego i mniej obciążonego obowiązkami. Ty masz przecież mnóstwo pracy.

– Zdecydowanie – odparł niepewnie szaman.

– Znaleźliśmy tu kogoś takiego, towarzyszu szamanie – podniosła się powoli, jakby chciała to jeszcze podkreślić.

Szaman znów zaczął się pocić jak mysz.

– Nie musicie się już więcej martwić, towarzyszu. My się tu wszystkiego łatwo dowiemy. Po cóż mielibyśmy cię obciążać...

– Słusznie... – chrząknął i musiał sięgnąć po wodę, bo zaschło mu w ustach.

– Słusznie... – powtórzyła za nim.

Zaległa cisza.

Szaman znów się napił; cisza go drażniła, więc odważył się przerwać milczenie:

– Cieszę się.

– Tak.

– To dobrze – powiedział szaman i czekał.

– Mimo to nie można zapomnieć, że w ogóle z nami nie współpracujecie, towarzyszu.

Szaman milczał i pokaszliwał.

– Trzeba wykryć zdrajcę ojczyzny, zdemaskować go i ukarać, bo za długo już w tej osadzie niczego nie wykryto. Tak nie może być. To niemożliwe, że nie ma tu przestępców politycznych i zdrajców ojczyzny. To przecież jasne. Nie można również pozwolić, żeby przez tak długi czas nie udzielano publicznej nagany. Przez to ludzie zapominają o swoich obowiązkach. Wydaje im się, że nie muszą nic robić. Że nie muszą słuchać. Gotowi są twierdzić, że byłoby lepiej, gdyby wzięli sprawy w swoje ręce. I to jest problem. I ty to wiesz. Wiesz, że nie można dopuścić do tego, żeby ludziom zaczęło się wydawać, że mają rację. Jesteś wielkim szamanem, tylko kiepski z ciebie kaznodzieja. Dobrze, zatem... dostaniesz tutaj kogoś młodszego do pomocy.

Szaman znów zachwiał się jak osika.

Kobieta odrzuciła głowę do tyłu, potrząsnęła włosami i po raz pierwszy popatrzyła na niego uważnie.

Nie wytrzymał jej spojrzenia.

– Chcemy, żebyś wykrył tu jakiegoś przestępcę politycznego – wystarczy jeden, góra dwóch. Pamiętaj, że niekoniecznie poderżniemy im gardła; przynajmniej nie teraz. Wiesz jednak, że musimy nad nimi czuwać. Inaczej poderzną je sobie sami. Masz na to dziesięć dni; potem znów się tu pojawimy, a ty ich nam przekażesz.

Kobieta mówiła teraz twardo i stanowczo.

Szaman oblizywał wargi językiem, ale zaraz pomyślał, że mogłaby to uznać za niesłuszną aluzję do tego, co robili przed chwilą. Przestraszył się, zacisnął wargi i spoglądał niepewnie w kąt.

W namiocie było już prawie zupełnie ciemno, tylko na kobietę i siedzącego przy niej na stołku szamana z zewnątrz padało słabe wieczorne światło.

Oboje patrzyli na siebie.

– Ja naprawdę nikogo nie znam – powiedział ciszej, niż chciał.

– Nie szkodzi. Nam to nie przeszkadza. Musisz go jednak poznać w ciągu dziesięciu dni. Nie zapominaj, że będę dostawać najświeższe informacje w tej sprawie. Nie zapomnij o tym! My się już prawdy dowiemy. Ty musisz się tylko zachować jak uświadomiony szaman i towarzysz. Nie jesteś głupi, chyba wszystko dotarło.

Szaman odkaslnął; napił się i otworzył usta.

– Zamknij gębę! – powiedziała z naciskiem. – Idziemy z powrotem do kobiet naczelnika. Oprócz tych muchomorów nie ma tu nic do jedzenia. Wyrzuć tego pokrakę. Gdy za dziesięć dni wrócę, nie chcę go tu nawet widzieć. Wiesz, że dowiemy się wszystkiego.

Jednocześnie założyła z powrotem kaftan – jej cycki naprawdę były tego warte.

Potem naciągnęła suknię i przepasała się.

Trąciła Golema, który siedział niemo w odrętwieniu, a teraz automatycznie się podniósł. Był niezłe nagrzany.

Szaman rozejrzał się za pochodnią lub choćby łuczywem, ale zdał sobie sprawę, że ogień niemal zupełnie zgasł.

Tymczasem goście byli już przy nagiej czaszce mamuta.

IV. Las

Szaman wyszedł przed namiot i rozejrzał się ponurym wzrokiem. Nad obozem było nawet jasno, ale w miejscu lasu stała ściana drżącej mgły. Miał wrażenie, że jest mokra i ciekną z niej krople; wzdrygnął się, choć nie było zimno.

Od czasu wizyty z Urzędu miał zatwardzenie; przechadzał się przed namiotem, żeby je rozchodzić. W przeciwnym razie Kukułka będzie musiał zrobić mu lewatywę.

Morderczo krótki termin jeszcze nie upłynął.

Poszedł kawałek dalej i zatrzymał się bezmyślnie przed szamańskim drzewem, stojącym na specjalnie przygotowanej polance po prawej stronie namiotu.

Był to martwy pień wysokiej brzozy, którą niegdyś sam wyszukał w lesie; wyszukał bez problemu, prawie na ślepo, usatysfakcjonowany, gdy zobaczył, że jej koronę rozjaśnia blask. Potem ścięto ją i przyniesiono tutaj.

Teraz w koronie pozostało jedynie siedem grubych gałęzi; wchodził na nią tak często, że stała się gładka jak otoczak.

Stanął przed nią. Wszyscy patrzyli na ten pniak z nabożnym szacunkiem, ale tylko on wiedział dlaczego. Tutaj był przecież środek świata; szamańskie drzewo rosło niewidzialnie aż pod niebiosa i wrastało w ziemię, aż do jej wnętrza, wokół niego krążyły słońce i księżyc, wokół niego gromadziły się wszystkie istoty na ziemi, pod ziemią i nad ziemią, jego najgłębszy korzeń wbijał się w tysiącletnią rybę, a jego najdłuższa gałąź wiała się aż do sfery Najwyższego Ducha, kończąc wprost w jego ognisku.

Szaman obserwował drzewo z kamienną twarzą, skupiając uwagę na rozpoczynających się w żołądku manewrach. Dziś nie wchodzi już na nie tak często. Jedynie przy okazji publicznych ceremonii. Dziś wie już, że prawdziwe szamańskie drzewo, oś świata, ma w sobie; może na nie wchodzić i schodzić z niego, kiedy tylko zapragnie, nie ruszając się nawet z łóżka w namiocie. Siedem gałęzi symbolizowało siedem niebios, a tyleż korzeni – siedem podziemnych światów. Dawniej, gdy był jeszcze młody, wędrówka pod ziemię była trudna i szczególnie niebezpieczna; bał się jej. Teraz już nie sprawiała mu kłopotów. Dobrze znają go w światach na górze i na dole, więc ułatwiają mu przejście. A może ma nad nimi taką władzę? Niegdyś wiele nad tym rozmyślał; był jeszcze wtedy silnym mężczyzną i cieszyła go myśl, że naprawdę posiada tak wielką władzę. Pragnął jej jeszcze więcej; pragnął władzy starożytnych szamanów, chciał być potężniejszy od Najwyższego Ducha na niebie i Najwyższego Ducha pod ziemią. Władza go odurzała, pysznił się nią; każdy mógł to odczuć, a myśliwi ustępowali mu z drogi. On jednak pragnął jeszcze większej władzy i mocy, chciał być jeszcze potężniejszy. W trakcie jego seansów starzy myśliwi i ich naczelnicy – a kilku już ich przeżył – padali i mdleli z przerażenia. Zwoływał ich, kiedy mu się podobało, na zgromadzenie wokół starej brzozy – drzewa życia, osi świata – i wstępował na ich oczach do niebios na wiele godzin, przekazując im, co widzi, którędy przechodzi, z kim rozmawia, z kim walczy i kogo pokonuje. Głupieli od tego na całe tygodnie.

Szamana skręcało w brzuchu, ale stał nieugięty, nieruchomy i wyprostowany – to chyba jedyny pożytek, jaki niosły ze sobą jego ćwiczenia.

Nie umiał sobie przypomnieć chwili, w której przestało go to bawić.

To zastanawiające, że nie mógł sobie tego przypomnieć – stwierdzał po raz kolejny.

Władza nad duchami i ludźmi w pewnym momencie przestała go pociągać. Przetrwało tylko pragnienie władzy nad ludźmi. Przeszkadzało mu, że ludzie zaczynają zapominać o wielkim szamanie, którego mają u siebie, bo przestał im demonstrować swoją wyższość. Pewnie trwało to kilka lat.

Chciałby mieć więcej władzy nad ludźmi lub przynajmniej wzbudzać należyty szacunek; teraz pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek. Ale nic się nie dało zrobić. Nie pragnął już władzy nad duchami, nie chciał panować w ich świecie, więc z czasem zaczął ludziom obojętnieć.

Przez pewien czas mówił sobie, że powinien się przed tym bronić, udawało mu się czasami z sukcesem przygotować jakiś seans, ale musiałby to robić tak często, jak kiedyś, a z biegiem lat coraz bardziej to zaniedbywał.

Ostatecznie zupełnie z tego zrezygnował.

W końcu poczuł, że rozruszał jelita i pobiegł do swojej toalety.

Dopiero po wypróżnieniu poczuł się bardziej świeżo niż zazwyczaj. Po odejściu agentów czuł się sponiewierany – nie sposób tego nazwać inaczej – więc następnego dnia musiał wejść w trans, żeby odnowić siły życiowe i odzyskać równowagę. Musiał to robić od czasu do czasu, żeby w ogóle żyć. Ostatnio jednak kwestia życia i śmierci stała się mu obojętna, więc wchodził w trans już tylko kilka razy w roku. Ciągłe podtrzymywanie i odnawianie sił życiowych wydawało mu się zbędne, skoro nijak się to miało do istoty rzeczy – do poznania. A może po prostu bezkarnie gnuśniał.

Pokrywająca las mgła przesunęła się tymczasem nad osadę. Było ciemno, ledwie widział swój własny namiot; nic poza nim. Krople rosy osiadały na skórach, brodzie i włosach. Czasem wiatr zawiewał silniej, a mgła kołysząc się, płynęła dalej. Było jeszcze dość ciepło.

Myśliwi wciąż nie wracali, obóz niemal się wyludnił. Szaman wygrzebał zużytą do cna odzież roboczą: lekki króliczy kaftan bez rękawów, prawie całkowicie wyliniały, i letnie spodnie z jeleniej skóry, których czasy świetności minęły jakieś dwadzieścia lat temu. Kaftan obsyty był dziesiątkami kości, a spodnie przytrzymał pas pełen małych woreczków z magicznymi amuletami. Zdecydował, że pójdzie do lasu; zabrał ze sobą kilka niewielkich, plecionych toreb, w których zamierzał schować to, co ewentualnie uda mu się zebrać. Z kąta wyciągnął spiczasty kostur; wziął również ze sobą małą, ostrą motykę z poroża renifera. W namiocie panował bałagan, bo Kukułka został wyrzucony do czasu powrotu agentów i szaman nie miał nawet pojęcia, gdzie się teraz podziewa. Postanowił, że w drodze powrotnej znajdzie jakąś dziewczynę, żeby mu posprzątała.

Mgła znowu odpłynęła z obozu; rozlewała się teraz u zbiegu rzek; miejscami można było dojrzeć równiny w oddali.

Las odsłonił się w pełni. Był mokry i czarny. Idąc przez łąkę, szaman zupełnie przemoczył sobie nogi. Był na to jednak przygotowany: szedł boso, a mokasyny z cienkiej skóry niósł w rękach, żeby ubrać je dopiero w lesie. Nigdy nie polował i w ogóle nic nigdy nie robił, był więc wydelikacony jak małe dziecko. Nawet dziewczynki, z wyjątkiem zimy, nie potrzebowały butów. Jego natomiast drażnił każdy kamyczek i gałązka.

Pod lasem oskubał krzak z młodych pnączy. Będzie miał co przeżuwać, gdy wróci.

Potem wszedł do lasu w miejscu, gdzie kobiety i dzieci chodziły zazwyczaj po chrust. Teren był częściowo wykarczowany, więc szło się dość łatwo.

Nowy welon mgły rozwinął się przed nim i objął wszystko dokoła. Dostrzec można było tylko pnie najbliższych drzew; nawet ziemia pod stopami była niewyraźna. Wokół zapadła ciemność. Szaman szedł żółwim tempem, zerkając jedynie pod nogi, by niczego nie przeoczyć. Właściwie było mu całkowicie obojętne, co znajdzie i czy w ogóle cokolwiek.

Usłyszał dziewczęcy głos. Ktoś śpiewał kołysankę o wilku i lisie, którą szaman pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Głos był przytłumiony i zniekształcony przez mgłę, więc nie poznał go od razu. To była Muszka.

Powinien do niej podejść? Zatrzymał się.

Potem ruszył nieco żwawiej w jej stronę.

Kiedy w gęstym, szarobiałym mleku mgły prawie na nią wpadł, uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć.

Pozdrowiła go przejęta szczerą bojaźnią; przestała zrywać korzonki i wyprostowała ręce wzdłuż sukni, czekając pewnie, aż przejdzie.

Ale szaman, nie wiedząc dlaczego, zatrzymał się.

Odkasznął, splunął przed siebie i na w pół nieobecny wzrokiem zerknął na Muszkę.

– Chodź, pomożesz mi szukać gąsek – powiedział, byle w ogóle coś powiedzieć.

Muszka posłusznie wzięła swój koszyk oraz jedną z jego plecionych toreb i stała, czekając, dokąd pójdzie szaman.

– Idź przede mną, nie zgubię cię – powiedział szaman i wskazał w głąb lasu.

Mgła znowu się ulotniła; rozjaśniło się i można było dostrzec zaczynające się tutaj dzikie głązy, rozsypane jak pokruszona skała aż po sam szczyt góry, którą porastały nieliczne krzaki.

„Tutaj raczej zbyt wielu grzybów nie znajdziemy” – pomyślał szaman, ale mimo to dalej szedł za Muszką, która w głupim posłuszeństwie podążała w przypadkowo wskazanym kierunku.

Zrobiło się jasno, jakby nad lasem wzeszło słońce.

Muszka zaczęła wspinać się po kamieniach.

– Ile ty już masz lat, Muszko? – spytał szaman, ale musiał powtórzyć pytanie; był zbyt daleko albo Muszka za bardzo się bała.

– Mówią, że czternaście.

„Jeszcze nawet nie jest kobietą” – pomyślał szaman.

– No to chyba cię ktoś wkrótce poślubi.

– Być może.

Szaman wspinał się po głazach; w pewnym momencie zatrzymał się i rozejrzał. Byli już ponad lasem. Zobaczył porzucone i zniszczone w czasie zimy gniazda gawronów. Zdawało się, że małe, świetliste i miękkie, wiosenne gałązki starych wysokich świerków są na wyciągnięcie ręki.

Dreszcz przebiegł mu po plecach, a między palcami zaczęła przeciekać rzadka, siwa jak dym mgła. Odwrócił się. Nigdzie nie widział Muszki. Obłok zimnej mgły zgęstniał przed oczami, ograniczając widoczność do kilku kroków.

Dostrzegł w tym magię lasu; Muszka stała się nagle niewidzialna, a przecież jeszcze przed chwilą była kilka kroków przed nim. Było to tajemnicze, a zarazem piękne.

Zawołał ją. Odpowiedziała po dłuższej chwili, jakby gdzieś z oddali.

Jakby weszła na Drzewo Świata i wołała do niego z wysoka.

Szaman podążył za głosem w wirującej, mlecznej cieczy, która przybierała różne kształty.

Nagle mgła rozstała się na moment i zobaczył ją na pobliskim głazie. Była to jednak leśna nimfa; jej oczy żarzyły się, rozjaśniając mglistą zasłonę; ubrana była w długą, opływającą szatę z wiecznie zielonych i wiecznie szumiących liści, wyciągała ręce w jego stronę. Nagle kurtyna mgły opadła.

Szaman zaśmiał się cicho. Dobrze znał leśne nimfy i leśne elfy, tak samo jak ogry z górskiego lasu i skrzaty z leśnych polan. Byli jego przyjaciółmi, niemal poddanyymi.

Wiele się od nich nauczył, tak samo jak od zwierząt, kamieni i potoków. Dlatego cieszył się, że znów dostrzegł jedną z mieszkańek lasu. Widywał je coraz rzadziej. Wszyscy uciekali przed ludźmi.

Znowu zawołał Muszkę.

Odpowiedziała mu od razu, a on poznał niezawodnie, że woła z miejsca, gdzie przed chwilą zobaczył nimfę. Nie był rzecz jasna zaskoczony. Czyż nimfa nie mogła na moment oblec się w ciało Muszki, nie zwracając nawet jej uwagi? A może Muszka jest dzieckiem leśnej dziewczicy, o czym nikt nie wiedział, dopóki nie ukazała się mu? Wszystko było możliwe.

Mgła spływała strumieniami po głazach, powoli umykając jego palcom. Wszedł w stronę Muszki, aż zobaczył jej nogi.

Były tak ładne jak nogi agentki, może nawet ładniejsze. Przyszło mu to do głowy dopiero, gdy do niej dotarł. Czekala cierpliwie, żeby pokazał jej drogę. Tutaj z pewnością żadnych gąsek nie znajdują.

Szaman nie wiedział jednak, gdzie ich szukać, chociaż las, skaliste wzgórze i sam szczyt były mu dobrze znane. Poczul, że miesza mu się w głowie.

Spytał Muszkę, a ona ochoczo odpowiedziała. Teraz szaman wiedział już, którędy i dokąd się udać, ale nie wiedząc po co, przysiadł. Na skale nie było tyle miejsca, więc Muszka stanęła bardzo blisko niego; nagle oparł głowę na jej kolanach. Poczul, jak zastygła, żeby móc go podeprzeć, więc został w tej pozycji i spoglądał w dół na mgłę, która płynąc i wirując, zrzędła po raz ostatni i rozproszyła się.

Gdy odwrócił głowę, łatwo mógł dostrzec całą jej postać. Muszka stała i również spoglądała w dół lasu. Zapewne bała się na niego spojrzeć.

– Wiesz, że widziałem tu leśną nimfę? – zapytał.

Muszka lekko się zachwiała, jej oddech przyspieszył.

– Nie bój się, dobrze mnie znają, nic ci nie zrobią, kiedy jesteś ze mną.

Po chwili spytał:

– Widziałaś już jakąś?

Muszka przytaknęła milcząco i bojaźliwie.

– Są do ciebie podobne.

– Niektóre są bardzo złe... – wyszeptała Muszka.

– Tylko dla niegrzecznych dziewczynek – zaśmiał się szaman.

– Porywają dzieci...

– Być może – odparł i po chwili dodał – widziałem u nich kilkoro dzieci, które były do ciebie podobne.

Muszka znowu zadrżała.

– Często się odwiedzamy – powiedział szaman, choć wiedział, że trochę przesadza.

– Jak z nimi rozmawiasz? – wykrztusiła z siebie Muszka.

– Czasami w języku szamanów, niekiedy w ich języku, ale zdarza się, że przemawiają też ludzkim głosem.

Rzeczywiście tak było.

W pobliżu znów zrobiło się jaśniej, można było dostrzec, jak ponad wierzchołkami drzew obłok mgły wędruje powoli w stronę równin.

Zebrali się i ruszyli. Szamanowi towarzyszył uroczysty, niemal podniosły nastrój. Pomyślał, że może dziś jest dobry moment, żeby wspiąć się na sam szczyt. Szedł przodem, wiedząc, że zna drogę lepiej niż Muszka.

Czasami kamienie usuwały się im spod nóg, miejscami musieli się przeciskać przez wąskie szczeliny między wysokimi skałami. Zbliżali się do szczytu. Był to zaledwie malutki szpikulec, początek górskiego łańcucha, który ciągnął się i rozszerzał na północ, w kierunku lodowca.

Spytał Muszkę, czy widziała już lodowiec.

Tylko z daleka, ale jeszcze na nim nie była.

– W ostatni dzień drogi na lodowiec dociera się na nagie pustkowie pełne kamieni zrodzonych z lodowca. Wszystkie skały zrodziły się kiedyś z lodowca – pouczył ją szaman.

Wstęgi mgły wciąż ich oplatały. Towarzyszył im ostry wiatr. Wszędzie wokół, tak jak pod lodowcem, pełno było kamieni. Mgła na przemian ukrywała i odsłaniała Muszkę. Skrywała jej kostki, obejmowała w pasie, a chwilę później zasłaniała po samą głowę. Potem znów wynurzała się głowa albo ręce i nogi; Muszka rozpadała się na kawałki, które wędrowały osobno i łączyły się ponownie w całość na oczach szamana. Nie był zdziwiony. Wiedział, że tak właśnie robią duchy skał. Doświadczył takiego rozpadu podczas szamańskiej inicjacji, gdy duchy wybrały go na szamana. Być może to tylko gęsta mgła sprawiała takie wrażenie, ale równie dobrze, w tych dziwnych warunkach, Muszka mogła zostać naprawdę rozerwana i scalona, nawet o tym nie wiedząc. Szaman obserwował to często u swoich uczniów. Może właśnie wybrano Muszkę na szamana?

Zatrzymał się uderzony tą myślą jak ciosem w splot słoneczny.

„Wziąłbym ją na praktykę” – pomyślał w jednej chwili i nagle przeszył go radosny dreszcz pełen fizycznej energii.

„To by wszystko rozwiązało!” – pomyślał. Miałby Muszkę przy sobie, nie musiałaby wychodzić za mąż, a gdyby chciała, mogliby się później pobrać. Chyba dlatego jeszcze nie odważył się jej tknąć nawet palcem.

Szedł dalej, nie mając odwagi się obrócić, ale słyszał za sobą każdy jej ruch.

„Wspina się ze mną po skałach – pomyślał – może powinienem jej dać mokasyny?”

To jednak byłoby trochę dziwne. Jeszcze pomyśli, że chciałbym ją zaczarować i zjeść – zaśmiał się.

Wiedział, że krążą takie pogłoski o szamanach; niektórzy naprawdę tak robili.

Wreszcie dotarł na szczyt; patrzył, jak Muszka wdrapuje się za nim. Usiadł. Zachęcił ją, żeby również usiadła.

Patrzyli na odległe równiny, po których snuły się białe i szare, mgliste chmury. Wydawało się, że słońce świeci nisko nad nimi i otula ich żółtym światłem.

Usiedli pod skalnym wyłomem, żeby nie wiało im w plecy i czuli letnie, wilgotne ciepło.

Szaman z bliska przyglądał się uważnie Muszce. Siedziała bokiem do niego, ciągle bojąc się lub wstydząc na niego spojrzeć. Widział jej pełny profil, a gdy wpatrywał się w jej rysy, dziecięce, a zarazem dojrzałe, nachodziły go grzeszne myśli.

„Czemu ja się właściwie przejmuję głupim Urzędem Bezpieczeństwa – przyszło mu na myśl. – Jeśli zostanie moją uczennicą, to... możecie mnie wszyscy pocałować w dupę”.

Wyobrazził sobie, jaka to byłaby radość i szczęście, gdyby uczył ją wszystkiego, co umiał i wiedział.

– Nie miałaś nigdy wrażenia, że duchy chcą ci coś powiedzieć? – zapytał.

Lękliwie pokręciła głową.

– Opowiedz mi o sobie, Muszko – powiedział.

– Ale co? – spytała ze zdziwieniem, mimowolnie kierując twarz w jego stronę; spojrzała mu w oczy, ale zaraz znów odwróciła głowę.

– Co ci się śniło dzisiaj w nocy?

– Śniło mi się, że wielka śnieżna sowa krąży i krąży, a potem niby lecąc, szukałam na ziemi mysich dziur – odparła z powagą.

– Byłaś śnieżną sową w którymś z poprzednich wcieleń – szaman rzucił na chybił trafił, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. – A wczoraj albo wcześniej?

– Raz mi się wydawało, że widzę piękną, białą lanię renifera, szła sama po równinie pełnej śniegu, zupełnie sama, i świeciło słońce, a lania nie dotykała ziemi, tylko szła po promieniach słońca, trochę nad ziemią – pokazała ręką jak wysoko.

– I co jeszcze?

– Już nic. Ale ta łania była śliczna i cała ze złota...

„Śni jeszcze jak dziecko” – pomyślał szaman i dodał:

– W przyszłym życiu będziesz łanią, Panią Reniferów, a ja będę reniferem, Panem Stad.

Obróciła się w jego stronę przestraszona.

– Właściwie już jesteś Panią Reniferów, a ja jestem Panem Stad, byliśmy nimi od zawsze. Tylko zachciało nam się spróbować życia wśród ludzi. U reniferów jest jednak piękniej.

– Naprawdę byliśmy...?

– Byliśmy i będziemy. Teraz wciąż przebywamy wśród ludzi. Ale jeśli zechcemy, moje potężne zaklęcie przemieni nas w renifery.

To prawda. Szaman znał takie zaklęcie i korzystał już z niego. Wierzył, że wraca z powrotem do ludzkiego ciała tylko dlatego, że chce i był niemal pewny – choć nie do końca – że gdyby postanowił pozostać reniferem, nic by mu w tym nie przeszkodziło.

– Ach, ty naprawdę wszystko umiesz! – westchnęła Muszka zachwycona wizją szamana. – Znasz też mowę reniferów?

Szaman widział po jej twarzy, że to dziecko. Oczy jej się rozjaśniły; wpatrywała się naiwnie w swój sen. Ale inne dziewczyny w jej wieku już od dawna tego nie potrafiły. A dorośli w ogóle. Zwyczajnie się bali. Nie cieszył ich świat snów.

– Znam mowę reniferów i wszystkich zwierząt – odparł szaman z powagą, choć czule. Cieszył się, że się rozgadała.

– Masz tam żonę? – spytała bez zająknięcia, z ogromnym zaciekawieniem.

Szaman zastanowił się przez chwilę, jak jej to wyjaśnić, a potem odpowiedział:

– Wziąłem za żonę jedną ze swoich duchowych opiekunek, z szóstego świata niebiańskiego.

– A masz z nią dzieci?

– Dwoje. Chłopiec jest już dorosłym myśliwym, a dziewczyna jest w twoim wieku.

– To piękne... – wyszeptała powoli i w uniesieniu.

– Ale moim głównym opiekunem jest potężny Duch Nocy – zdradził szaman.

– Duch nocy... – wzdrygnęła się Muszka.

– Szamanami opiekują się różne duchy: Duch Skał, Duch Słońca, Duch Południa lub Północy, Duch Rzeki – odparł łagodnie szaman.

– Mogę powiedzieć w domu, że masz dwoje dzieci? – spytała w napięciu.

– Oczywiście, że możesz, pewnie wszyscy dorośli w obozie o tym wiedzą; tylko nie mów, że to ja ci o tym opowiadałem – odparł nagle szaman.

„Zaraz by ją wydali za mąż” – pomyślał gorzko i w tym samym momencie święty czas, który współdzielili, jak gdyby zaczął się wykruszać.

Spoglądał zasmucony na swoje szmaty i ukryty pod nimi pępek. Pomachał nogami, które nawet przez nogawki spodni wyglądały na najbardziej żalosne w całej osadzie. Podwinął posiwiałą brodę, która dawno utraciła rdzawy odcień. Mimowolnie pogłaskał się po lewym ramieniu, które dokuczało mu przy wilgotnej aurze; dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

„Jeśli ma zostać szamanem, duchy same muszą ją wybrać” – zauważył słusznie. – „Nic tu nie zdziałam. Jeśli to nie jest jej przeznaczeniem, nic nie stanie na przeszkodzie, żeby jeszcze w tym roku wyszła za mąż. Pewnie sama nie może się doczekać. Nic mi do tego”.

Milczeli przez dłuższą chwilę, patrząc przed siebie.

Potem szaman zaczął powoli schodzić. Było mu trudniej, niż przypuszczał. Rozbolały go wszystkie gnaty i strzykało w krzyżu. Poruszał się tak niezgrabnie, że Muszka skoczyła przed niego i podała mu rękę.

Obudziło się w nim coś złego i nieprzyjemnego; skrzyczał ją i kazał wracać samej do domu.

Muszka posłusznie zeskakiwała z kamienia na kamień. Szaman wiedział, że sam zejdzie na dół, jak stary żuk. Stał oparty o skałę i patrzył za nią. Muszka skakała i skakała, wciąż się oddalając, lecz ciągle była takich samym rozmiarów jak wtedy, gdy stała przed nim. Dostrzegł to dopiero po chwili i po raz pierwszy naprawdę się zdziwił.

Wiedział, co to oznacza: jego dusza go opuściła i szła razem z nią; nie mógł się z nią rozstać.

Była już daleko w dole i zbliżała się do granicy lasu. Nagle stała się mała jak strzyżyk i zniknęła za drzewami.

V. Jaskinia

1

Wczesny letni dzień zaczął się pięknie. Rano było jeszcze dość przyjemnie i chłodno, ale szaman jak zwykle przespał ten moment, podczas gdy cały obóz krzątał się już jak w mrowisku. Szaman z pogardą spojrzął na osadę przez otwarte wejście namiotu i przewrócił się na drugi na bok. Zaraz jednak przypomniał sobie o swoich dzisiejszych planach i wstał z łóżka.

Wczoraj wykąpał się w drewnianych nieckach – co jak zawsze wzbudziło szczere przerażenie w całym obozie – a Kukułka wyszorował go witkami wierzby. Zamierzał dziś malować w jaskini. Barwniki szybko schną w suchym i ciepłym powietrzu.

Już wczoraj wszystko przygotował: startą dokładnie na proszek glinę, wyczyszczone paletę, szpachlę, pędzle, szczotki, rozpylacze – ułożone starannie na stoliku pod szamańskim bębenkiem. Nawet Kukułka, choć nie udało się go wczoraj wrzucić do niecki, przynajmniej się obskrobał i wycesał wszy.

Jaskinia była ulubionym miejscem szamana już od dzieciństwa. Pamiętał, że w odróżnieniu od innych dzieci nie przestrzegał surowego zakazu i zaglądał do niej, kiedy tylko mógł. Oczywiście tylko do pierwszej, wejściowej jamy, do której docierało jeszcze trochę światła, więc po chwili człowiek mógł się rozejrzeć w gęstym, szarym i chłodnym otoczeniu. Wówczas mógł się jedynie domyślać, czym są te gigantyczne obrazy, ale sprawiały one na nim potężne wrażenie. Choć sam jeszcze nie snuł takich myśli, już wtedy było jasne, że duchy wybrały go na szamana.

Ileż dane mu było przeżyć w tej jaskini za młodu! Jeszcze zanim pojawiły się pierwsze symptomy „choroby szamańskiej”, potem w jej trakcie i gdy przeminęła, a on został wyznaczony na szamana przez swojego nauczyciela.

Dziś znał w jaskini każdy korytarz, każdy załom, każdą przepaść. Sam, bez pomocników, opuszczał się po powrozie nawet do najbardziej niebezpiecznych szybów, nigdy nie będąc pewien, czy przeżyje. Nawet jego nauczyciel nie znał jaskini tak dobrze. Jakże często dopadał go podniosły nastrój, gdy w korytarzach, o których przypuszczał, że zostały odkryte dopiero przez niego, na końcu labiryntu, którym przeciskał się jak czerw, dusząc się niemal z braku powietrza, odnajdywał odciski palców i ryciny pradawnych szamanów, żyjących w czasach tak odległych, że nie znał zwierząt, które tam wyryli.

Szaman otaczał bezbrzeżnym szacunkiem starożytnych artystów, których sztuka dorównywała największym dziełom nowożytnych twórców i znacznie przewyższała jego dokonania.

Już dawno przekonał się, ku swemu niezadowoleniu, że nie potrafi rycić ani malować; z największym wysiłkiem może zaledwie kopiować katalog wzorów, który schował w jednym z załomów.

Niestety, do jego obowiązków należało coroczne malowanie nowych obrazów, a gdy z roku na rok ubywało zwierząt, starszyzna zwracała na to coraz większą uwagę. Pamiętał, że jeszcze jego nauczyciel nie musiał co roku, tak jak on, malować nieskończonego szeregu reniferów z oszczepami w brzuchach.

Wiedział również, o czym nie wiedziała starszyzna, nie mówiąc nawet o naczelnikach, że w starożytności obrazy nie służyły do łowieckich obrzędów, lecz przekazywały najbardziej pierwotną i najświętszą prawdę o życiu pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety, pierwszych zwierząt i najstarszych bóstw. Coś na ten temat usłyszał od swojego nauczyciela, reszty dowiedział się sam, kiedy w odległych korytarzach, do których nie odważyłby się zapuścić żaden z myśliwych, odnajdywał wizerunki i ryciny zwierząt żyjących na wolności, które nie były ranne ani upolowane, natomiast nie natrafił na żaden ślad po oszczepie lub strzale, którymi dziś myśliwi obrzucali i ostrzeliwali obrazy.

Wysłał Kukulkę z wielkim cebrem nad rzekę. Cebr, wyżłobiony z pnia dużego świerku, odziedziczył po starym szamanie, który przyozdobił go rzeźbami. Cebr i niecki stanowiły wyjątek w obozie. Nikt nie potrzebował tak dużych naczyń na wodę, ale poprzedni szaman hodował oswojone łanie reniferów na mleko, którym na starość łagodził bóle żołądkowe, więc naczynia były mu niezbędne. Dopiero młody szaman zmienił koryto w niecki. Stary kąpał się raz na miesiąc w rzece, nawet zimą. Młody natomiast lubił podgrzewać wodę gorącymi kamieniami. Reniferów nie hodował. Nie sprawiało mu to przyjemności. W ten sposób sztuka osvajania zwierząt znowu popadła w zapomnienie.

Nauczyciel szamana znany był także z innych dziwactw. Na polance pod szamańskim drzewem hodował trawę; zimą gotował część nasion, a pozostałe zasiewał ponownie wiosną. Kasza z nasion była wprawdzie dobra, ale, według młodego szamana, niewarta takiego wysiłku. Na regularną uprawę zboża trzeba było jeszcze poczekać.

Podczas gdy Kukułka mozolił się niezdarnie pod górę z wielkim i nieznośnie ciężkim naczyniem, szaman, w świątecznym stroju, szedł lekkim krokiem z przodu, rozglądając się po okolicy.

Wiosenny sezon łowiecki skończył się w tym roku wyjątkowo dobrze; po obozie roznosił się zapach wędzonego mięsa i świeżo zdjętych skór, garbowanych przez paplające kobiety przed oczyszczeniem w kadziach z moczem.

Dzieci biegały po obozie i po zboczu, którym wspinał się szaman. Goniąc się, często nie zwracały na niego uwagi, musiał więc ich unikać.

Psy obżarły się i leniuchowały za namiotami.

Dziewczyny zbierały coś w lesie.

Myśliwi tłoczyli się grupami w suchych i ciepłych miejscach, gapiąc się w chmury, bo po udanych łowach nikt się ich nie czepiał, a do podstawowych obowiązków sprawnego mężczyzny w tym czasie zaliczało się możliwie jak najbardziej ostentacyjne lenistwo.

Tylko Brodacz, stary zrzęda, siedział przed swoim namiotem i żłobił ofiarne deszczułki. Szaman mechanicznie splunął. Jego obowiązkiem było je poświęcić, każdą z osobna; wkurwił się, bo Brodacz robił ich codziennie tyle, że mógłby zatrudnić dwóch szamanów.

Kiedy przyszedł do jaskini, usiadł na moment, żeby się ochłodzić; nie chciał, żeby w przeciągu znów chwycił go postrzał.

Potem powoli rozebrał się do naga, a obrzędowe szaty złożył starannie w czystym miejscu.

W kącie znalazł swoją lampę malarską, wyposażoną w specjalny daszek, który osłaniał ściany i sklepienie przed dymem, gdy oświetlał je z bliska. Sprawdził, czy w naczyniu obok jest wystarczająca ilość tłuszczu do lampy; upewnił się również, czy ma krzesiwo i pokruszony, suchy mech. Wszystko było na swoim miejscu.

Czekając na Kukułkę, zapalił łuczywo, a potem odpalił dużą pochodnię, bo w jamie wejściowej sklepienie było na tyle wysokie, że można było bezpiecznie jej użyć.

Odwrócił się plecami do wejścia i zrobił kilka kroków do wnętrza jaskini.

Z czarnej otchłani natarło na szamana stado jeleni. Biegły wprost na niego z podniesionymi głowami i ogromnymi, rozgałęzionymi porożami.

Uwielbiał ten moment, który powtarzał się za każdym razem, gdy wchodził do jaskini. Robiło to na nim potężne wrażenie. Jelenie uderzały kopytami tak głośno, że było je słychać. Szaman wiedział, że myśliwi wierzą, że wszystkie zwierzęta zrodziły się we wnętrzu jaskini, ale wiedział też, że był to tylko starodawny zabobon. W takich chwilach jednak sam chętnie dawał mu wiarę. Zwierzęta pędziły wprost na niego i przyjmowały go do swego imperium. Gdy pójdzie korytarzem dalej, otoczą go kręgiem, a on będzie żył ich życiem i słuchał powierzonych mu tajemnic.

Dziś jeleni już się nie spotykało. Gdy szaman był jeszcze bardzo młody, myślał, że są magicznymi reniferami; dopiero nauczyciel pouczył go, że to inne zwierzęta, a szaman, podczas jednej ze swoich podróży, daleko na południe, nad morze, sam mógł je zobaczyć po raz ostatni. Dla myśliwych nadal pozostały one magicznymi reniferami. Nie znali nawet słowa „jeleni”.

Szaman nigdy nie zrozumiał, dlaczego jelenie odeszły – dotyczyło to także wielu innych zwierząt, które odkrył w najgłębszych zakamarkach jaskini. Myśliwi widocznie je skrzywdzili... dziś realne stało się zagrożenie, że skrzywdzą też pozostałe zwierzęta, które jeszcze z nimi żyły: i co wtedy?

Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Wiedział, że inni szamani się tym martwią, ale to nie była jego sprawa. Ze smutkiem i miłością spoglądał na jelenie, które odeszły stąd już w starożytności.

Uniósł pochodnię wysoko nad głową. Również tam żyły zwierzęta. Jelenie, mamuty, renifery i nosorożce porośnięte długim włosiem.

W młodości sam malował w tym miejscu na ogromnym rusztowaniu, które jednakowoż nie było zbyt stabilne.

Przebiegł wzrokiem swoje obrazy namalowane już jakieś dobre dwadzieścia pięć zim temu. Wiedział, że z daleka nie wyglądały tak niezdarnie jak w rzeczywistości. Nad głową jednego z jeleni namalował w pewnym miejscu mamucią krowę wraz z potomstwem, a w brzuchu innego – kilka małych reniferów. W innym miejscu starał się namalować wilka, ale ponieważ nie potrafił go sobie wyobrazić, wyglądał on jak cielna krowa skrzyżowana z łanią renifera, której dodatkowo dorysował poroże.

Tymczasem pojawił się Kukułka; szaman nalał wody do mniejszego naczynia, zgasił pochodnię, zapalił lampę i wszedł w głąb jaskini.

Przeszedł kręty korytarz, w którym zwierzęta pojawiały się nagle przed nim i natychmiast znikwały, i dotarł do drugiej wielkiej groty, w której zamierzał malować. To tutaj odbywały się obrzędy łowieckie.

Wszedł na kolanach do małej jaskini i w jednym z rogów wygrzebał stos deszczułek ze wzorami malarskimi.

Poprzedni szaman ich nie potrzebował, był znakomitym malarzem; pewnie któryś z jego poprzedników radził sobie z tym równie kiepsko, jak obecny szaman. A może dla przyjemności ściągał je ze wszystkich zakątków świata? Potrafił to zrozumieć, jemu również sprawiały radość, doceniał kunszt niektórych egzemplarzy. W ramach handlu wymiennego z odległymi osadami znacząco poszerzył ten zbiór. Łącznie miał ich już dwa tuziny.

Były to ryciny w miniaturowej skali, wykonane jednak z fascynującą precyzją. Podczas wizyt w innych jaskiniach szaman odkrył dwa lub trzy powiększone oryginały, na podstawie których żłobiono później owe deszczułki.

Szaman dobierał wzorce w migotającym świetle lampy. Po chwili jednak zauważył, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zapalił pochodnię.

Ściany wokół ożyły. Zranione, padające, uciekające i umierające zwierzęta prychały, rzeziły i zawodziły przygnębionymi głosami. Pod nimi można było rozpoznać poważne, dostojne i zamyślane zwierzęta z dawnych czasów.

Szaman wybrał dwa wzorce i przechadzał się po grocie, szukając najlepszego miejsca na nowe obrazy. Zdecydował, że namaluje dwa mamuty zaraz obok siebie, po lewej stronie jaskini, gdzie podczas obrzędów łowieckich stał zazwyczaj razem z naczelnikiem.

Zamieszał barwniki i ruszył do pracy.

2

Po kilku godzinach, w czasie których męczył się okropnie, wyrzucał z siebie niewybredne przekleństwa, a pot lał się z niego strumieniami, miał za sobą pierwszy etap pracy.

Zawołał Kukułkę, siedzącego w wejściowej grocie, żeby mu przyniósł coś do picia.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami, pił i patrzył na wykonane dzieło. Westchnął głośno. Zauważył, że Kukułka gapi się z przerażeniem na nowe malowidło. Wkurzył się, bo wiedział, że Kukułka był ostatnią osobą, która mogła cokolwiek zrozumieć. Uświadomiwszy sobie jednak po chwili swoją niezaprzeczalną niezdarność, powiedział tylko sarkastycznie:

– Pamiętaj, głąbie: historycy sztuki powiadają, że sztuka figuratywna łączy w sobie różne płaszczyzny, przede wszystkim intelektualne, związane z rozpoznawaniem danego kształtu i radością z jego rozpoznania. Możesz mi wierzyć, że te moje bazgroły z rozpoznawaniem kształtu nie mają wiele wspólnego, nie wspominając nawet o jakiegokolwiek radości z jego rozpoznania. To, na co patrzysz, ty głąbie, miało być dwoma mamutami, a nie grudami gliny, które widzisz. Teraz, dla wszystkich niedowiarków, namaluję tutaj jeszcze dwie pułapki na duchy – każdy myśliwy będzie zadowolony. Będzie im wszystko jedno, czy przypominają mamuty, najważniejsze, że zobaczą pułapki, w które można je złapać. Jeśli oczywiście ktokolwiek jeszcze zobaczy jakiegoś mamuta.

Mimo że był głodny – bo w jaskini nie wolno było jeść – rzucił się, żeby namalować to, co sobie ubzdurał. Ostatecznie tylko to potrafił: małe szachownice o dziewięciu polach, każde wypełnione innym kolorem; niektórych nie spotykało się na żadnych innych malowidłach, ponieważ tylko on potrafił przygotować odpowiednią mieszankę. Zadanie nie należało do najłatwiejszych, więc pracował w skupieniu.

– Czy to sprawiedliwe malować zabite zwierzęta? – usłyszał zza pleców głos Kukułki.

Ręka szamana zastygła ze zdziwienia.

– Skąd znasz słowo sprawiedliwy?

– Nie wiem.

– Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– Wiem.

– Ode mnie chyba tego nie usłyszałeś?

– Gawron mi to powiedział.

– Od kiedy ty rozmawiasz z gawronem?

– Od niedawna.

– Wiesz, że to nasz szamański ptak?

– Wiem. Powiedział mi to.

Milczał. „Gdyby nie był idiotą, mógłby zostać szamanem – pomyślał. – Ale musiałby się zabrać do nauki”.

Chwycił szpachlę z nałożonym cynobrem i szybko mu podał:

– Spróbuj malować! Namaluj renifera!

Kukułka podszedł do ściany, szaman wstał, żeby mu poświecić... I zaczął bazgrać.

To było straszne. Jakby trzyletnie dziecko rysowało kreski na piasku. Kukułka namalował cztery czy pięć kresek, dodał do tego na końcu dwie gałązki, czyli pewnie poroże, i skończył.

Szaman splunął i wrócił do pracy przy palecie. Było jasne, że to wszystko, na co stać Kukułkę.

– Ale nie powiedziałaś mi, czy to sprawiedliwe malować zabite zwierzęta.

Ze spokojem, wyuczonym dzięki życiu wśród głupców, szaman odparł:

– Maluje się po to, żeby myśliwym powiodły się łowy.

– Ale czy to sprawiedliwe?

– Skoro potrzebne ludziom, to i sprawiedliwe – powiedział, łącząc barwniki we właściwy odcień.

– A więc to, co potrzebne, jest też sprawiedliwe. A to, co sprawiedliwe, jest potrzebne. Dlaczego zatem oprócz „potrzebny” jest jeszcze słowo „sprawiedliwy” – nie wystarczy jedno?

– Posłuchaj, Kukułko, chętnie bym ci to wytłumaczył, ale ty nic nie rozumiesz z moich wyjaśnień. Poczekaj, aż gawron ci to opowie – cierpliwie odparł szaman, który w takich momentach odczuwał wobec Kukułki coś w rodzaju szacunku. Ale jakie to miało znaczenie, skoro nie mógł go niczego nauczyć?

– Czy to było sprawiedliwe, gdy w zeszłym miesiącu powiedziałaś tej kobiecie, że Kulawy to anarchista?

Szaman przestał mieszać barwniki. Żeby to usłyszeć, ten drań chyba znowu chował się za jego namiotem – pewnie tam, gdzie zbiera się kości do palenia.

Musiał jednak odpowiedzieć na to pytanie, nawet jeśli z Kukułki nie wyrośnie szaman.

– To nie było sprawiedliwe, Kukułko.

– Ale było potrzebne, prawda?

– Było potrzebne!

– A więc to znaczy coś innego...

– Nie, Kukułko.

Milczeli przez chwilę, a potem szaman wrócił do swoich farbek. Siedział odwrócony plecami do Kukułki.

– Więc czym jest sprawiedliwość?

Szaman poczuł niechęć do głupiego malowania głupich pułapek na duchy. Odłożył paletę i woreczki z barwnikami w proszku, ale siedział dalej w tym samym miejscu.

– Sprawiedliwie jest nie krzywdzić. Sprawiedliwie jest pomagać.

– A sprawiedliwe jest zabijać zwierzęta?

Szaman siedział dalej w odrętwieniu.

– Nie, to nie jest sprawiedliwe.

– Myślę, że ten gawron też mi tak mówił – rozmarzył się Kukułka.

Szaman podskoczył, chwycił go obiema rękoma i potrząsał nim:

– Więc ty też przekaż temu gawronowi, gdy będziesz z nim rozmawiał, żeby ci nie opowiadał takich rzeczy, bo ty nigdy nie będziesz szamanem – i jak potem będziesz żył wśród ludzi? Wyślij do mnie tego gawrona, ja z nim porozmawiam!

– On cię dobrze zna – wykrztusił Kukułka.

Szaman załamał ręce:

– No i co ci nagadał?

– On cię zawsze pozdrawia, uważa, że jesteś największym szamanem na świecie i boi się do ciebie przyjść – wymamrotał Kukułka z niewinną, dziecięcą szczerością.

„A to głupiek – pomyślał szaman. – Nie odróżnia nawet swoich myśli od słów ducha. Chodzące nieszczęście!”

– Ale ja mu to przekażę... – wyszeptał Kukułka.

– Nie wpadaj mi tutaj w padaczkę! – krzyknął szaman. – Idź na zewnątrz i usiądź w cieniu przed jaskinią. Wracamy do domu.

Kukułka wybiegł, a szaman uprzętnął miejsce pracy, żeby nazajutrz nie przywitał go totalny burdel.

„Może wymaga się ode mnie więcej, niż jestem w stanie zrobić” – pomyślał, wracając powoli przez korytarz.

Na zewnątrz było już późne popołudnie; powietrze nagrzało się od prażącego przez cały dzień słońca.

Las kładł się długim cieniem na zboczu.

Kukułka siedział przed jaskinią. Wstał i poszedł przodem, żeby jak najszybciej najeść się w domu.

Szamanowi było obojętne, czy Kukułka słyszał jego rozmowę z agentką, gdy wróciła do obozu, ale dałby wiele za to, żeby tak nie było. Nieważne, czy wypapla to w obozie, czy nie. „Jeśli to rozgada, myśliwi będą mnie bardziej szanować” – pomyślał z grymasem. Tylko to wzbudzało jeszcze respekt; to straszne. Czy dawni szamani, którzy wymyślili ideę społeczeństwa równości, wolności i dobrobytu, przeczuwali, czym się to skończy? A może nie mieli racji?

VI. Mała Wiewiórka

1

W piaszczystej zatoczce na brzegu rzeki pluskały się dzieci. Na jednej z piaskowych ławek siedział szaman, ubrany tylko w przepaskę na brzuchu, z zawieszonym w pochwie sztyletem, i obracał w palcach pięściaka, który przypadkiem wydłubał przed chwilą z piasku.

Pięściaków nie używano już chyba od tysiącleci. Ludzie przekazywali sobie jedynie, że ta krzemienista forma, którą dziś rozłupywano na coraz cieńsze i ostrzejsze żyłki, wykorzystywane do tworzenia najróżniejszych sprzętów, używana była dawniej jako samodzielne narzędzie. Był to jakby „praprzyrząd”, z którego powstały wszystkie pozostałe, ale mądrzy ludzie już dawno wymyślili lepsze narzędzia. Do dziś w świątyniach i rodach szamańskich spotykało się te pradawne przyrządy z pierwszych chwil świata. Były świętymi zabytkami; otaczała je aura tajemnicy, bo przecież dotykały ich być może ręce pierwszego mężczyzny i pierwszego szamana, którzy przynieśli je ludziom.

Znaleziony pięściak był jednak nadzwyczaj gruby i nieforemny – po prostu kiepsko obrobiony; nawet siedmioletni chłopiec wstydziłby się takiej pracy.

Nie było to narzędzie dawnych przodków, ale ludzi lodu.

Wszyscy wiedzieli, że gdy ich przodkowie przyszli na świat, natrafili tu na ludzi lodu, żyjących w lodowych jaskiniach wysoko w górach lub na samym lodowcu. Byli podobni do zwierząt: owłosieni jak nosorożce, mali, pokrzywieni, z obłąkanym obliczem; a jednak byli ludźmi. Legendy powiadały nawet, że można było z nimi współżyć. Ale w legendach można współżyć z czymkolwiek.

Kobiety straszyły nimi małe dzieci i od czasu do czasu szerzyły plotki, że ludzie lodu przeżyli. W rzeczywistości jednak nikt w to nie wierzył. Dokąd sięgała pamięć przodków, nikt ich nigdy nie widział.

Tylko szaman wiedział, że żyli naprawdę i żyją być może do tej pory.

Gdy był młody, jego nauczyciel wysłał go z drogocennymi darami do jakiegoś dawnego kompana, który dziesiątki lat temu odszedł ze swoim obozem na południe.

Szaman dołączył do grupy wędrownych myśliwych, którzy zamiast łowiectwem trudnili się transportem różnych rzeczy z miejsca na miejsce – solidnego krzemienia z północy na południe, cynobru i ochry z południa na północ, cennych kamieni i muszli morskich od obozu do obozu – i dotarł w końcu tak daleko na południe, że zobaczył też morze i niebotyczne lodowe góry.

Właśnie tak dowiedział się, że ludzie lodu naprawdę istnieli i być może wciąż żyją.

Pragnął ich poznać.

Po wielodniowej wędrówce odnalazł jaskinię, w której mieszkali – ale ich samych tam nie było. Czekał na nich przestraszony, lecz się nie doczekał. Ognisko nie zgasło wczoraj, raczej setki lat temu. W lodowej jaskini wciąż jeszcze leżało stwardniałe na kość drzewo.

W jej wnętrzu odkrył ich świątynię.

Grube półki z kamienia wewnątrz olbrzymiej czaszki jakiegoś przerażającego drapieżnika.

Zbutwiałe bukiety kwiatów, które po dotknięciu rozpadały się w pył. W środku jaskini krąg ze starannie ułożonych, choć źle ociosanych kamieni.

Szaman był niewymownie zdziwiony. Więc aż tak wysoki poziom poznania udało im się osiągnąć! Wieczny krąg symbolizował nie tylko tarczę słoneczną, był również kręgiem czasu – wiedza ta nawet dziś nie była dostępna dla każdego.

Byli zatem ludźmi i mieli swoją mądrość.

Szaman myślał o nich często i coraz częściej czuł, że coś ich łączy.

Może przekazują mu teraz swoje przesłanie?

Ciągle obracał pięściaka w palcach.

Co czuli, odchodząc ze świata?

Byli ludźmi, tak jak my... i zniknęli.

Bardzo prawdopodobne, że wytępilli ich nasi przodkowie. Może ich upolowali i zeżarli?

Nie ma się więc teraz co dziwić, że kolejne zwierzęta uciekają przed nami w popłochu.

Ale najważniejsze – co czuli ci ludzie, co czuli ich szamani, którzy przecież osiągnęli taką samą mądrość, jak ja, gdy zaczynali widzieć i rozumieć, że cały ich ród, niezliczona rzesza przodków żyła nadaremno – wszystko, co kiedykolwiek zrobili, stworzyli, poznali, wszelka kultura i wszelka wiara, którą wyznawali, stała się zbędna? Nikt jej nie kontynuował, nie został po niej ślad, nie osiągnęła swego celu.

Co czuli ludzie lodu i ich szamani, gdy zrozumieli, że nikomu nic nie przekażą, ponieważ nikt od nich tego nie oczekuje, o nic się nie pyta, pragnie tylko ich zguby...? Co czuli, widząc, że uznano ich za zbędnych do tego stopnia, że nie mogą już nikomu niczego przekazać ani nawet pozostawić po sobie przesłania?

Nie mieli wrażenia, że za wszystkimi ich przodkami, którzy tworzyli i przekazywali kulturę, stała niezrozumiała i niczym nieusprawiedliwiona we wszechświecie grzeszna niesprawiedliwość?

Czy ostatni szaman ludzi lodu nie rzucił na cały wszechświat przeraźliwej, nieodwracalnej klątwy? A może był tak przybity grozą i bólem, że odszedł niemo jak zwierzę?

A jeśli ludzie lodu zostali wcześniej skazani na upadek i duchy wszechświata liczyły się z tym od początku, czy ich wszystkie starania, wysiłki, dzieła, wierzenia i kultury nie były tylko straszliwym, pozbawionym wartości marnotrawstwem?

Nie przewidzieli jednak swojego końca.

My też przypuszczamy, że wszystko, co tworzymy, do czego dążymy i w co wierzymy, jest sensowne, że jest sens to kontynuować, bo będziemy to wiecznie przekazywać dalej.

Uczyli nas tego starzy szamani, mówiąc o społeczeństwie równości, wolności i powszechnego dobrobytu.

Czy nie uczyli tego również szamani ludzi lodu?

Szaman w milczeniu przyglądał się pięściakowi w swojej dłoni. Jakieś nieostrożne dziecko pochłapało go wodą – zamachnęła się nogą i strącił je do rzeki.

A może dobrowolnie odeszli ze świata przepelnionego daremnym trudem i marnością?

Postanowili zniknąć. Zrozumieli, że świat nie ma sensu?

Czy my też będziemy kiedyś zmuszeni zrozumieć, że świat nie ma sensu, a życie na nim jest bezwartościowe?

Mimo naszej cywilizacji i techniki, a nawet mimo wszelkiej naszej sztuki, wiary i wiedzy.

A może na tym właśnie polega ostateczne poznanie?

Szaman poczuł nieprzyjemny chłód, mimo że słońce stale wznosiło się ku zenitowi.

Gdzie są dusze ludzi lodu?

Gdzie są dusze zwierząt?

Zostały zbawione?

A jeśli nie, to dlaczego? Istnieje jakaś różnica między duszą zwierzęcia a moją?

Skoro jego dusza nie zostanie zbawiona, czy mogę tego oczekiwać, jeśli jestem człowiekiem?

A może spotkamy kogoś, kto będzie nas uważał jedynie za zwierzęta?

Uwierzymy mu?

Co pocujemy?

Nie możemy tego pocuć już teraz?

Kukułka stał w stosownej odległości od szamana, starając się zwrócić jego uwagę gestykulacją.

Szaman nawet się ucieszył, że ten głupek przerwał jego rozmyślenia. Odwrócił się do niego.

– Z małą Wiewiórką jest coraz gorzej – powiedział Kukułka.

Szaman rozłożył ręce:

– Przecież wiedz, że muszę zaczekać na zachód słońca – odparł zgorzkniale.

Był zwyczajny letni dzień, taki, jakich się zdarza na pęczki.

Szaman nie miał nic do roboty. Chora Wiewiórka była jego jedynym zadaniem na dziś. Do wieczora czeka.

Podniósł się i powlókł do obozu.

Powoli zbliżała się pora obiadu, a ponieważ Kukułka stracił już zupełnie umiejętność zebrania, szaman sam musiał zadbać o jedzenie.

Wolał unikać namiotu rodziców Wiewiórki, bo na razie nie mógł nic zrobić. Jeśli podają jej do picia herbatę, którą im wczoraj posłał, na pewno wytrzyma do wieczora.

Nadłóżył drogi i wszedł bezmyślnie do obozu tuż obok namiotu Brodacza. Ten opętaniec już kilkakrotnie w ciągu ostatnich czternastu dni domagał się od szamana poświęcenia tabliczek ofiarnych, żeby myśliwi mogli je zabrać. Ponoć do tej pory nie dali mu jedzenia.

Brodacz chwycił go nagle za nogę. Szaman niechętnie się zatrzymał i zaczął, aż Brodacz wyjdzie z namiotu z całym koszykiem tabliczek pokrytych nieudolnymi rycinami różnych zwierząt. Obowiązkiem szamana było poświęcić je magicznym zaklęciem i splunąć. Później myśliwi wymieniali je u Brodacza na mięso, a przed wyprawą niszczyli w ukryciu, wypowiadając kolejne zaklęcia, aby objąć władzę nad duszą zwierzęcia. Wprawdzie każdy mógł zrobić sobie magiczną tabliczkę, ale chromy Brodacz wyręczył cały obóz i skorzystał na tym. Żywiono go lepiej i regularniej niż szamana.

Było upalne południe, a szaman nie miał czasu. Zamierzał wyżebrać obiad. Wziął jedną z tabliczek, wymamrotał nad nią, co mu przyszło do głowy, i splunął. Natychmiast zrobiło mu się sucho w ustach.

– Poświęcę je w domu. To przyniesie lepsze rezultaty – powiedział do Brodacza, wziął koszyk i udał się do swojego namiotu. Kukułka wylegiwał się w cieniu, zapewne czekając na to, co udało mu się wyżebrać.

– Masz – szaman podał mu kosz. – Spluwaj, tak jak charkasz od zimy. I nie próbuj się objąć!

Przed nim roztaczał się widok na skwarny plac w środku obozu – jeden wielki śmietnik. Nawet psy schowały się w cieniu. Ruszył do pierwszego namiotu po prawej i miał nadzieję, że nie będzie musiał się fatygować do wszystkich.

Kaszłał, charkał i mamrotał przed namiotami coś w rodzaju magicznych zaklęć, ale nie wchodził do środka. Już raz dostał kością w głowę.

Od czasu, gdy popierdolił wchodzenie na szamańskie drzewo przed tłumem ogłupiałych widzów, większość uważała go za żyjącego grzesznie darmożjadą, unikającego pracy, za którą przysługiwał mu posiłek. Nie marnowali okazji, żeby wyzywać go od pijaków i starych cudzołożników. Cudzołośćwo wprawdzie było dziś już tylko wspomnieniem, ale wciąż budziło emocje. Zarzut pijaństwa był bardziej aktualny, choć teraz, gdy naczelnikowi skończył się jeżyńskiak, szaman z konieczności żył o suchej gębie.

Dreptał już przed czwartym namiotem; dobrze znał tych obłudników! Napychają się jak mamuty i jak im się zachce, rzucą ogryzioną kość.

Poszedł dalej.

Raptem z namiotu, który właśnie minął, wyszedł rozczochrany chłopak i wypełnił koszyk szamana zapasami mięsa na trzy dni.

Młodzieniec spojrział na niego porozumiewawczo i przyłożył palec do ust. Szaman oczywiście go poznał; ostatnio był już mocno zobojętniały – zapomniał, że w tym namiocie oprócz jego głupich rodziców i rodzeństwa mieszkał też ten chłopak. Był to jeden z młodych, z którym uczestniczył w zakazanym przez państwo obrzędzie w jarze.

Szaman, który wciąż zastanawiał się, czy jest jeszcze komuś potrzebny, wrócił zdziwiony do domu. Samemu sobie wydawał się zbędny; nigdy nie liczył na to, że młodzi myśliwi wspomną o nim lub mu pomogą. Byli przecież tak bezwstydnie ruchani przez zgredów, dziadów i głowy rodziny wszelkiego rodzaju. Niespodziewany podarunek rozczulił go. Zachichotał, gdy zdał sobie sprawę, że najwięcej skorzysta na tym Kukułka.

Popołudnie przeleżał w namiocie ze swoim wiernym zmęczeniem. Dzień za dniem przybierało ono na sile. Z nadejściem wieczoru zaczął przygotowywać rzeczy potrzebne do rytuału leczniczego.

Na szyi zawiesił kilkadziesiąt magicznych amuletów, dobranych starannie do rodzaju schorzenia, które zamierzał wyleczyć.

Uderzył w szamański bębenek i naciągnął skórę, żeby uzyskać właściwy ton.

Na koniec naciął sobie ramię, nasączył krwią małą kępkę pierza i wsunął ją do ust, sprawnie chowając pod językiem.

W namiocie chorej zebrała się cała rodzina i mnóstwo ciekawskich.

„No proszę, widzę, że lubicie ze mnie robić pajaca” – pomyślał, ale podszedł z powagą do dziewczyny; była chyba w wieku Muszki. Gdyby była młodsza, nie utraciliby przecież cennej siły roboczej i potencjalnego przedmiotu sprzedaży. Nie sprowadziliby szamana.

Gdy podszedł do łóżka dziewczyny, poczuł nagle, że znów staje się potężnym i władczym czarodziejem.

Zgromadzeni w namiocie poczuli to w tym samym momencie. Tłum zaszemrał i wszyscy bez słowa cofnęli się pod ścianę, robiąc sporo miejsca wokół ogniska w środku namiotu.

Szaman zaczął powoli uderzać w bębenek i tańczyć.

Cicho nucił.

Musiał przywołać swoich duchowych opiekunów, żeby pomogli mu odnaleźć duszę dziewczyny, którą demon choroby porwał w zaświaty. Wiedział, że to jedyna skuteczna terapia. Nie zajmował się złamaniami, zranieniami i innymi urazami. Od tego mieli swoich felczerów. Ale gdy nagle, bez żadnego powodu, zdrowego człowieka chwytała gorączka, trzeba było z powrotem sprowadzić jego duszę, żeby tchnęła w ciało siły życiowe.

Po chwili poczuł, że zgłasza się pierwszy z duchów. Jego ciałem wstrząsnęły niezbrane dreszcze i jak zwykle poczuł strach. Duch, który pewnie wstąpił w jego ciało, działał czasami jak uderzenie gromu.

Pojawił się zniecka. Szaman krzyknął przeraźliwie i nagle przemówił przez niego obcy głos. To gawron, który poniesie go tak daleko i wysoko jak to konieczne.

Teraz potrzebował kogoś, kto pomoże mu, gdy trzeba będzie zstąpić do podziemnych krain. Przywołał głośno swojego zmarłego nauczyciela, który zazwyczaj torował mu drogę.

Z kąta namiotu dobiegł głos starego mistrza.

Zaczął z nim rozmawiać w języku szamanów, a potem przekazał obecnym, czego się dowiedział.

Dusza Wiewiórki nie wędrowała do podziemnego świata, została zatem porwana przez ducha powietrza lub złego czarnoksiężnika.

Szaman dosiadł swojego gawrona. Z zamkniętymi oczyma podskakiwał pod samo sklepienie namiotu, machał rękami, krakał, śpiewał i świstał jak wiatr wśród gałęzi – leciał na gawronie w dal, z ogromną szybkością.

Czasami przemawiał ludzkim językiem, wymieniając krainy, nad którymi lecieli. Na razie szukali porwanej duszy tu na ziemi. Szaman nie musiał wstępować do wyższych światów, więc operacja była stosunkowo prosta: żaden ziemski duch nie był na tyle silny, by zatrzymać duszę chorej dziewczynki.

Szamanowi pociemniało przed oczami. Jednym okiem dostrzegał swoje otoczenie, drugim spoglądał z wysoka na ziemię, która uciekała mu prędko spod stóp. Znajdował się jedynie w niewielkim transie, ponieważ obrazy z teraźniejszości przenikały się z widzeniami i zasłaniały wzajemnie. Nie był to przyjemny stan. Towarzyszyło mu uczucie osobliwego rozdwojenia, którego bardzo nie lubił. Inaczej wyglądał wielki trans, gdy porzucał ten świat całkowicie i z pełną, jasną świadomością wchodził na szamańskie drzewo lub z niego schodził. Ale wielki trans był niezwykle wyczerpujący, poza tym w przypadku Wiewiórki nie był konieczny.

Przerażona, chora dziewczynka, przykryta skórą po uszy, wbiła wzrok w szamana. Jednocześnie, czuła się jakby słodko ociężała, gdy ten szukał jej duszy... Był tuż-tuż, wnet ją pochwyci, wyrwie demonowi i pozwoli wrócić. Im dłużej to trwało, tym silniej łączyła się wszystkimi wewnętrznymi zmysłami z szamanem, który czuł, jak ta więź się wzmacnia i wiedział, że dopiero gdy Wiewiórka otworzy się w pełni, będzie mógł przelać na nią całą swoją magiczną moc, która pokona chorobę i wyleczy dziewczynkę. Wiedział, że poszukiwanie duszy to akt wyłącznie symboliczny. Metodę tę przejął od swoich poprzedników, nie zamierzał więc nic w niej zmieniać. Bez rytuału i magicznego transu chory nie miał najmniejszych szans; żadne lekarstwa nie były w stanie odnowić jego sił życiowych. Umożliwił to jedynie szamański trans.

Szaman skakał, tańczył, śpiewał, skrzeczał i mówił różnymi głosami już od co najmniej dwóch godzin. Zanim uda się nawiązać z chorym pełny kontakt i pokonać wszystkie bariery, mija czasem cały dzień, a nawet więcej. Przez cały czas szaman nie ma wytchnienia. Coraz intensywniej przyzywał do siebie chorą dziewczynkę. Wreszcie poczuł, że już za moment otworzy się przed nim jej podświadomość. Krzyczał zwycięsko ludzkim głosem, że widzi demona choroby, że widzi duszę Wiewiórki w jego szponach – zamierzał porwać ją na lodowiec, gdzie żyje większość złych duchów i tam ją pożreć – jeszcze chwila, a zostanie uratowana.

Dziewczyna zdrewniała jak nieprzytomna. Droga między nią a szamanem była wolna. Odbił jej duszę demonowi i gnał jak wichur, żeby zwrócić ją dziewczynce.

Udało się.

Upadł na wznak jak podcięty i zaczął głośno chrapać; zapadł w sen z wyczerpania, jakby dostał ataku.

Obecni w namiocie pozostali na swoich miejscach, śpiewając cicho przeciągłą melodię inicjowaną przy takich okazjach. Dziewczyna pociła się pod skórą, jakby ją polał wiadrzem wody i chwilę później również zapadła w sen.

Szaman ocknął się po godzinie. Ze zdziwieniem rozglądał się wokół siebie i witał obecnych, jakby powrócił z dalekiej podróży, a oni zgodnie mu odpowiadali.

Poproził o coś do picia, następnie pochłonął ogromną ilość wody i spokojnie wyjaśnił w skrócie, gdzie był, co widział i co zrobił.

Potem podszedł do łóżka dziewczyny i powiedział, że musi z niej jeszcze wydobyć robaka, którego demon choroby zostawił w jej ciele. Chwyił ją za bark i przyssał się do ramienia. Ssał tak długo, aż powstał w tym miejscu wielki siniak ociekający krwią. Podskoczył triumfalnie i wypluł przed zebraną publicznością pokrwawiony kłębek pierza. Był to robak choroby, którego usunął właśnie z ciała dziewczyny. Wszyscy przyglądali mu się z szacunkiem i zaciekawieniem. Czasami był to krwawy kłębek, innym razem owad lub otczak, ale za każdym razem szaman wyciągał coś z ciała. Zgromadzeni widzowie nie mogli już teraz wątpić w uzdrowienie.

Dziewczyna, oddychająca cicho i spokojnie w głębokim śnie, szamanowi również wydawała się zdrowa. Wiedział, że dobrze wyczuł moment nawiązania kontaktu i przelał na nią całą swoją magiczną moc w takim stopniu, że tylko jakieś zupełnie nieoczekiwane komplikacje lub złamanie zasad terapii mogły zniweczyć efekt leczniczy.

Przy łóżku chorej powtórzył rodzicom, co mają jej przyrządzać, czym okładać i gdzie smarować przez następne trzy dni i zarzuciwszy na ramiona swój lekarski fartuch z kolorowych, ptasich piór, z godnością skierował się do wyjścia.

Gdy przekroczył próg, poczuł, że po raz kolejny opuściły go wszystkie moce. Znowu był tylko pijakiem i cudzołożnikiem, który musi chodzić na żebrzy. Do dupy. Ale w ostatnich latach przeżył tę przemianę już tyle razy, że nawet się tym nie przejął.

Pozostali też jakby to poczuli. Tłoczyli się, nie zważając na szamana; szturchali go i nawet nie zwrócili uwagi, gdy powlókł się zgarbiony do swojego namiotu.

Całe szczęście, że rodzice Wiewiórki będą teraz przez dziesięć dni żywić jego i Kukulkę.

VII. Wpadka

1

„Lato w obozie łowców mamutów to martwy sezon w kulturze” – głosiło dawne szamańskie przysłowie, które szaman przypomniał sobie, wylegując się w cieniu pod lasem i zerkając na obóz. Wszyscy pracowali tam teraz w skupieniu. Myśliwi siedzieli przed namiotami w piekącym słońcu, ogrzewali dotknięte reumatyzmem stawy i cierpliwie naprawiali swoje stare uzbrojenie lub konstruowali nowe. Dziś nie używano już tylu kamiennych broni, ile dawniej. Drewniany oszczep, dobrze oszlifowany i wypalony w ogniu, był lżejszy i praktyczniejszy. Kościane groty były ostrzejsze. Myśliwi doczepiali harpuny z kości do długich i ciężkich oszczepów, których ranne zwierzę nie było w stanie wyciągnąć z ciała. Również wiele kobiecych przyrządów wygodniej było zrobić z poroża lub kości. Poszczególni myśliwi specjalizowali się w produkcji różnych narzędzi, którymi później się wymieniali. Starcy, którzy nie chodzili już na polowania, dostarczali skrobaczki, noże, igły i wszelkie inne przyrządy, których do pracy potrzebowały kobiety. Każde gospodarstwo gromadziło na zimę zapasy jedzenia, kości i drewna na opał; każda kobieta chciała się pochwalić choćby jednym nowym strojem uszytym dla męża.

W takim pogodnym nastroju łatwo zapominało się o duchach, ofiarach i uroczystych ceremoniach, obrzędach z tańcami i starodawną muzyką, zawodach w śpiewaniu i wymyślaniu nowych, budzących grozę opowiastek. Wszystkie ważne dla plemienia obrzędy odkładało się już od niepamiętnych czasów na zimę. Wtedy właśnie w jaskini odbywał się potężny, magiczny rytuał myśliwych – wielka ceremonia. Podczas niej chłopcy i dziewczynki, którzy latem osiągnęli dojrzałość, byli przyjmowani do grona dorosłych. Wówczas odświętnie zaklinano ogień, przodków, słońce i gwiazdozbiory. Tylko wtedy był czas na śpiewy i opowieści przy ognisku. Dawniej szaman był najważniejszym gościem przy takich okazjach, ponieważ znał niezliczoną ilość legend i podań, których przekazywanie umacniało plemienną więź i stanowiło podstawę wykształcenia młodzieży.

Dziś odzwyczailli się już od szamana. Jemu było wszystko jedno.

Święto przesilenia słonecznego latem miało o wiele mniejszą rangę niż zimą. Szaman, w obecności naczelnika, starszyny obozu i myśliwych, odprawił nakazane przez tradycję obrzędy. Kobiety i młodzi nawet się tym nie zainteresowali.

Była piękna, jasna, ciepła, letnia noc. Mężczyźni schodzili w dół z jaskini po odprawionych o północy obrzędach.

Jeden ze starców zaczął opowiadać o katastrofie, do której doprowadziło kiedyś jedno z odległych plemion; jego zuchwali członkowie zapomnieli odprawić rytuały przesilenia. Słońce opadało coraz niżej i po kilku miesiącach spaliło cały świat, a w pożarze zginęli wszyscy bezbożnicy. Naczelnik i inni przytakiwali mu z powagą, by zaraz potem wymamrotać ochronne zaklęcia. Szaman włókł się kilka kroków za nimi, ale nie omieszkał tego skomentować:

– Gówno prawda, zgredzie.

Starzec obruszył się i zaczął się bronić podniesionym głosem.

– Pierdolisz – odparł szaman – nawet gdyby nie odprawiono obrzędów przesilenia, słońce nadal toczyłoby się swoim torem. Podobnie jak księżyc i gwiazdy. Już dziś, jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć, kiedy w przyszłym roku nastąpi zaćmienie księżyca, które dogoni i pożre niebiański wilk. To wszystko dzieje się samo z siebie i gównie zależy od obrzędów.

Zapadła cisza. Mężczyźni szybko się od niego odłączyli, trajkocząc tylko swoje porzekadła, których niegdyś ich nauczył.

Szybko zrozumiał, że znowu narobił sobie kłopotów przez niewyparzony język. Wyglądało na to, że im mniej i rzadziej z nimi rozmawiał, tym jakby częściej dopuszczał się heretyckich wypowiedzi. Działo się tak chyba dlatego, że w tych krótkich chwilach obcowania z nimi nie potrafił porzucić swoich myśli. Gdyby żył z nimi od rana do wieczora, pewnie automatycznie mówiłby jak oni, nawet jeśliby tak nie myślał.

Wzruszył ramionami – nie interesowała go psychologia. Zadziwiająco niewiele go interesowało! Ale czegoż się spodziewać po ludziach?

Niczego.

On sam jakoś wytrzyma te ostatnie kilka lat, zanim Tajny Urząd Bezpieczeństwa okaże mu wdzięczność, ale co pocnie wśród ludzi ten jego nieszczęsny Kukułka?

Szaman nie miał ochoty wchodzić do dusznego namiotu. Usiadł na trawie kawałek za nim. Patrzył, jak gładki, obłupiony pień szamańskiego drzewa lśnił w świetle księżyca, rzucając czarny cień. Miał do roboty ciekawsze rzeczy niż odgrywanie roli obrzędowego pajaca przed gronem dziadków i cymbałów. Kilka dni temu znowu umówił się z chłopcami na kolejne nocne obrzędy w jarze. Na szczęście teza o sterylnym kulturalnie lecie chyba ich nie dotyczyła.

Pełnia księżycy dawała tyle światła, że nie potrzebowali pochodni.

Tańczyli w zachwycie, który przynosi lato. Szaman musiał wejść w „mały trans”, żeby zdołać bębnić i śpiewać przez całą noc. Od ostatniego zimowego spotkania przyszło mu do głowy wiele nowych pomysłów; skomponował mnóstwo nowych pieśni i melodii, które teraz zapowiadał śpiewem.

Śpiewał o Wielkiej Agentce, jeleniach dawnych myśliwych i podleg egzystencji w naszym społeczeństwie – o naszym pogrzebie za życia.

Chociaż nigdy nie śpiewał oficjalnych pieśni ku chwale pracy, piękna naszego ustroju, świetlanej przyszłości i wielkiej terażniejszości, dziś też miał już powyżej uszu pieśni o miłości, pięknie wiosny i pełni życia, gdyż zalatywały mu fałszem. Nie śpiewał nawet o uzdrowieniu Wiewiórki, które przecież sprawiło mu radość. Cały świat wydawał mu się przerażająco głupi.

Po zakończeniu uroczystości szaman odszedł dobrą chwilę przed innymi. Przedzierał się przez krzaki, które czyniły teraz drogę z jaru cięższą, niż była w zimie i chronił bębenek, żeby przypadkiem się nie podarł.

Kiedy dotarł na nieco bardziej przetartą ścieżkę, znajdował się już blisko skraju lasu.

Świtało.

Szaman bardzo się cieszył, że mimo wszelkich zakazów i groźących kar uroczystość się odbyła, ale jednocześnie czuł się jakoś osobliwie rozgoryczony. Wracał do obozu, w którym „jełop na jełopie to szamańska śmierć”, jak głosiło stare, szamańskie przysłowie.

Na moment przed wschodem słońca wszędzie zapadła zupełna cisza. Nawet wiatru nie było.

Szaman, raczej smutny niż zgorzkniały, kopał przed sobą gałęzie i kamienie. Przy wyjściu z lasu niemal wpadł na młodą kobietę.

Nie umiał sobie wyobrazić, czego tu szukała, bo nie miała przy sobie koszyka i motyki do zbiorów. Tylko dreptała w miejscu.

Kobieta miała długie, piękne włosy i była młoda – to chyba wszystko, co można było o niej powiedzieć. Z gęby wyglądała na kompletną idiotkę. A do tego jeszcze bezwstydnie spoglądała na szamana i cicho chichotała.

Szaman wściekł się nagle. Gwałtownie odrzucił bębenek i zwitek świętecznych szat, który niósł pod pachą, i rzucił się na nią.

Nie przestała chichotać, gdy głową przewrócił ją ze zbocza na plecy; kwiczała z rozkoszy w tak głupi i drażniący sposób, że miał jej serdecznie dość.

Szybko skończył, podniósł bębenek i szaty i nawet się nie oglądając, poszedł prosto do domu.

3

Spał krótko, ponieważ obudził go przedpołudniowy upał, ale gdy opłukał się w zimnej wodzie i zrobił kilka ćwiczeń oddechowych, poczuł się odświeżony i uwolnił się od tradycyjnego zmęczenia.

Odczuwał ogromną tęsknotę za samotnością i spokojną medytacją, która jako jedyna czyniła jego życie znośnym. Narzucił na ramiona letni płaszcz i udał się w górę do jaskini.

W obozie panowało jakieś nietypowe poruszenie. Zbite w tłumie kobiety niemiłosiernie trajkotały; mężczyźni stojący bezczynnie w grupach klócili się o coś.

Okrążył obóz i natrafił na jednego z nich. Dopiero gdy go mijał, zdał sobie sprawę, że to Kulawy, a na jego twarzy pojawił się szyderczy grymas. Kulawy nie brał zatem udziału w obozowych głupotach.

Szaman wiedział, że Kulawy należy do nielicznych, którzy kierowali się jeszcze własnym rozumem.

Odburknął mu coś na powitanie, kiwnął głową i pospieszył w górę jeszcze szybciej.

Chwilę później zapomniał o tym spotkaniu. Jego ciało przeszło błogie poczucie spokoju.

W wejściowej jamie zapalił swoją lampę.

We wnętrzu jaskini zawiązał płaszcz w mały tobołek i skręcił w wąski, gwałtownie opadający korytarz. Wziął tobołek w zęby, a potem włókł się na brzuchu i na czworaka, popychając przed sobą lampę. Czołgał się jakieś pół godziny. Na końcu wąziutkiego tunelu dotarł do małej jaskini, w której ledwie można było usiąść. Brakowało tu powietrza; w dodatku było zimne i wilgotne. Ubrał płaszcz i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

W tym miejscu przeżył swoje święcenia i odnalazł najwyższego duchowego strażnika.

Uniósł nieznacznie głowę i w odległości kilku palców przed sobą zobaczył ducha.

Był to mały, czarny bizon, którego odkrył tu dawno temu. Został namalowany przez jednego z jego szamańskich poprzedników albo na początku świata sam zostawił tutaj swój wizerunek.

Wokół można było dostrzec kilka niezbyt udanych rycin, wykonanych w ciągu kilkudziesięciu lat przez samego szamana.

Pochylił lekko głowę i ruszył w drogę.

Wynurzył się po kilku godzinach – wzmocniony i jakby młodszy.

Mógł teraz myśleć o wszystkim, o czym chciał z pełną lekkością i promieniującą jasnością.

W takich chwilach właśnie osiągał poznanie.

Być może osiągał je w milczącej głębi, w której nie powstawały ani myśli, ani obrazy. Teraz jednak wypełniło ono jego świadomość, przybierając kształt słów i pojęć. Wystarczyło tylko czekać i obserwować, jak napływają myśli i słuchać, co mówią. W takim stanie szaman nie rozmyślał ani nie męczył głowy spekulowaniem i uporczywym dążeniem do odpowiedzi na pytania – tym zajmował się kiedy indziej: w domu lub na samotnych przechadzkach, czyli wtedy, gdy postrzegał rzeczy od ich zewnętrznej, a nie wewnętrznej strony. Myśli, pytania i odpowiedzi pojawiały się teraz często bez związku, a łączeniem ich zajmował się poza swoją jaskinią medytacji. Tutaj problemy dla niego nie istniały.

– Żywcem pogrzebany... – powiedział cicho.

Owszem, szaman wiedział, że dane mu było osiągnąć poziom poznania, który wywyższał go niezmiernie ponad innych, ale cóż miał począć, skoro nie mógł się tym z nikim podzielić.

Żyje w społeczeństwie, które pogrzebało go za życia. Nie może nikomu nic wytłumaczyć ani przekazać. Nawet gdyby chciał w tym celu ryzykować życie, poszłoby to na marne, bo natychmiast zadbano by o to, żeby zlikwidować nie tylko jego, ale i wszystkich potencjalnych słuchaczy.

Po jego staraniach pozostanie jedynie kilka pieśni skomponowanych dla młodych myśliwych, dla jednego pokolenia lub co najwyżej wspomnienie dziwnego starca, „który coś tam chyba wiedział”.

Nikt nie przyjmie tej wiedzy, którą chciał zawrzeć w swoich długich pieśniach. Nikomu nie może przekazać tych pieśni, nikogo ich nie nauczy, nikomu nie wyjaśni.

Skomponował wiele melodii skazanych na zapomnienie.

Nikt nie będzie ich kontynuował, tak jak on nie kontynuował pomysłów swojego nauczyciela w kwestii osvajania reniferów i siania trawy.

– Tak... to zmęczenie... – powiedział znowu i lekko kiwnął głową.

Zmęczenie życiem w świadomie ogłupianym społeczeństwie, którym rządzi Urząd Bezpieczeństwa.

Przecież on bierze na siebie wszystko tylko po to, żeby obronić zdobytą wiedzę i przekazać ją dalej! Aby to osiągnąć, gotów jest zapłacić każdą cenę. Nie ma żadnego znaczenia, ile zapłacił już do tej pory, jeśli z pełną świadomością uznaje to brzemię za swój los. Czyż to nie przerażające, że jesteśmy do czegoś takiego zmuszani?

Czy w ogóle istnieje społeczeństwo równości? Przecież to jego upadek!

Za tysiąc pokoleń powstanie naprawdę! Sam rozwój narzędzi powinien doprowadzić nawet najbardziej ujarzmionych i ogłupiałych ludzi do zwycięstwa nad nędzą, tryumfu przepychu, co uniemożliwiłoby dalsze zniewalanie kogokolwiek. Przecież Urząd Bezpieczeństwa rządzi niepodzielnie tylko dlatego, że każdy boi się o swój los: o pożywienie, prawo do pozostania w obozie, uniknięcie wygnania na pustkowiu.

Jak uchronić dziś tę wiedzę, by przeżyła w świadomości choćby kilku osób, skoro wszyscy dawno już zrezygnowali i nie wierzą w społeczeństwo równości? Odrzucają drogę, która do niego prowadzi, co najwyżej wracając pamięcią do czasów, gdy nie było jeszcze Urzędu Bezpieczeństwa – albo są tak zapracowani, że powtarzają posłusznie jak papugi bzdury o tym, że jesteśmy zwieńczeniem historii, że wszystko jest cudowne, że jesteśmy najbardziej doskonałym, wolnym i humanitarnym społeczeństwem. I wierzą w to.

Droga zorganizowanej rewolucji – sposób obalenia tyranii proponowany przez dawnych mędrców – w dzisiejszych warunkach zawiodła całkowicie. Władza posiada tak potężną siłę i rozległy aparat Urzędu Bezpieczeństwa, że może kontrolować wszystkie kontakty. Ludzie przestali też zupełnie wierzyć w jakąkolwiek akcję rewolucyjną, ponieważ widzieli na własne oczy, jak zwycięska kilka pokoleń temu rewolucja wolności i równości przerodziła się w potworną karykaturę społeczeństwa, w którym żyjemy.

Czy dawni mędracy to przewidzieli? Czy liczyli się z tym i mieli lekarstwo, które moglibyśmy wykorzystać?

Latami szukałem odpowiedzi w labiryntach jaskini, badając każdy obraz i każdą rycinę w jej najodleglejszych zakamarkach, aby poznać mądrość dawnych szamanów i odszukać przesłanie, które zostawili dla naszego zbawienia.

Nigdzie niczego nie znaleźłem.

Być może nie wiedzieli, nie przeczuwali lub... nie potrafili odpowiedzieć.

A może uczynili swoje przesłanie tak mętным, że dziś nie rozumiemy żadnego z ich symboli?

Dlaczego jesteśmy tak osamotnieni?

Jak długo ludzkość będzie się lękać, zanim znów nabierze odwagi i wiary w przyszłość?

– Lub upadnie – wyszeptał szaman.

A jeśli nędza, a tym samym poddaństwo i niewola, mimo rozwoju wszelkich narzędzi, utrzymają się nadal, ponieważ ciągle będzie przybywać ludzi i ubywać jedzenia?

Czyż nie ucieszy to rządzących?

Plemiona, które będą mieć jedzenia pod dostatkiem, zniewolą te, którym będzie go brakować?

A wszystko to będzie się działo w imię sprawiedliwości – szaman zaśmiał się gorzko na wspomnienie biednego Kukułki.

Nie – trzeba wytrzymać wszystko, aby przechować prawdę i przekazać ją dalej.

Wszelkie inne poznanie, choćby najwyższe, pójdzie na marne, jeśli zapomni się o wolności każdego człowieka i zaniecha walki o tę wolność.

– Nawet, jeśli nie wiemy dziś, jak walczyć – westchnął utrudzony.

Świeżość i radość, zyskane dzięki medytacji, znowu gdzieś uleciały. Wróciły stare problemy, którymi nie chciał bezcześcić jaskini. Usiadł wyprostowany i wyciągnąwszy knot z lampy, postanowił wrócić do domu.

4

Gdy przeczołgał się wąskim tunelem i mógł już przynajmniej iść na czworaka, z głębi dobiegł go jakiś szmer. Był zaskoczony, bo w jaskini panowała zazwyczaj grobowa cisza. Szmer wzrastał się i ustawał na przemian. Zwielokrotnione echo uniemożliwiało identyfikację dźwięku i miejsca, skąd dochodził.

Szaman powoli przesuwał się dalej, aż wreszcie zdołał się podnieść, dotykając czaszką sklepienia. Ciągłe było w mysiej dziurze, w której nie mógł nawet rozprostować ręki.

Szmer ustawał i wzrastał się ponownie.

„Czy to zmarli szamani?” – zastanawiał się.

Daleko z przodu usłyszał niepewne, powolne kroki.

Czego tu chcą – idą do mnie?

Cichy szelest kroków dobiegał jakby ze wszystkich kierunków.

Szaman ostrożnie szedł dalej, osłaniając lampkę ręką.

Nie było wątpliwości, że coś rusza się w jaskini. Nie mogło to być zwierzę ani ludzie, ponieważ poza obrębami nikt nie odważyłby się tu wejść.

Szaman wszedł do pierwszej, przestronniejszej jamy. Zwierzęta stały na ścianach, marszcząc niespokojnie nozdrza. Szum przechodził momentami w huk.

– Zwierzęta ożyły! – krzyknął z nabożną radością.

– Tańczą!

Jaskinia rozgałęziła się na szereg mniejszych korytarzy i pobocznych jaskiń, ale wciąż nie dało się określić, skąd dobiegają dźwięki. Można było tylko przypuszczać, że ich źródło jest gdzieś z przodu, w jednej z wielkich jam.

Szaman szedł dalej i nasłuchiwał, jak zmienia się hałas, w którym dało się rozróżnić stukot, tętent kopyt, ludzkie kroki i głosy.

Czy Zmarły Mężczyzna przebudził się w głębokim szybie?

Znajdował się tam tajemniczy wizerunek mężczyzny z ptasią głową, który padał na wznak przed ranionym śmiertelnie bizonem; za jego plecami widać było oddalającego się włochatego nosorożca.

Tylko szamani znali to miejsce. Wysoki próg skalny, z którego musieli się opuszczać głęboko w dół, do obrazu, przez tysiąclecia stał się gładki i śliski jak lód.

Tak walczył ich pradawny przodek – Pierwszy Szaman – po tym, jak zstąpił z niebios, aby przynieść ludziom ogień, broń i Magię.

Szaman w napięciu szedł dalej i w kolejnej wielkiej grocie skręcił w korytarz prowadzący do świątyni Zmarłego Mężczyzny.

Oświetlał sobie drogę lampą trzymaną wysoko nad głową.

Zajrzał do szybu.

Był pusty, a hałas, który z niego dochodził, przypominał raczej szum morza w wielkiej muszli.

Szaman po chwili opuścił się na dół.

Poświecił lampą. Zmarły Mężczyzna tkwił milcząco na ścianie ze swoim magicznym kosturem.

Szaman pokłonił się mu i przyłożył dłoń do ściany, aby oddać cześć i zyskać jego błogosławieństwo. Potem jednak wyszedł z powrotem na górę.

Hałas co chwilę przechodził w jazgot.

„To zwierzęta z jamy przy wejściu”.

Ucieszył się w duchu i ruszył w drogę.

Przechodząc przez kolejne jamy i korytarze, słyszał coraz wyraźniej dobiegający hałas i był już pewny, skąd dochodzi.

Wydawało mu się, że zobaczył odbłask światła pochodni. Z powagą pokłonił się zwierzętom. Mają swój ogień, który zstępuje do nich z niebios. Tańczą uroczysto.

Nagle przyszło mu na myśl, że może teraz otrzyma odpowiedź na swoje pytania. Zwierzęta są starsze od ludzi i wiedzą więcej – tylko trzeba umieć zapytać.

Ogień znowu na moment mignął. Szaman pokornie zgasił swoją lampę. Dobrze znał dalszą drogę – jeszcze tylko dwie groty przed nim i będzie u wyjścia.

Czasami rozróżniał w tym hałasie dźwięki mowy ludzkiej. Wydawało mu się, że rozpoznaje pojedyncze słowa.

Z przodu i z tyłu za nim cała jaskinia grzmiała teraz echem.

Dzieliło go już tylko kilka kroków...

I nagle... Usłyszał ludzkie głosy.

Zatrzymał się poirytowany. Mają czelność wchodzić do jaskini i podglądać taniec zwierząt?

Ruszył stanowczym krokiem.

„To już szczyt chamstwa – zaraz im pokażę, kto jest ich panem! Jak śmieli naruszyć spokój świętych zwierząt w jaskini?”

Był już prawie przy wejściu.

Zwierzęta na ścianach i sklepieniu zamarły w napięciu, obserwując szamana ognistym wzrokiem.

Przy wejściu jakieś dwa tuziny myśliwych darły się i tupwały. Trzymali wysoko podniesione pochodnie i wymachiwali bronią. Nikomu nie wolno jej było wносить do jaskini poza obrzędami łowieckimi.

Szaman widział ich wyraźnie. Oni nie dostrzegali go na razie w ciemnym korytarzu.

Wrzasnął na nich, jak od dwudziestu lat nie wrzeszczał.

Puścił w ich stronę wiązaną najbardziej ordynarnych wyzwisk i najgroźniejszych klątw.

Myśliwi wystraszyli się jak szczeniaki i migiem ruszyli w stronę wejścia jaskini. Na ziemi pozostał stos pochodni i broni.

Szaman kroczył dalej i nie przestawał miotać przekleństw.

Ale mężczyźni stłoczyli się przed jaskinią i odpowiedzieli szaleńczym krzykiem.

Po chwili zrozumiał, że krzyki i wyzwiska były skierowane w jego stronę.

Zdziwił się tak bardzo, że utracił pewność siebie i przestał wrzeszczeć.

Słyszał teraz wyraźnie, jak darli się na niego wściekle, żeby wyszedł i oddał się w ich ręce. Szaman nie potrafił zrozumieć, co ich napadło. Był nie tyle przestraszony – bo wciąż nie wierzył, że naprawdę chcą mu coś zrobić – ile raczej zdziwiony tym, że tak nagle wszyscy ogłupieli. Stał gdzieś pośrodku jaskini i czekał.

Myśliwi uznali to za tchórzostwo, co tylko dodało im odwagi. Niektórzy znów próbowali wejść do jaskini, ale po kilku krokach wracali z powrotem.

Nagle w stronę szamana poleciały strzały. Uskoczył w bok i przywarł do ściany w miejscu, w którym nie mogli w niego celować ani go dosięgnąć. Ciągłe milczał, nie mogąc się temu nadziwić.

Usłyszał, jak naczelnik ryknął na pozostałych, żeby zamilkli. Stał w wejściu i zwrócił się do szamana.

Zazwyczaj przemawiał jak głupi gbur, a teraz jeszcze gniew tak mu zamącił w głowie, że szaman dopiero po chwili zrozumiał jego słowa.

I był naprawdę zdziwiony jak nigdy dotąd. Zgwałcił żonę naczelnika! W życiu by na to nie wpadł. Dopiero po jakichś dziesięciu minutach pojął, że miało to miejsce wczoraj: to dziewczyna, na którą natknął się pod lasem, wracając z jaru, ta dziewczyna, która chichotała tak bezwstydnie i wyzywająco, że szamanowi robiło się niedobrze.

Skąd miał, do cholery, wiedzieć, że to żona naczelnika? Jeszcze dziesięć dni temu, gdy był w jęgo namiocie, jej tam nie było.

Niby sprowadził ją tydzień temu z sąsiedniego obozu? No to ładną kurwę sobie sprowadził. Nie mogła przynajmniej zaprotestować, gdy szaman ją przewrócił? Zgwałcił ją? Przecież potrafi rozpoznać, czy kobieta chce, czy nie... Co ona w ogóle robiła rano tam na zboczu? Uciekła naczelnikowi? Bo nie potrafił jej zaspokoić? I szaman ma być temu winny? Niech naczelnik przynajmniej pilnuje swoich szanownych małżonek, skoro nie potrafi ich zaspokoić! Ale żeby to zrozumieć, musiałyby przynajmniej coś mieć w tym zakutym łbie.

Może chociaż myśliwi mogliby mu przyznać rację.

Wciąż osłaniany załomem ściany, posunął się ostrożnie do przodu i ryknął do myśliwych, żeby go wysłuchali. Nawet udało mu się ich przekrzyczeć. Wyjaśnił im wszystko. Przecież z powodu kobiety nie robi się nigdy takiego rabanu. Choćby nawet dotyczyło to kobiety naczelnika!

Ale Naczelnik dobrze ich urobił. Darli się na szamana, że już dawno powinni go zeżreć, że przez dwadzieścia lat nie zostawił w spokoju ani jednej spódnicy w obozie i że teraz ostatecznie się z nim rozprawią.

Szaman przestał się wysilać; w takim stanie nie byli zdolni nic zrozumieć.

Usiadł w kącie i starał się uspokoić.

Usłyszał, jak naczelnik zaczął coś wyjaśniać. Słuchał uważnie. I wystraszył się.

Naczelnik rzeczywiście wpadł na cholernie dobry pomysł. W jaskini nie wolno było nikogo zabić – duchy mogłyby się zemścić na obozie. Ale nikt nigdy nie powiedział, że w jaskini nie wolno było komuś umrzeć. Zatarasują wejście głazami i za miesiąc będzie po szamanie. Potem znów można spokojnie korzystać ze świątyni. Niech ten pies tam zdechnie. Jeśli jest tak potężny, jak zawsze mówił, niech wyleci górą. Przy wejściu na straży zostało tylko kilku myśliwych, reszta pewnie udała się prosto do lasu, żeby przydźwigać głazy lub ściąć drzewa na barykadę. Szaman zdał sobie sprawę, że wpadł w tarapaty.

Musi natychmiast działać, to jasne. Zobaczymy, czy naprawdę odważą się na niego podnieść rękę, jeśli stanie przed nimi jako straszliwy czarownik.

Podniósł się i szybko ruszył na zewnątrz.

W jednej sekundzie powalił pięścią i całym ciałem dwóch myśliwych chwiejących się przy wejściu, obrócił się tylko na chwilę, żeby zobaczyć, gdzie stoją pozostali i pobiegł w dół, wykrzykując przy tym najstraszniejsze zaklęcia. Zatrzymywał się co chwilę i obracał twarz w stronę myśliwych, żeby groźną miną i charakterystycznymi, magicznymi gestami wspomóc swoje słowa, które wystarczyłyby chyba do zagłady całego obozu.

Myśliwi rzeczywiście byli dość skonfundowani. Tak jak przypuszczał: wystarczyło, że go zobaczyli, a broń wypadła im z rąk. Wyglądali jak zbite kundle i niemal gotowi byli prosić o przebaczenie. Ale z lasu wypadła banda mężczyzn, którzy usłyszeli, że coś się dzieje. Byli zbyt daleko, żeby wystraszyć się mimiki i gestykulacji szamana i zaczęli nagle rzucać w niego wszystkim, co im wpadło w ręce. Na szczęście nie mieli przy sobie broni. Szaman zrozumiał, że tylko ucieczka może go uratować, więc czmychnął, jak tylko umiał najszybciej, skacząc po zboczu jak ścigany królik.

Ale i tak miał niewielkie szanse, o czym dobrze wiedział. Usłyszał, jak pierwsze strzały świszczą w powietrzu.

Pilnował drogi, żeby się przypadkiem nie wywrócić i tylko czasami szybko spoglądał w przód, by nie pomylić kierunku. Niczego nie zauważył do momentu, gdy usłyszał wysoki, energicznie rozkazujący głos skierowany raczej w stronę jego prześladowców.

Poczuł szóstym zmysłem, że przestali w niego strzelać i rzucać.

Pobiegł jeszcze kilka metrów, podniósł głowę, chcąc się rozejrzeć, i zobaczył stojącą przed nim w rozkroku, z rękami opartymi na biodrach, Wielką Agentkę w jej ponurym mundurze.

VIII. Wielka agentka

– Leż spokojnie – powiedziała agentka i kładąc rękę na ramieniu szamana, pociągnęła go łagodnie na pościel.

Szaman natychmiast przypomniał sobie wyraźnie wszystko, co się stało: jak dowłókł się z agentką do swojego namiotu, rzucił się na łóżko i zaraz po tym usnął.

Chyba spał bardzo krótko. Dziewczyna myślała pewnie, że zemdłał.

Szaman uśmiechnął się do niej smutno; odsunął jej rękę i usiadł.

– Teraz dadzą ci spokój, przynajmniej widzisz, jaka to zbieranina.

Kiwnął głową.

– Jak to mogło zajść tak daleko? Przecież jesteś tak wspaniałym mężczyzną i szamanem.

Zaśmiał się.

– Muszę się temu teraz przyjrzeć. Przecież w końcu jesteś naszym człowiekiem.

Milczał. Było mu wszystko jedno.

– A ty byś ich jeszcze chciał bronić. Bo żaden z nich nie potrafi nawet policzyć do pięciu.

– Możliwe, że niektórzy naprawdę nie potrafią – wtrącił.

– To po prostu stado bydła, którym trzeba rządzić twardą ręką. Teraz zobaczysz, po co tu jesteście.

– No, zrobiliście z nich bydło – odparł spokojnie, ponieważ naprawdę było mu już wszystko jedno.

– Nie lubisz nas, co?

– Myślę, że nikt was nie darzy sympatią. Raczej się wszyscy boją.

– Mamy to gdzieś. Najważniejsze, że trzymamy ich pod butem i oni o tym wiedzą. Bez nas nie byłoby żadnego porządku.

– Ach tak!

– Ludzie nie mają własnego rozumu. Nie są zdolni do posiadania własnego rozumu. Trzeba nimi sterować lub, jak się u nas mówi, potrzebują kierownictwa. Sami sobie nie poradzą. Dlatego mają Partię i nas. Sami uniemożliwiliby jakikolwiek postęp. To my musimy dbać o postęp. Słyszałeś o ostatniej uchwale centralnego komitetu starszyzny?

Machnął ręką.

– Dopóki tu jesteśmy, boją się między sobą dogadać – i bardzo dobrze.

Kiwnął głową. Dokładnie tak było. Nie warto o tym mówić. Ziewnął i rozejrzał się po namiocie, czy nie ma tu gdzieś Kukułki. Pewnie zwiął, gdzie pieprz rośnie, jak tylko zobaczył agentkę. Szaman znów pokiwał głową. Dobrze zrobił! Latem nigdzie nie umrze z głodu. Tyle że teraz sam musiał pójść poszukać czegoś do jedzenia dla agentki. A po tej wpadce może to być dość nieprzyjemne.

Agentka, jakby zgadując jego myśli, wskazała na duży kosz, który stał przy ognisku i nie należał do szamana.

– Wzięłam to od naczelnika. Pamiętałam, że kiepsko tu z zapasami. Ten wstrętny smarkacz ciągle cię objada?

Szaman milczał, ale po chwili przytaknął. Czemu miałyby zaprzeczać?

Pokręciła głową i sięgnęła po kosz. Za swoimi plecami zobaczył piękny, nowy bukłak ze skóry renifera, u wylotu starannie zapieczętowany woskiem i zawiązany.

– Przyniosłam ci tutaj jeżyńskiak. Od nas. Jest lepszy niż ten, który tu macie.

Spojrzał na nią badawczo. Specjalnie dla niego wlokła ze sobą przez całą drogę, kto wie ile dni, ten niewygodny bagaż?

– Jesteś wspaniałym facetem – powiedziała.

– Przyszłaś po Kulawego? – zapytał szaman.

– Tak. A może nie. Zobaczę.

– No to teraz coś zjemy – oświadczył szaman i wyciągnął rękę po miski wiszące nad łóżkiem.

„Cholerny drań!” – krzyknął w duchu, gdy zauważył, że ich tam nie ma. Kukułka znowu zostawił je porozwalane gdzieś na ziemi przez cały dzień.

Skrzywiła się, widząc jego wyraz twarzy. Wstała i zebrała miski rozrzucone przy ognisku.

Wyszła przed namiot i umyła je.

– Znowu się wszyscy pochowali – oznajmiła szamanowi, wracając i zasunęła z powrotem płachtę namiotu. Zbliżał się wieczór, więc ze środka ulatywała popołudniowa duchota.

Rozdmuchała ogień i nadziała na róg renifera dwa duże kawałki mięsa. Starannie opiekąła je nad ogniskiem.

– Gdzie byłeś przez cały dzień?

– W jaskini.

– Co tam robisz sam?

– Rozmawiam z duchami.

– Często?

– Dość często.

Milczała. Widział jednak, że była zażenowana.

– Od jak dawna to robisz?

– Od bardzo dawna.

– Dlaczego przestałeś o siebie dbać?

Nie umiał odpowiedzieć.

– To znaczy... dlaczego przestałeś dbać o swoją władzę w tym obozie?

Wzruszył ramionami.

– Tyle dla ciebie znaczą te rozmowy z duchami?

– Tak.

– Jedz!

Siedzieli naprzeciw siebie, dotykając się kolanami i odrywali ustami kawałki mięsa.

Mięso było młode i soczyste, ale szaman ciągle miał sucho w gardle, więc każdy kęs zapijał małym garnuszkiem wody.

Gdy skończyli jeść, beknęli z zadowoleniem; szaman podał agentce, mający służyć za ręcznik, kawałek pięknie obszytej skóry cielaka renifera. Potem poszli się wysikać do jego ubikacji.

Dziewczyna posprzątała szybko i dokładnie, potem odpieczętowała bukłak. Zdjęła wiszące rogi – dar, który kiedyś w młodości wysłał szamanowi ówczesny naczelnik – i naląła jeżyniaka.

Znowu się zbliżyli i usiedli naprzeciw siebie.

Jeżyniak szybko postawił szamana na nogi.

– Ty dzisiaj nie chcesz? – zapytał przezornie.

– Mam okres. Wiesz, że to tabu.

– Możemy później... – odparł zachęcająco szaman.

– O czym rozmawiasz z duchami?

– O wszystkim, co się da...

– Nie myśl, że nic nie wiem, sporo się tego nauczyliśmy w szkole.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze – szaman potakiwał bezmyślnie.

– Ale ty to wszystko wiesz. Jesteś wielkim szamanem, więc pewnie rozmawiasz z nimi też na inne tematy...

– Hm... – mruknął i pił dalej.

– Na pewno znasz tajemnice...

– Pewnie.

Znowu milczeli, popijając.

– Zdradź mi je.

– Jakie? – spytał szaman, czując jak opuszcza go zmęczenie i ogarnia błogi nastrój.

– Jakiegokolwiek. Takie, które znasz tylko ty.

– Tajemnice są głupie.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

- A zaklęcia?
- Zaklęcia są jeszcze głupsze.
- Ale znasz je?
- Wszystkie!

Agentka nastroszyła się jak zjeżona kotka.

Cichym i niemal podnieconym głosem powiedziała:

- Zdradź mi coś, co nie jest głupie.

Szaman wzruszył ramionami. Ale nagle poczuł się lekko i nabrał odwagi. Ostatecznie czemuż miałby tego komuś nie powiedzieć?

- Ten świat nie jest jedyny... wiesz o tym – zaczął.
- Wiem – odparła cicho i wpatrywała się w niego w napięciu.

– Gdy wchodzę i schodzę z szamańskiego drzewa, odwiedzam różne światy nad ziemią i pod ziemią. Wam się wydaje, że te światy są oddzielone i nie łączą się ze sobą. Ale one istnieją jakby obok siebie i wzajemnie się przenikają. Albo inaczej: przeplatają się jak nici, z których tworzy się dopiero mocny sznur. Przeplatają się nieustannie. Jeden przechodzi płynnie w drugi. Ciągłe ze sobą współistnieją. Oczywiście my tego nie widzimy. Rozróżniamy świat kamieni i wód, świat roślin i zwierząt oraz świat ludzi. Wiemy, że te trzy światy razem współistnieją. Ale nie widzimy, jak płynnie łączą się ze sobą, ponieważ między nimi właśnie przeplata się nić innej rzeczywistości. Przed światem kamieni i wód jest świat chaosu, między światem roślin i zwierząt a światem ludzi jest świat przedludzi, czyli tych, którzy żyli na ziemi jeszcze przed ludźmi lodu i od tamtej pory nie ma ich wśród nas. Te światy, każdy inny jak widzisz, koegzystują ze sobą podobnie jak kamienie, zwierzęta i ludzie – są tuż obok nas, tylko nie potrafimy ich dostrzec. Droga, którą pokonujemy, wchodząc na Drzewo Życia, wygląda następująco: zstępując w dół, ze świata ludzi, najpierw przechodzi się przez świat przedludzi, potem świat zwierząt, świat małych duchów ziemskich, świat kamieni i wód, a dalej świat chaosu. Gdy z naszego świata idziesz wyżej – czy też inaczej: podążasz w przeciwnym kierunku – wygląda to podobnie. Ze świata człowieka przechodzisz do świata tych, którzy przyjdą po człowieku, następnie przemierzasz świat małych duchów niebiańskich, które żyją z nami na tej ziemi i nad którymi mam władzę – potem docierasz do świata aniołów, których nie widzimy i które nie działają wśród nas, współistnieją one ze światem tych, którzy nadejdą po człowieku – i tak dalej, aż do świata przyczyn. Świat przyczyn oplata wszystkie światy jak pas, a jego kłamrą, w której świat przyczyn „na początku” czy „na dole” spaja się ze światem przyczyn „na końcu” czy „na górze”, jest Wielkie Coś, które łączy się bezpośrednio ze wszystkim, co w ogóle istnieje, a więc z nami, z kamieniami, a nawet i z tymi, którzy przyjdą po

człowieku...

Widzę, że nadal mnie nie rozumiesz. Najprościej i najlepiej będzie, jeśli zapamiętasz, że owe światy nie istnieją nad sobą lub obok siebie, lecz są ze sobą połączone; koegzystują i przeplatają się jak nici zwinięte w sznur. Między tym, co widzimy na własne oczy, między zwierzętami, kamieniami a ludźmi nie ma bezpośredniego związku – to więc między nimi tworzy światy, których nie możemy zobaczyć.

Szaman milczał i popijał. Dziewczyna nie powiedziała ani słowa. Kontynuował:

– Wiem o rzeczach wyjątkowych, bo już od trzydziestu lat wchodzę na szamańskie drzewo, które, jak wiesz, przechodzi przez środek wszystkich światów. Szamani posiadają dostęp do każdego z nich – zarówno do tych, które wymieniłem, jak i tych, o których nie wspomniałem.

W niektórych światach znajdują się sfery, gdzie nie można niczego poznać, nawet jeśli się tam dotrze. Wielokrotnie starałem się zrozumieć, jakie formy istnienia znajdują się w tych światach; spędziłem tam wiele dni, dochodząc jedynie do wniosku, że wokół mnie coś żyje – nigdy jednak nie dowiedziałem się, co to jest. I nie tylko w świecie najwyższych duchów – gdzie niby można poznać wszystko, choć nigdy się to nie uda, bo tamtejsze życie jest o milion razy bardziej zróżnicowane, a zatem i dłuższe niż u nas – ale choćby w najbliższym świecie tych, którzy przyjdą po człowieku. Widziałem naszą naturę zmienioną nie do poznania, doznałem tam nieopisanej rozkoszy i siły ducha, ale nigdy ich nie widziałem. Obserwowałem, jak wszystko porusza się i wzrasta, ale nie widziałem tych, którzy to tworzą. Nie widziałem... – szaman powtórzył cicho z opuszczoną głową.

– W innych światach też znajdują się zakątki pustki; może istnieje jeszcze trzecie pasmo światów albo nawet czwarte i piąte, które łączy właśnie te ślepe uliczki – wchodząc tam i przebywając, człowiek niczego nie może poznać. Dlatego nawet niewielu szamanów o nich wie. W miejscu, w którym węzeł splata światy przyczyn, możemy tylko zobaczyć Pustkę i poczuć przemożną siłę i wędrówkę Wielkiego Czegoś. Istnieje jednak coś, co we wszystkich światach, nawet w miejscach niedostępnych naszemu postrzeganiu, trwa, narzuca się i pozostaje niezmiennie: to wielka pomoc, nieprzerwana wzajemna pomoc, która działa we wszystkich kierunkach wszechświata. Każdy pomaga każdemu, stara się o to, bądź jest do tego nakłaniany – jeśli nie pomaga, jest jak zmarły i cierpi jak zmarły, pozbawiony świadomości, pozbawiony ożywczej siły jak ciało lub cielsko bez duszy. Możesz to dostrzec u ludzi – wystarczy wyjrzeć z namiotu i popatrzeć na nich przez krótką chwilę. Wszechświat opiera się na wspólnocie żywych – wszystko żyje – a my nawet nie wiemy, nie przeczuwamy, jak bardzo ci z innych światów pomagają każdemu z nas i nam wszystkim jako całości. Pytanie brzmi tylko, czy my także jesteśmy zdolni i skłonni włączyć się ze swoim dążeniami i pragnieniami do wszechogarniającego łańcucha pomocy i wspólnoty żywych?

Szaman spojrział uważnie na dziewczynę, która siedziała nieruchomo z wbitym w niego wzrokiem i słuchała.

– Za pomoc się nie płaci – pomoc przychodzi jako dar – dodał powoli szaman, wciąż ją obserwując. Nie sposób było odgadnąć, czy to do niej dotarło.

– Najwyższa i nieustanna pomoc przychodzi do nas od Wielkiego Czegoś – ale my także możemy i powinniśmy mu pomagać, by suma pomocy świadczonej mu przez wszystkie światy zrównała się z nurtem darów, który z niego tryska. Więcej: moc Wielkiego Czegoś, siła, która spaja i rozwija łańcuch przyczyn – czyli łańcuch ruchu! – mniejsza lub większa w danym czasie, jest pochodną starań wszystkich światów, całej wspólnoty żywych, o której mówiłem. Jeśli zniknęłaby wspólnota żywych, zniknęłoby również Wielkie Coś – rozpadłby się łańcuch przyczyn i ruchu, przyczyny by się wyczerpały i rozplynęły, a wszelki ruch uległby zatrzymaniu. Śmierć objęłaby panowanie, wszystko pokryłby Wielki Lodowiec, a opuszczeni ludzie, nikomu nie pomagając, sami daremnie wołaliby o pomoc – nastałby koniec. I przeminęłoby Wielkie Coś.

– Kiedy to nastąpi? – dziewczyna spytała ze strachem.

Szaman skrzywił się i napił.

– Nigdy. Dopóki znajdzie się trzech, którzy będą przyjmować i przekazywać dalej dar pomocy, Wielkie Coś będzie żyło nadal. Ale to znamienne, że zapytałaś. Takie pytania stawia ktoś, kto krzewi śmierć i oczekuje jedynie śmierci. Żywy człowiek, a nie żywy trup, pyta sam siebie: cóż mam czynić? I prosi o poznanie.

– Też chciałabym o nie poprosić... dlatego cię słucham – odparła ze spuszczonego wzrokiem.

– No, nieważne – szaman machnął ręką. – Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Jak wygląda kraina zmarłych?

Szaman zaśmiał się.

– Nie ma krainy zmarłych. Martwi są tylko ci, którzy już za życia odłączyli się od strumienia daru i pomocy. To śmieci wszechświata, tak jak gówna to śmieci z ludzkiego ciała. Przez chwilę dymią, przez moment się rozkładają, a na koniec nic po nich nie pozostaje, pochłania je ziemia. Powiedziałem ci, że wszystkie światy są wspólnotą żywych. Ci, którzy żyją, nigdy nie będą martwi. I wcale nie musimy ich widzieć.

– W poprzednim życiu byłam ptakiem, dlatego tak pięknie śpiewam. Powiedział mi to Wielki Szaman.

– Gdybyś była chociaż dżdżownicą! Wielki Szaman to krwiożerczy idiota.

Dziewczyna obruszyła się i zachmurzyła. Ale szamanowi było to obojętne.

– A co z wędrówką dusz? – zaatakowała.

– Nie ma żadnej wędrówki dusz – powiedział szaman, który czuł się już całkiem przyjemnie podпиты. – Żywi żyją nadal, chociaż w innym świecie. To prawda – niektórzy w tak zwanym niższym, inni w tak zwanym wyższym, ale to w ogóle nie ma znaczenia, skoro żyją! Będąc wielkim duchem, przed-człowiekiem, drzewem lub kamieniem, po prostu mam do wykonania inne zadania, jestem w innym punkcie wszechogarniającego strumienia daru, pomocy i szczęścia. Nie ma żadnego, ale to żadnego znaczenia, czym byłem lub czym będę – ważne jest tylko to, czym jestem. Po prostu jestem. Powinienem prawdziwie być sobą! Ja wiem, dziewczynko, co znaczy prawdziwie być kamieniem, co znaczy być wielkim duchem, ale tyle byś z tego zrozumiała, co ta stągiew – szaman kopnął w wielki, prawie pusty zbiornik na wodę, który omal się nie przewrócił. Zręcznie go pochwycił i postawił z powrotem.

– Powinnaś jedynie wiedzieć, co znaczy prawdziwie być człowiekiem. Ale ty masz to w dupie, bo inaczej nie byłabyś agentką.

– Chciałabym to wiedzieć! – odpowiedziała trzeźwo; nie piła od momentu, gdy szaman zaczął się regularnie chwiać i zostawiła mu jeżyniak.

- Być człowiekiem oznacza dbać o prawdę. To wszystko.
- Hm – odparła dziewczyna, której widocznie nic to nie mówiło.
- Hm – powtórzył szaman.
- Hm – ponowiła dziewczyna.

– Gdy dwóch myśliwych spiera się o to, kto pierwszy trafił renifera, to gówno, a nie prawda. Nawet to, co ten mój głupi Kukulka nazywa prawdomównością, jest gówno warte. Prawdę osiąga się przez poznanie. Dbać o prawdę oznacza dążyć do poznania. Całe życie starać się o dokładniejsze, precyzyjniejsze, prawdziwsze poznanie. Kto kroczy tą drogą, może się mylić. Może się nawet bardzo mylić. Ale dążąc do poznania, dba o prawdę. Bóg chce być poznany.

– Co to jest Bóg?

– Bóg to taki nasz szamański termin oznaczający Wielkie Coś. To po prostu jego inna nazwa. Ale współcześni ludzie nie znają ani jednego, ani drugiego słowa. Już jakiś czas temu zadbali o to Wielcy Szamani.

– Ale... – dziewczyna chciała coś dorzucić; szaman machnął ręką i kontynuował:

– Bóg chce zostać poznany! Chce, aby ludzie go poznali! Chce, aby głosić o nim wszystkim, którzy jeszcze go nie poznali. Wzywa szamanów, aby go poznawali, aby przekazywali prawdę o nim, a pozostałych, aby przynajmniej uważnie go słuchali. Jedynie poznając Wielkie Coś – i w takiej mierze, w jakiej je poznajemy – jesteśmy zdolni również żyć i postępować prawdziwie, czyli żyć i postępować właściwie.

– Wielki Szaman nic nam o tym nie wspominał w szkole – przerwała dziewczyna. – Mówił na odwrót, że żyć i postępować właściwie, oznacza służyć społeczeństwu i pracować dla społeczeństwa.

– Ta... pracować i donosić – dodał cierpko szaman.

– Pracować wciąż więcej i więcej, to znaczy żyć właściwie! – odparła pewna swego.

– Tfu! – szaman splunął, ale nie zamierzał się już tym dziś denerwować.

– Człowiek, on jest naszym celem – wszystko dla dobra człowieka. Dlatego ludzie muszą wciąż więcej i więcej pracować!

– Wiem, że są na ten temat piosenki, sam musiałem ich uczyć dzieci w obozie. A ty pewnie pięknie je śpiewasz. Byłaś przecież tym śpiewającym ptaszkiem.

– Skoro mówisz, że nie byłam, to nie byłam – znów odpowiedziała grzecznie. – Ale opowiedz coś jeszcze, zanim się upijesz.

– Wielkie Coś jest centrum wszystkiego – nie człowiek. Stanowi niezbędną oś wszystkiego, czyli centrum naszych zainteresowań, naszej uwagi, naszego poznania. Z poznania Boga wynikają ostatecznie pewne niebagatelne konsekwencje dla życia i postępowania człowieka wśród ludzi...

– Tak, ludzie muszą zostać uświadomieni. Świadomość ideologiczna jest najważniejsza. Dlatego musimy się starać, aby nie tylko dzieci i młodzież, ale i dorośli oraz najmłodszy uczestniczyli w szkoleniach – oznajmiła skwapliwie, gdy doszła do wniosku, że wreszcie pojęła wykład szamana.

– Możesz mi to rano jeszcze powtórzyć, jeśli przypadkiem wypadnie mi to z głowy – szaman dorzucił między kolejnymi łykami. Jakże to cudowne, że bukłak zdawał się nie mieć dna!

– Gdy człowiek dojrzewa do poznania – choć jeszcze nie tego ostatecznego – pojmuję, że jest odpowiedzialny za swoją pracę – za swoje poznanie i wiedzę, którą osiąga, pojmuję, że musi ją chronić, a przede wszystkim – przekazać ludziom. Jest przy tym odpowiedzialny za dziedzictwo wszelkich ludzkich dążeń do prawdy, za całe dziedzictwo kultury i sztuki, które musi otoczyć opieką i udostępnić innym. To najważniejsze zadanie. I tę odpowiedzialność właśnie Wielki Szaman i jego Urząd Bezpieczeństwa zamierzają zniweczyć. Między innymi tymi szkoleniami.

– Hm.

– Tak – człowiek, który dąży do poznania, jest odpowiedzialny za każdy swój czyn... nie wolno mu szkodzić i krzywdzić innych, musi pomagać w sprawach materialnych... ale najistotniejsza jest właśnie odpowiedzialność. Ten, kto poznaje, bywa czasem zmuszony przyjąć na swoje barki dość ciężkie brzemie relacji międzyludzkich – dodał szaman. – Możesz to sobie zinterpretować, jak ci się podoba.

– Ale o co chodzi z tą krainą zmarłych? – przerwała mu, zauważywszy, że pije już dość długo i łąpczywie. – Wielki Szaman wyjaśniał nam w szkole, że po śmierci czeka nas nagroda lub kara, w zależności od stopnia uświadomienia i prawidłowego wykonania tatuażu na tyłku.

– Dobrze was nauczyli, ale nie zauważyłem, czy masz prawidłowo wykonany tatuaż. Będę na to musiał zerknąć za dnia.

– Jeszcze nie został skończony. Wielki Szaman uzupełnia go w nagrodę za osiągnięcia w pracy.

– To bardzo dobrze. Musisz się wziąć ostro do roboty.

– Nie żartuj sobie i powiedz, co wiesz!

– Powiedziałem, że ci, którzy żyją, nigdy nie będą martwi; nikt ich również nie wynagrodzi ani tym bardziej nie ukarze. Niosą oni dalej brzemień swojego życia. Kiedyś trzeba będzie zdjąć ten ciężar, czyli naprawić zło, które się wyrządziło. Ale kara nie naprawi żadnego z naszych uczynków! A po co mielibyśmy wynagradzać dobrych? I za co? Za to, że żyli tak, jak należy? Gdyby robili to dla nagrody, wskazałoby tylko, jak się żyć nie powinno! Kara i nagroda to pojęcia rodem z waszej kolonii karnej, którą stworzyliście w miejscu ludzkiej wspólnoty. Nic z tego, co się dzieje, nie przemija. Nie ma przeszłości – to tylko wada naszego postrzegania w tym świecie. Nic nie ginie w nicości – tylko wam się wydaje, że przeszłość jest tym, co było i czego już nie ma, co zostało unicestwione. A to trwa nadal. Bóg zna tylko Wielką Teraźniejszość i nieustannie otwartą Przyszłość. Tak wygląda prawdziwy czas ontologiczny.

– Co to znaczy ontologiczny?

– To takie nasze szamańskie słowo. Nie musisz go rozumieć, skoro innych też nie rozumiesz.

Zapadła noc, ale światło wielkiego księżyca wpadało wprost do namiotu. Szaman mógł zobaczyć każdy ruch jej oczu.

– Żyjesz w wielkiej teraźniejszości, żyje w niej każdy, żyje ten, kto był na tym świecie i z niego odszedł; żyje w nim, więc poznasz go, gdy znów go spotkasz – może to nastąpić nawet za sto tysięcy lat, jeśli pisany jest mu los anioła, a ty będziesz zaledwie głazem – każdy ciągle natrafia na własne „minione”, każdy może wciąż naprawić swoje „minione”. Nie ma nic, czego nie można by naprawić; wszystko można naprawić, wszystko jest naprawiane, codziennie, każdego dnia, wszędzie – tak jak nieustannie pojawiają się nowe ciężary w postaci naszych nowych błędów. Ten trud nie idzie na marne, a Syzyfowa praca... – szaman zakrzuszył się winem: „cholera – co to za Syzyf?” – pomyślał szczerze zdziwiony, ale ciągnął dalej, bo takie dziwactwa przytrafiały mu się coraz częściej, gdy pił lub medytował:

– Trud i wysiłek nie idzie na marne: jest to proces ciągłego odnawiania życiowej płodności, nieustanna regeneracja życia, ponieważ Bóg nie ma końca w czasie, nic nie zamiera, nie zasklepia się, nie zatrzymuje, Bóg trwa – a żywi trwają wraz z nim. Celem nie jest koniec, lecz dążenie do doskonałego poznania, jeśli jeszcze nie udało się nam go osiągnąć – celem jest życie w blasku i czystości, gdy osiągniemy owo poznanie. Życie nie kończy się ani nie gaśnie – jak oznajmi przyszły, potężny szaman – bo życie mądrego i poznającego człowieka przepełnione jest łagodną miłością; dlatego nie pragnie jego końca i kresu. Życie wszystkich pozostałych to nieustanna, radosna zabawa, bo wszystko, co uczynili, zawsze będą mogli naprawić; nie muszą rozpaczać nad niemożliwością odwrócenia zła, jakiego się dopuścili, a zatem: wszyscy żyjący mogą poznać, że istnieje realna nadzieja w Bogu, że jest ona możliwa nawet bez konieczności ontologicznego cudu zmartwychwstania wielkanocnego – Szaman znowu zatrzymał się w tym miejscu, ponieważ kompletnie nie miał pojęcia, co to znaczy. Wiedział tylko, że coś takiego istnieje, nawet jeśli powiedział, że nie było to potrzebne do poznania realnie istniejącej nadziei. „Chociaż ktoś może tego potrzebować” – pomyślał, gdy przed oczami mignęło mu wspomnienie obozu. Szaman powtórzył:

– Nie ma zatem konieczności – hmm – cudu ontologicznego. Istnieje realna nadzieja – nie warunkowa, wyrachowana, skryta, niekonsekwentna, świecka, pragmatyczna i materialna wiara – nie. Istnieje realna nadzieja w Bogu.

Dziewczyna drzemała od dobrych kilku minut. Szaman popatrzył na nią i nalał sobie ostatni puchar wina.

– Powiedziałem to pierwszy raz w życiu – dodał.

– Nadzieja na to, że Wielkie Coś jest Teraźniejszością i Przyszłością, która nie zna tego, co przeszłe... – Poczul, że język już go nie słucha, a ponieważ cenił sobie precyzję wyrażen, przewrócił się na plecy i zasnął.

Chrapał przez sen.

Zbudził agentkę, która poszła nocą zaaresztować Kulawego, chcąc jeszcze nad ranem wrócić do szamana, wspaniałego faceta, o którym sobie przypomniwała.

IX. Muszka

1

Szamana uchroniła stanowcza interwencja agentki, która nocą odprowadziła Kulawego w nikomu nieznaną miejscę; zatrzymała się u szamana jeszcze przez kilka dni, w czasie których niemal zamęczyła go na śmierć.

Udało jej się jednak wycygnąć od naczelnika ostatnie zapasy jeżyniaka, które zostawiła szamanowi, gdy żegnała się z nim, mówiąc, że naprawdę zrobił na niej ogromne wrażenie, że jest wspaniałym facetem (i wspaniałym szamanem) oraz że przyjdzie, gdy tylko będzie mogła, on siedząc na bukłaku w środku namiotu, gapił się tylko i klepał ją po tyłku, który, niestety, nie został jeszcze do końca wytatuowany.

Z upływem lata na dalekich wschodnich równinach pojawił się wreszcie mamut, którego dojrzeli z pagórka; zapanowało wielkie podniecenie: prosili szamana, aby odprawił rytuały, ale on, zauważywszy, że od mamuta dzieli ich dzień drogi, założył, że pewnie im ucieknie; Pani Zwierząt, jak oświadczył, uznała go za tabu; był to sam Wielki Duch, który przyszedł się tu tylko rozejrzeć. Myśliwi uwierzyli w to, gdy mamut rzeczywiście im uciekł.

Szaman wylegiwał się na zboczu za osadą, rozmyślając o swoich troskach – troskach pogrzebanego za życia. Postanowił, że znowu spróbuje się przełamać w kręgu młodych myśliwych, z którymi grał w jarze psychodeliczną muzykę. Nawet jeśli nie napawało to zanadto nadzieją. Muzyka i filozofia trochę się jednak różnią. Z drugiej strony dzieli je tak niewiele. Warto spróbować.

Kukułka coraz bardziej charczał – pewnie przeziębził się, gdy zimą szaman ćwiczył go w suszeniu mokrych skór na nagim ciele. Otoczył go troskliwą opieką. Niestety, nie była to choroba, którą szaman mógł uleczyć w transie, odnajdując jego porwaną duszę – dusza i ciało wędły jednocześnie na jego oczach. Wiedział o tym i napawało go to smutkiem.

Zabronił Kukułce wychodzenia na słońce, zostawił go leżącego w przyjemnie przewietrzonym namiocie, a gdy zaczął pluć krwią, uwolnił go także od obowiązku ślinienia tabliczek ofiarnych, na które sam musiał teraz szczać.

Gdy leżał w wysokiej trawie, czasami nie zauważał, jak obok pojawiali się myśliwi i w poważnym tonie roztrząsali swoje problemy. Szamanowi włosy stawały dęba z przerażenia.

Najczęściej kłócili się o to, że ktoś (akurat nieobecny) dostał większy kawałek mięsa przy podziale, lepszą skórę, dłuższą kość lub coś podobnego – byli w stanie rozmawiać o tym przez całe popołudnie.

Albo przekrzykiwali się językiem, którego zasób leksykalny nie przekraczał trzystu słów, kłócąc się, który z nich jest lepszy. Bądź też całymi dniami zastanawiali się, kto ileś lat temu strzelił karnego w meczu z drużyną z innego obozowiska, ba! – to się zazwyczaj ciągnęło przez kilka dni.

Gdy spierali się o to, czy do kolejnego obozowiska jest bliżej piechotą czy kłusem i do rana nie potrafili dojść do porozumienia, szaman po czwartej szedł w swoją stronę jak zбитy pies.

Zabawniej się słuchało o nowych systemach gwarantujących sukces w warcabach.

Szaman zastanawiał się, czy rozmowy kobiet przy szyciu skór nie są bardziej kretyńskie; obawiał się, że tak. Nie miał odwagi zbliżyć się i posłuchać.

Wprawdzie Wielki Szaman, rodzima Partia i Urząd Bezpieczeństwa nie byli w stanie zmusić ludzi do choćby szczątkowego zainteresowania szkoleniem ideologicznym, ale potrafili również sprawić, że ci nie interesowali się zupełnie niczym.

Szaman nie uważał bowiem starego karnego FC Ptasiarni za kwestię godną uwagi.

Mimo że na razie bez słowa, jak za dawnych czasów, przynosili mu jedzenie do namiotu i prześcigali się w niby szczerych uśmiechach (co było najprawdopodobniej efektem postawienia Kulawego przed sądem: szaman awansował w ich oczach, dostrzegali w nim wyłącznie pozytywne cechy), coraz bardziej powątpiewał w swoich współplemieńców, nie wspominając już o ustroju społecznym.

Jeszcze częściej niż kiedyś chodził medytować do jaskini, zapominając całkowicie o tym, jak jeszcze niedawno chcieli go tam zamurować.

Nieuchronnie zbliżała się zima, a z nią cały szereg szamańskich obowiązków, do których stracił jakikolwiek zapał.

Gdy miesiąc później znowu odwiedziła go agentka, na koniec sprząła porządnie batem; tak strasznie jej się to spodobało, że obiecała wrócić.

Byłby cholernie szczęśliwy, gdyby wiedział, jak się z tego wyrwać.

Nie mogąc powstrzymać popędu, przerznął kobiety kilku myśliwym, ale wszyscy się tylko zachwycili, jaki ogier z tego naszego szamana!

Pewnego dnia dostrzegł ponad wierzchołkami świerków żółty liść w koronie wysokiej brzozy. Jak dotąd nikt nie zgłosił się po Muszkę.

Gdy dojrzały jeżyny, szaman wyruszył z Kukułką, żeby je pozbiierać.

W nagłym przypiwieniu optymizmu chciał pożyczyć od naczelnika specjalny duży kosz.

Przechodząc przez plac z mamucią czaszką, na którym bawiły się dzieci, zobaczył Muszkę, jak przed namiotem uderzała w coś leżącego na ziemi.

O dziwo zainteresował się tym.

Gdy podszedł, wstała z szacunkiem i spuściła wzrok. Na ziemi leżał płaski, nieco wypukły, kamienny talerz; był szorstki i gruby, jak kamienie znajdujące w lesie, które do niczego nie służyły; pokrywała go warstwa pożąłkłego proszku. Muszka trzymała w ręku owalny, równie gruby i bezużyteczny dodatek.

Obrócił głowę i zobaczył koszyk wypełniony nasionami trawy.

Natychmiast zrozumiał. Stał jak wryty.

Muszka lub jej krewni zbierali nasiona trawy, tak jak jego stary szaman, ale Muszka widocznie nie wrzucała ich już do gorącej wody, żeby napęczniały i zmiękły, lecz mielła je na proszek w ten zadziwiający, niespotykany i nieoczekiwany sposób. Co z tym dalej zrobić? Spytał ją o to szybko. Też wrzucił to do gorącej wody, tylko do niewielkiej ilości, i przygotuje błoto, które nadaje się do jedzenia.

Chciał spróbować, ale Muszka nie miała. Kucnął i poprosił, żeby robiła to dalej. Zerkał z wielkim zainteresowaniem.

Człowiek chcąc zmielić nasiona na proszek, powinien po prostu uderzać w nie kamieniem – to by było normalne, ale ta dziewczyna robiła to zupełnie inaczej: tarła jednym kamieniem o drugi, tam i z powrotem, tam i z powrotem – nie, nie tarła, turlała okrągły kamień po tym płaskim; proszek się nie rozsypywał, ponieważ dolny kamień był nieco wyżłobiony i posiadał krawędzie!

Zapytał ją, gdzie znalazła takie kamienie. Znalazła je w lesie, ale dolny kamień wyślubiła trochę bardziej.

– Jak to się nazywa? – zapytał szaman, wskazując na zestaw narzędzi.

– Nie wiem – odparła nieśmiało Muszka.

– Czy ktoś to wie? – spytał szaman. – Może rodzice?

– Nie wiedzą – odpowiedziała Muszka.

Szaman zadumał się. Rzecz, która nie miała nazwy, nie powinna właściwie istnieć. Tak głosiła jedna z ezoterycznych, szamańskich nauk. Należało jak najszybciej odkryć jej nazwę – nie jakąś wymyśloną brednię, lecz nazwę, która bezpośrednio wynikała z istoty tej rzeczy, aby wynalazek Muszki mógł przetrwać.

– To, co robisz – powiedział do Muszki – polega właściwie na toczeniu...

Muszka nic nie odpowiedziała, ponieważ sama nie potrafiła tego określić. Słownik szamana był znacznie bogatszy niż zasób słów myśliwych. Co prawda rozumieli go dość dobrze, ale nigdy nie byli w stanie precyzyjnie zdefiniować znaczenia słów, których używał.

– Toczysz to przed sobą... – szaman powtórzył zamyślony i nagle doznał olśnienia – a więc toczydło!

Decyzja miała charakter całkowicie niezależny, a słowo dość dobrze oddawało istotę rzeczy, mimo to zapomniano o tym sposobie produkcji proszku do robienia błota i tysiąc lat później przyjęto inne słowo.

Tymczasem szaman uśmiechał się zadowolony, a Muszka rozpromieniała się, gdyż nagle otrzymała dar cenniejszy i droższy niż inne: nowe słowo, własną nazwę, która przemieniła dwa zwyczajne kamienie w jedną nową rzecz i była jej duszą.

Potężna magiczna moc tego daru spoczywała teraz w rękach Muszki. Każdy mieszkaniec obozu ze świętą bojaźnią i drżeniem przyjmie z jej ust ten duchowy dar Świata Pozazmysłowego.

Od świętej bojaźni Kukułce zaczęła krzywić się gęba. Szaman uderzył go kilka razy w głowę, żeby nie dostał ataku padaczki; zrezygnował ze zbierania jeżyn, wrócił do domu i usiadł przed namiotem.

Z bliska obserwował, jak Muszka gorliwie kontynuuje swoją pracę.

Serce zabiło mu od błęgiego szczęścia.

A może jednak, do cholery, coś z tych ludzi będzie – mieli rzecz, której nie było przy ich stworzeniu i której nie przyniosły ze sobą Wielkie Duchy.

Sami wzbogacili wszechświat w coś, co nie zostało w nim przewidziane.

„Jeśli ja jestem tak szczęśliwy, to jakże szczęśliwy musi być sam Bóg! – pomyślał – dziwna to droga, ale jednak Droga”.

3

Drugiego dnia zachmurzyło się, a szaman był przygnębiony, trzeciego dnia Kukułka rzygał krwią, czwartego coś przeleciało szamanowi koło nosa, piątego i szóstego dnia tak bolało go ramię, że niemal nie mógł ruszyć lewą ręką – tak już pewnie będzie aż do wiosny – wreszcie siódmego dnia wyruszył na jeżyny.

Dziewczyny wprawdzie oskubały już krzaki w lesie, ale szaman wiedział, że najpiękniejsze i najbogatsze zasoby znajdują się nad jarem, gdzie niewiele z nich miałyby odwagę się zapuścić.

Po drodze spotykał dziewczyny z wypełnionymi do połowy koszykami. Gdy skręcił na ścieżkę prowadzącą do jaru, spotkał również Muszkę, która niemal nic nie uzbierała. Pewnie martwiła się, że czeka ją w domu lanie. Szamanowi zrobiło się jej żal, więc poprosił, żeby z nim poszła.

Muszka była bardziej milcząca niż zwykle. Szaman odniósł wrażenie, że się go boi. W milczeniu dotarli do jaru. Musieli się trzymać stromego uskoku pokrytego jeżynami.

Zbierali w pośpiechu i szybko napełnili koszyki. Szaman żałował, że wziął ze sobą Muszkę; czuł się przytłoczony jej milczeniem. Ułożyli pierwsze wypełnione koszyki na skalnym uskoku i poszli dalej. Szaman szedł z przodu, nie oglądając się na Muszkę. Nagle usłyszał jej dziecięcy krzyk i łoskot osuwającego się rumowiska. Obrócił się wystraszony i zobaczył ją leżącą brzuchem na stromiźnie, gdy daremnie próbowała się czegoś złapać. Doskoczył do niej i wyciągnął ją na skalny gzyms. Ale Muszka dalej zawodziła, a gdy spróbowała wstać, znowu upadła. Zobaczył, że zwichnęła kostkę. Posadził ją w bezpiecznym miejscu, kazał mocno się chwycić i jednym ruchem nastawił jej kostkę. Niestety, nie miał jej czym usztynić, więc jedyne co im pozostało, to siedzieć i czekać. Niemal pełny koszyk Muszki sturlał się aż na dno jaru. Lamentowała po cichu... Znów ją zbija w domu.

Szaman też nie był w stanie zejść na dno jaru; bardzo jej współczuł. Targał się za brodę, ale wziął swój koszyk i z łagodnym uśmiechem położył na jej łonie. Muszka szlochala.

- Ty się mnie boisz, Muszko? – zapytał.
- Nie boję się – odpowiedziała cicho.
- Ale nie lubisz mnie.
- Lubię.
- Wcale bym się nie dziwił, gdybyś mnie nie lubiła.
- Lubię.
- W domu cię tego nauczyli?

– Nie.

– Wierzę.

Siedzieli dalej w milczeniu, otaczał ich przyjemny chłód – może nawet było zbyt chłodno, bo szamana znów rozboleła lewą ramię.

– Jesteś dobry – zagała nagle nieśmiało.

– Co masz na myśli? – spytał zdziwiony.

– Jesteś dobry.

– Ale w domu tak nie mówią, co?

– Nie mówią.

– A co mówią?

– Że jesteś strasznie silny i zły.

Szaman skrzywił się.

– Ale ty jesteś dobry.

Szaman wolno pokiwał głową. To jeszcze dziecko!

– Słyszałaś o Kulawym?

– Tak.

– No widzisz!

– Ale wiem, że jesteś dobry – powtórzyła cicho, choć stanowczo.

Szaman poczuł, jakby nagle pęknął jakiś powróż, który krępował jego język i serce.

– Mała Muszko! – powiedział z tak płomienną szczerością, że spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. – Nie jestem dobry... pal licho Kulawego, ale i tak nie jestem dobry.

Milczała, trochę ze strachu, ciągle patrząc na niego.

– Chciałbym ci tyle powiedzieć – chociaż pewnie byś mnie nie rozumiała. Wierz mi, że nikt w obozie nie rozumiałby nawet połowy tego, co ty. Może z biegiem czasu zrozumiałabyś mnie w pełni, ale na to już chyba za późno.

Wkrótce ktoś się po ciebie zgłosi i niewiele już porozmawiamy. Nie tak dawno, jakieś dwa lata temu, ja też myślałem, że jestem dobry. Ale potem nabrałem przekonania, że jednak nie. I kto wie, czy kiedykolwiek będę.

Muszka patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– Tej jesieni poczułem ucisk i ból w żołądku. Po wypróbowaniu wszystkich możliwych ziół, doszedłem do wniosku, że to rak. Tę chorobę można wyleczyć w Wielkim Transie: to bardzo trudny, ale względnie niezawodny sposób. Wyleczyłem już kilka takich przypadków w obozie, chorzy do dziś chodzą na polowania. Ale ja poczułem nagle ogromną radość i satysfakcję z tego, że mam raka, który w ciągu dwóch lat przemieli mnie i doprowadzi do śmierci. Nie przyszło mi nawet na myśl, żeby go leczyć.

Muszka patrzyła na szamana niemal z przerażeniem. Zauważył to i uśmiechnął się. Pogłaskał ją po włosach – po raz pierwszy od momentu, gdy przestała być małym dzieckiem – i powiedział:

– Przecież widzisz, że żyję i jestem zdrowy. Tym razem się pomyliłem. Ale wtedy mnie to jednak ucieszyło: nareszcie koniec był na wyciągnięcie ręki, a ja nie musiałbym już dłużej męczyć się rozważaniami, czy się powiesić, czy nie.

Przerażona Muszka zaczęła delikatnie drżeć.

– Uważałem to za wielki dar. Cieszyłem się z niego od rana do wieczora i – możesz mi wierzyć – byłem w doskonałym humorze. Po pewnym czasie zacząłem sobie jednak uświadamiać, jakim jestem gnojem. Zrozumiałem, że nie cieszę się z czystego poznania, miłości do Boga, perspektywy rychłego spotkania z nim. Cieszyłem się, że tak łatwo i szybko zrzucę odpowiedzialność.

Muszka naprawdę niewiele z tego rozumiała. Szaman widział to w jej oczach. Śmiał się z tego, ale kontynuował:

– Chciałem się wymknąć. Zrzec się odpowiedzialności za siebie przed światem, przed życiem, przed Bogiem i przed ludźmi z obozu. Zrzec się odpowiedzialności za swoje dzieło, które musi zostać skonfrontowane ze światem. Miałem nadzieję, że uniknę też największej nieprzyjemności, jaką jest konfrontacja ze swym dziełem. Z tym, jak żyłem i co tworzyłem, choćby to były hymny lub Wielkie Pieśni o prawdzie i poznaniu. Ta konfrontacja to chyba najgorsze, co nas tutaj czeka, co musimy znieść i wytrzymać. Cieszyłem się, że tego uniknę. Ale śmierć pozwala wygodnie uniknąć jeszcze wielu innych rzeczy.

Muszka uspokoila się. Wiedziała, że przemawia on teraz w szamańskim języku, którego zwykły śmiertelnik nie rozumie. Skoro zechciał nim mówić właśnie w jej obecności, nie wolno mu było przerywać. Pewnie wypowiada jakieś potężne zaklęcia, żeby noga ją nie bolała i żeby nie została zbita w domu.

Szaman obserwował ją ze spokojem – wiedział, co sobie pomyślała, ale kontynuował:

– Cieszyłem się, że wreszcie umknę przed pokusą ambicji – potrzeby tak samo głupiej, jak i niezbędnej. Od młodości zasypiałem i budziłem się w jej towarzystwie. Wreszcie mogło się to skończyć. Cieszyłem się, że uniknę pokusy zarozumiałstwa i pychy, która jest jeszcze bardziej idiotyczna niż ambicja. Cieszyłem się, że uniknę pokusy zawiści i zazdrości. Cieszyłem się, że uniknę męki rozpacz, która towarzyszy tym wszystkim pokusom. Cieszyłem się, że tak łatwo przed tym umknę, że uniknę tego właściwie za darmo.

Muszkę zaczęło to nudzić, ale ze względu na ogromny szacunek nie odważyła się tego okazać. Szaman i tak to zauważył.

– Z pewnością nie pochodziło to z czystej myśli! Nie zrodziło się z miłości do poznania, do prawdy, do Wielkiego Czegoś. To gorsze niż tchórzostwo! To świadome oszustwo! W takim stanie obezwładniającego duchowego upodlenia chciałem odejść do kolejnego życia! Ależ bym sobie zgotował przyszłość! Dopuszciliem się najgorszych uczynków, poczynając od tego, że przeleciałem chyba wszystkie kobiety w obozie i nie kiwnąłem nawet palcem, aby zadbać o swoje dzieci, a kończąc na Kulawym. Ale żaden z tych postępów nie był takim ciężarem, takim złem, jak radość z uniknięcia odpowiedzialności za wszystko, o czym mówiłem. Bo te kobiety, dzieci, a nawet Kulawego biorę na siebie z pełną świadomością. A tu nagle zachciało mi się oszukać samego siebie i zdradzić cały świat, całe życie wieczne. Wtedy zrozumiałem, że nie jestem dobry, jak raczyłaś mnie nazwać. I jeszcze długo będę musiał czekać, aż stanę się dobry. Tak jakbym chciał.

Milczeli.

W cieniu było coraz chłodniej; niebo się zachmurzyło i po chwili spadły pierwsze krople deszczu.

– Wyjdź za mnie – Muszka powiedziała nagle cichym drżącym głosem.

Szaman długo na nią spoglądał. Siedziała, bojąc się podnieść wzrok.

Po chwili odparł:

– Bardzo chętnie. Ale ze mną czekałaby cię nędza, Muszko. Jestem stary, biedny i nie wiem nawet, czy mnie nie wyrzucą z obozu, a może zdecydują się mnie zarznąć i zjeść. Zimą okaże się, czy jeszcze mogę to powstrzymać. Ale nie czuję się bezpieczny.

Muszka siedziała dalej z opuszczoną głową. Oboje byli już całkiem przemoczeni.

Szaman obejrzał raz jeszcze jej kostkę, a gdy stwierdził, że już ją tak nie boli, zebrał koszyki i kazał jej iść z przodu.

W lesie na razie tylko mżyło, igliwie było miękkie. Szaman wysłał Muszkę do domu. Nie warto, żeby ktoś ich razem zobaczył.

Muszka nic już nie powiedziała.

X. Wielki trans

1

Z Kukułką było coraz gorzej, szaman nie mógł temu zaprzeczyć. Teraz, gdy słońce nie grzało tak jak latem, kazał mu leżeć przez cały dzień na zewnątrz. Kukułka niby poczuł się lepiej, ale szaman wiedział, że to tylko pozory.

Kukułka milczał, dopóki leżał przez cały dzień na widoku. Wieczorem natomiast śpiewał w namiocie stare, szamańskie pieśni religijne, których raczej nie usłyszał od szamana. Pieśni te cieszyły się wielkim uznaniem wśród szamanów, gdyż powiadano, że zostały skomponowane jeszcze przez Pierwszego Człowieka i Pierwszego Szamana. W przekazach te dwie postacie zlewały się w jedną. Pieśni były poświęcone słońcu, wodzie, niebu lub ziemi i czciły ich wielkość, siłę i wieczność. Niegdyś szaman śpiewał je z głęboką egzaltacją, ale z czasem uznawał je już tylko za piękne obrazy dla naiwnych. Nie prowadziły do wnikliwego poznania, którego sam poszukiwał. Widocznie jednak odpowiadały Kukułce – czasem głos mu przy nich zadrzał, czasem nawet zaszlochał.

Kukułka miewał momentami przedziwne myśli; szaman nie mógł się nadziwić osobliwym przeciwieństwom, jakie krył w sobie ten biedak. Nie miał za grosz talentu, żeby w oczach ludzi uchodzić za szamana. Ale rzeczy, o których czasem wspominał, świadczyły o szamańskim darze zupełnie innego rodzaju. Pewnego razu, gdy szaman nakładał mu na piersi ciepłe okłady, zapytał:

- Żyjesz w prawdzie, szamanie?
- Co masz na myśli?
- Czy żyjesz zgodnie z prawdą.
- Żyję – odpowiedział szaman.

Kukułka zamyślił się i dodał:

– A zatem doniosłeś na Kulawego zgodnie z prawdą. To zmienia postać rzeczy.

Szaman zobaczył, że Kukułka potraktował to poważnie, więc poprawił go:

– To nie było zgodne z prawdą. Zgodne z prawdą jest tylko to, że nie zrobił nic gorszego niż ja. A może nawet mniej.

Kukułka wydawał się wstrząśnięty:

- Więc to nie była prawda?
- Nie.
- Czyli był niewinny?

Szaman pokręcił głową:

– Skąd ty bierzesz te słowa? Ja ci ich nie mówiłem, nie zna ich nikt w obozie, nawet Urząd Bezpieczeństwa, jestem prawie pewien, że Wielki Naczelnik i Wielki Szaman też ich nie znają – a ty je wypowiadasz. Ten twój gawron ci to powiedział?

- Chyba sam na to wpadłem... – odpowiedział niepewnie Kukułka.
- Tego nam jeszcze brakowało! – westchnął szaman.
- Czyli był niewinny?
- Tak.

– Dlaczego powiedziałaś nieprawdę? – przeraził się Kukułka i zerwawszy się, aż spadły mu okłady, załamał ręce ze zdenerwowania.

– Hm – odparł szaman – ponieważ to nie ma żadnego znaczenia.

– Jak to nie ma znaczenia?

– Ano tak, jeden Kulawy tu, drugi tam, wszystko jedno. To nic nie znaczy. Przynajmniej w tym naszym społeczeństwie dobrobytu. Gdybym na niego nie doniósł, zrobiłby to ktoś inny, bo tak sobie zażyczył Urząd Bezpieczeństwa, który pewnie zgarnąłby mnie jako pierwszego.

– Ale to przecież grzech!

Tego słowa nie znał już nawet szaman.

– Nie wymyślaj bezsensownych słów! Nie myśl, że wszystko, co ci ślina na język przyniesie, to jakieś szamańskie słowa. To nie jest słowo, do niczego się nie odnosi, nic nie znaczy, nie ma sensu. Możesz sobie mówić po szamańsku, ale nie wymyślaj bzdur. Łatwo je poznam.

Kukułka odburknął coś i zamilkł.

Zaraz jednak dodał:

– Wiesz, coś jest na rzeczy. Miałem silne wrażenie, że to oznacza coś złego, za co grozi wielka kara.

– Kary, idioto, dostaje się za naruszenie tabu. I to tylko wtedy, gdy ktoś cię na tym przyłapie. To sprawa naczelnika i Urzędu Bezpieczeństwa. To powinna też być moja sprawa, ale ja akurat mam to w dupie.

Kukułka znowu zamilkł, ale nie dawało mu to spokoju.

– Nie – powiedział – to zła rzecz, za którą po śmierci kara Wielki Duch.

– Głuptasie – odparł szaman – ty nawet nie wiesz, kim jest Wielki Duch, w życiu go nie widziałeś, bo nigdy nie wstąpiłeś w Wielki Trans – a o tym, co nas czeka po śmierci, już w ogóle nie masz bladego pojęcia. Zrozum, że czeka cię to samo, co teraz. Musisz naprawić wszystko, co uczyniłeś, a żadna kara jeszcze niczego nie naprawiła i nie naprawi. Tylko praca może coś naprawić. W dodatku zazwyczaj nie jesteś w stanie zadośćuczynić temu, kogo skrzywdziłeś, możesz to natomiast zrobić dla kogoś, kto tego potrzebuje. Co jest jeszcze trudniejsze. Nigdy nie wiesz, kto będzie potrzebował pomocy, dlatego musisz być ciągle gotowy do jej udzielania. Jakże łatwo byłoby wszystko naprawić, gdyby wystarczyło komuś wybić zęby lub dać udziec renifera i po sprawie. Obawiam się, że już nigdy na tym świecie tego nie zrozumiesz.

– No dobrze – odparł Kukułka – wiem już, że masz rację. Strasznie się cieszę, że mogę żyć przy tobie.

Szaman splunął, co przypomniało mu o konieczności obszczenia tych ofiarnych tabliczek. Poszedł uporać się z tym jak najszybciej.

Kilka dni później Kukułka zaczął znowu:

– Jeżeli jednak powiedziałaś nieprawdę o Kulawym, to nie żyjesz zgodnie z prawdą, szamanie.

– Daj już sobie spokój, szajbusie! Powiedziałem ci, że żyję zgodnie z prawdą i powtarzam ci raz jeszcze, że jestem tego pewien. Wsadź sobie gdzieś tego Kulawego.

– Wiem, że masz rację – dodał po chwili – ale gdybym ja to zrobił, nie żyłbym zgodnie z prawdą.

– Jak sobie chcesz – szaman wrzucił ramionami.

Nie minął tydzień, jak Kukułka wrócił do porzuconych rozważań. Szaman tolerował je, wiedząc, że Kukułce nie zostało już wiele czasu do końca ziemskiego życia. Może pół roku.

– Ludzie nie powinni się krzywdzić – zaczął pewnego wieczora.

O tej porze roku robiło się już chłodno, szaman przywłókł właśnie ciężkie kości do ogniska. Latem nie było już z Kukułki żadnego pożytku, brakowało im drewna na zimę, a szaman oszczędzał resztki opału.

– Już całkiem nieźle mówisz po szamańsku – zaśmiał się z niego. – Powinni, nie powinni: nawet myśliwi nie znają takich słów.

– Tego nauczyłem się przypadkiem, od ciebie. Ale chcę powiedzieć, że ludzie nie powinni się krzywdzić.

– Każdego dnia tuzin myśliwych tłucze się między sobą, a kobiety zbierają cięgi nieustannie.

– To jest złe, a ja chciałem powiedzieć, że ludzie nie powinni wyrządzać zła.

– No pewnie, że nie powinni. Ale mam wrażenie, że ludziom z naszej osady niezbyt na tym zależy.

– A jednak nie powinni wyrządzać zła.

– Mój drogi, dopóki świat wygląda tak, że rządzi nami zgraja łotrów, którzy tylko czekają, żeby żywcem obedrzeć nas ze skóry – a wiesz przecież, że wszystkie lepsze skóry, dobre wędliny i wielkie poroża wysyła się do obozu Wielkiego Naczelnika: ileż ludzie muszą wyprodukować broni, a nawet ozdobnych bransoletek, naszyjników i płaszczów z ptasich piór... – ludzie nie przestaną wyrządzać zła, nie mogą przestać, bo nikt się nawet o to nie stara.

– Ale gdyby wszyscy zrozumieli, że nie wolno czynić zła, gdyby im to ktoś powiedział...

– A kto by im to powiedział, matole?

– Kiedyś ktoś będzie im to musiał powiedzieć.

Szaman westchnął:

– Ktoś, kiedyś – no pewnie.

– I wtedy przestaną.

– Puknij się w łeb! Dwadzieścia lat temu mówiłem im o tym dość często i jedyny efekt był taki, że przynosili mi więcej mięsa, bo tak to sobie przetłumaczyli, a potem jeszcze bardziej mi wymyślali.

– Ale gdyby ktoś przyszedł, stanął na czaszce mamuta, zaczął o tym mówić i prosić ich...

– To co?

– Toby przestali.

Szaman wiedział, że rozmawia z człowiekiem niedorozwiniętym, który w dodatku majaczył w gorączce. Machnął tylko ręką. Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że nie może pozwolić, aby ten biedny młokos przeszedł do nowego życia jako kompletny idiota, więc dodał roztropnie:

– Masz rację, Kukułko, ludzie nie powinni sobie nawzajem wyrządzać zła. Dopóki jednak nie obalą tego zezwierzęconego ustroju, nic z tego nie będzie. Jeśli traktuje się ludzi jak wilki, stają się wilkami. Tak, trzeba znaleźć sposób zniszczenia tego reżimu, trzeba sprawić, żeby ludzie mogli się zjednoczyć. Niestety, jesteś zbyt niedouczony, żeby zrozumieć, że wszystkie tradycyjne ścieżki i metody osiągnięcia tego celu są dziś bezużyteczne. Dopiero gdy ktoś wpadnie kiedyś na pomysł, jak tego dokonać, otworzy się droga do tego, aby ludzie mogli być ludźmi – jeśli to w ogóle możliwe – i przestali wyrządzać zło.

Kukułka chyba zastanawiał się nad jego słowami. Po dłuższej chwili odparł:

– Myślę, że tę drogę znajdzie ktoś, kto się dla nich poświęci.

– Co masz na myśli? – szaman spojrział na niego zdziwiony.

– Ktoś, kto by im to wyjaśnił, kto by ich pouczył, poprosił i skłonił do tego... Urząd Bezpieczeństwa mógłby go potem spokojnie zarżnąć.

– Pewnie tak by się stało – odparł szaman.

– Ale stałby się dla nich przykładem; ich dusze otworzyłyby się na prawdę, jeśli ktoś naprawdę żyłby i umarł zgodnie z prawdą.

– Niby kto miałby to zrobić? Taki człowiek po prostu nie istnieje.

– Może powinien to być sam Duch...

– Jak to?

– Po prostu, zszedłby na ziemię, tak jak zazwyczaj, ale nie po to, żeby się tylko rozejrzeć – wzięłyby ten ciężar na siebie, a gdyby chcieli go zabić, przekląłyby ich i zwyciężyły.

– Wielki Duch jest tym samym, co my – tyle że znacznie więcej potrafi. Najwięksi szamani też to potrafią. Wielki Duch jest tchórzem, tak jak normalny człowiek. A Bóg – bo może jego miałeś na myśli – nie jest żadną osobą, która mogłaby zstąpić do ludzi i coś robić.

– No to jakiś człowiek powinien zrobić to, co zrobiłby Bóg, gdyby zszedł do ludzi.

– Nikt nie jest w stanie – szaman odpowiedział ze spokojem i smutkiem.

Kukułka długo się zastanawiał.

– To musiałyby być ktoś, kto tak jak ty żyje w prawdzie – dodał na koniec – bo ja wiem, że żyjesz w prawdzie, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Kukułka osunął się na poduszki ogłuszony uderzeniem szamana, który ruszył do obozu wyżebrać dla niego kolację.

2

Jesień trwała już od dłuższego czasu, właściwie niemal się skończyła; zaczęły się nocne przymrozki, nad ranem pojawiał się szron, który utrzymywał się aż do południa, a w dodatku wiał ostry wiatr.

Szaman bał się tegorocznej zimy bardziej niż zazwyczaj, bo nie mógł zostawić Kukułki na mrozie. Musiał naznosić drewna i kości na opał, a strasznie się z tym guzdrał.

Myśliwi zaczęli przygotowania do jesiennej wędrówki reniferów na południe; naczelnik polecił szamanowi odprawić obrzędy łowieckie.

W środku przygotowań – przeciągały się, ponieważ szaman musiał się teraz sam wszystkim zajmować – przyszedł do niego jeden z braci Muszki, która zachorowała. Było rano, a ona leżała z gorączką od wczorajszego wieczora.

Uprzątnął porozrzucone rzeczy i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

To, co zobaczył podczas wizyty u chorej, mocno go zaniepokoiło. Nie była to zwyczajna grypa, ale ostre zapalenie płuc. Nie wiadomo, kiedy się go nabawiła, przegapiwszy widocznie początek choroby – zresztą ta wiedza niewiele by pomogła. Szaman natychmiast zrozumiał, że konieczna jest błyskawiczna i skuteczna interwencja. Jeśli naprawdę chce uratować Muszkę, musi wejść w Wielki Trans.

Choć do wieczora zostało jeszcze sporo czasu, natychmiast rozpoczął przygotowania. Wszystkie kostiumy magiczne były w oplakany stanie, bo Kukułka od zimy się nimi nie zajmował. Wybrał ten, który ubierał podczas najbardziej sekretnych obrzędów i podreperował go igłą i króliczym jelitem. Ponownie naciągnął skórę na bębenku. Rozłożył przed sobą wszystkie magiczne amulety i wybrał najsilniejsze z nich. Wzniecił ogromny ogień, wrzucił do niego kamienie, żeby się ogrzały, a potem umył się w nieckach czystą skórą. Następnie przystąpił do ćwiczeń oddechowych, ponieważ czekało go wyjątkowo męczące zadanie. Wieczorem był gotowy ze wszystkim i poszedł do namiotu rodziców Muszki.

Jak zawsze zebrała się tam już zgraja ciekawskich. Rodzina była bogata, a namiot przestronny. Mimo to szaman wyznaczył wokół ogniska spory okrąg, żeby chociaż część z nich znalazła się poza namiotem. Niecierpliwie czekał na nadejście nocy i co chwilę wychodził na zewnątrz, żeby obserwować niebo. Wiedział, w jakim gwiazdozbiornie znajduje się dziś ziemia – nie była to korzystna konstelacja. Pełen obaw szykował się do potężnego rytuału, który miał pokonać jej wpływy. W trakcie procedur leczniczych przestrzegał surowo wszystkich magicznych zasad powierzonych mu niegdyś przez starego szamana, a później również przez duchy. Nie przejmował się swoim brakiem wiary i prawdziwą wiedzą o sprawach tego świata i światów wyższych.

Wreszcie nadszedł odpowiedni moment.

Zaczął tak jak zawsze od powolnego bębnienia i tańca. Wielki Trans wymagał dziś jednak szczególnych szamańskich starań. Skakał więc wokół ogniska, śpiewając magiczne pieśni, ale bardziej skupiał się na wewnętrznym ogniu budzącym siłę życia, która dzięki rytmicznym oddechom i koncentracji przesywała kręgosłup aż po czubek głowy, skąd ulatywała na zewnątrz, by połączyć się z kosmiczną siłą życia.

Nie musiał długo czekać, żeby to osiągnąć. Jego dusza – a może jego świadomość, bo nigdy nie potrafił tego prawidłowo rozróżnić – opuściła ciało, a szaman wstąpił z nią na Drzewo Świata.

Wszystko postrzegał niezwykle jasno. Całkowicie opuścił swoje ciało. Zaczął się Wielki Trans. Wnet zrozumiał, że tym razem będzie naprawdę Wielki – pewnie dlatego, że tak szybko i gwałtownie opuścił swoje ciało, co brało się pewnie stąd, że Muszka była mu bardzo bliska. Instynktownie chciał spowolnić ten proces, ale nie był już w stanie. Poczul, że czas zaczyna biec wstecz. W szaleńczym locie mijał całe swoje życie. Bał się. Jeszcze nigdy mu się to nie przytrafiło.

Nagle jakby otrzymał cios i stracił świadomość. Gdy się przebudził, miał piętnaście lat i miotał się w chorobie szamańskiej.

Przerażeni widzowie zobaczyli nagle szamana chodzącego na czworakach. Potem rzucał się, jakby dostał ataku. W namiocie było tak gorąco, że wszyscy się pocili.

Szaman tymczasem przeżywał ponownie pierwszy atak choroby. Nie zamierzał się jej poddać, bał się jej, próbował uniknąć, chciał być zdrowy.

Ale im bardziej z nią walczył, tym silniej go gnębiła, aż w końcu zrozumiał, że czeka go śmierć. Przestał się bronić.

Nagle zasnął w spokoju. We śnie nawiedzali go pradawni szamani, którzy nakładali na niego ręce.

Przez sen zaintonował z wolna stare, święte pieśni, których nigdy się nie uczył.

Obudził go stary szaman, zawiązując magiczny frędzel – symbol szamańskiego adepta.

To, co niegdyś trwało wiele miesięcy, szaman przeżywał teraz w przyspieszonym tempie. Błąkał się w obcym lesie i ryczał jak stary renifer. Padł na kolana, rwąc zębami i pożerając nieliczne trawy, wrzosa i porosty. Przez siedem dni pełzał jak zwierzę.

Przeraźliwie wychudzony, otumaniony gorączką leżał w namiocie swojego nauczyciela, niemal całymi dniami śpiąc.

Widzowie spoglądali na oklapłe ciało szamana, z którego mimo zamkniętych ust dobiegało ogłuszające chrapanie.

Przez długi czas znowu siedział w jaskini, w celi, na ścianie której widział Ducha Nocy. Przez jego głowę nie przeleciała nawet jedna myśl, jego mózg nie był w stanie wygenerować choćby jednej idei. Kaganek już dawno zgasł, a on ciągle widział wyraźnie czarnego bizona kilka centymetrów przed swoimi zakrwawionymi oczyma.

Po niewyobrażalnie długim czasie szaman ponownie pojawił się w lesie. Zewsząd dobiegały go odgłosy burzy. Wszedł na skałę w środku lasu. Smagał go lodowaty deszcz, a wiatr owiewał ze wszystkich stron.

Niebo się rozstąpiło i przez krótką chwilę szaman mógł dojrzeć ponad sobą zielone, kwitnące łąki. Uderzył w niego piorun. Zmarł.

Chrapanie, które przeszło w śmiertelne rżenie, nagle ucichło. Szaman nie oddychał.

Zobaczył, że trafił do podziemia. Daleko przed nim, na opustoszałej, lodowej równinie stał namiot, spod którego płachty biło światło ognia.

Szaman podszedł bliżej. Będąc jeszcze wciąż daleko, ale już tylko o krok od celu, zobaczył w namiocie diabła w magicznej szacie, który odprowadzał najbardziej przerażające szamańskie obrzędy na ciałach zmarłych.

Rozcinał je, wyciągał wnętrzności i wkładał w ich miejsce otoczaki i węże.

Obgryzał ich uda z mięsa i przykrywał nagie kości mchem.

Śpiewał najstraszniejsze zaklęcia.

Odprowadzał najpotężniejszy rytuał zmarłych.

Widzowie zaczęli nerwowo dreptać w miejscu. Szaman już od pół godziny nie oddychał.

Porażony piorunem, ze spalonymi włosami i brodą, wrócił do swojego nauczyciela, który karmił go jak małe dziecko.

Później, choć nie sposób określić kiedy dokładnie, nauczyciel wprowadził go daleko za obóz.

Szaman siedział na karczowisku. Zbliżała się noc. Widział jednak, co się dzieje wokół niego, jakby był dzień. Widział, jak wilki i lisy tworzą wokół niego krąg. Z głębi lasu machały do niego poroża reniferów. Za plecami poczuł niebezpiecznie zbliżającego się mamuta. Wszyscy czekali.

Nagle z góry natarł wróg.

Ogromny orzeł, jakiego jeszcze nie widział, urwał mu szponami głowę. Wydłubał z niej oczy i rzucił się na resztę ciała, które leżało wśród mchu. Rozerwał je na strzępy, rozrzucił dookoła i zaczął zżerać wnętrzności.

Odarł z mięsa wszystkie szczątki i wypił całą krew. Po szamanie zostały kości i czaszka.

Strasznie długo to trwało. Szaman patrzył na swoje truchło. Został obnażony do cna. Mijał dzień za dniem, minął tydzień.

Szaman odzyskiwał zdolność medytacji nad swoimi rozrzuconymi i obgryzionymi członkami.

Nagle w jego świadomości rozbłysło światło, które przenikało też wszystkie członki jego ciała. Zniknął krąg zwierząt, które go strzegły; wielki orzeł machnięciem skrzydła scalił kości, które znów obrosły w mięso, wymienił oczy i uszy, a w pobliżu serca umieścił w jego ciele magiczne kryształy. Rozmawiał z nim w języku zwierząt. Orzeł stał się jego pierwszym duchowym strażnikiem. Jeszcze zanim wyczerpany, ale uzbrojony w jasne zmysły, wrócił do obozu, orzeł siedmiokrotnie okrążył osadę; wszyscy zrozumieli, że oto narodził się nowy szaman.

W namiocie klatka piersiowa szamana zaczęła się wyraźnie poruszać.

Wszyscy ucichli.

Szaman wstał, ale widać było, że stracił wzrok. Skoczył w ogień i zdeptał go bosymi nogami. W namiocie zrobiło się niemal całkowicie ciemno; tylko przez szeroko rozwartą płachtę docierało do środka światło nocy. Na niebie ponad osadą po raz pierwszy tej zimy pojawiła się zorza polarna.

Zorza, którą ujrzał w swojej głowie i w swoim ciele nie opuściła go jednak tak jak wtedy, gdy ponownie narodzony wrócił do osady. Odzyskał pełną świadomość. Dziwił się temu i odczuwał lęk. Nie był w namiocie, ledwo o nim pamiętał, wiedział tylko, że szuka duszy chorej dziewczyny i podąży do najwyższych światów. Był tam już tyle razy, że nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się boi. Może przez to potężne światło, które wciąż go nie opuszczało i którego nigdy wcześniej nie zaznał. Ten dzisiejszy Wielki Trans był po prostu niezwykły! Może Muszka była bardziej chora, niż przypuszczał, a duchy przekazały mu większą moc?

Szaman rozejrzał się wokół siebie, ale nic nie zobaczył. Pewnie znajdował się właśnie w jednej z tych sfer, w których niczego nie można zobaczyć. Był jednak pewien, że jest już blisko najwyższego niebiańskiego świata. Jeśli będzie gdzieś tutaj, choć zakładał, że przyjdzie mu jej szukać na drodze do krainy zmarłych przodków, wezwie swoim potężnym zaklęciem Najwyższego Ducha, aby sam przyniósł mu jej duszę. Nie musiał się go bać, nie robił tego po raz pierwszy.

Nagle ocknął się w świecie Najwyższego Ducha. Chciał natychmiast udać się do jego namiotu, ale uwolniona siła unosiła go coraz dalej – do świata, o którym wiedział, że istnieje, ale do którego nigdy nie przeniknął, będąc przekonanym, że nikt nie może tego dokonać. Pot lał się z niego strumieniami. Nadchodzi jego śmierć. Piękna, szamańska śmierć – od wieków nie słyszano, aby ktoś umarł w ten sposób. Szamani umierają normalnie, w łóżku, a nie podczas transu. Był ogłuszony – pewnie krwią, która uderzyła mu do głowy. Oprócz strachu i niejasnych przeczuc co do powodów swojej obecności tutaj, jego świadomość wypełniała pustka. Wnet pokonał granicę ostatniego świata, w którym można jeszcze było żyć, gdzie wciąż jeszcze pojawiały się konkretne istoty i konkretne rzeczy. Przez ułamek sekundy zobaczył siostrzyczkę, Kocha i świętą Mirkę¹, jak siedzą na piaszczystej plaży nad ciemnobłękitnym morzem, unosząc kielichy i uśmiechając się w jego stronę, jakby patrzyli na coś pięknego. Nigdy ich nie widział, nawet teraz nie wiedział, kim są, ale natychmiast ich rozpoznał. Chwilę później oblała go trzaskająca łuna białego światła. Szaman wpadł w ekstazę.

Oślepiiony światłem nic nie widział. Nic też nie słyszał. Doznał pełni rzeczywistości, której wzrok, słuch i dotyk nie są w stanie uchwycić i poznać. Czas zupełnie zaniknął. Nie było nic po, nie było przed. Tylko trwanie.

¹ Aluzja do tragicznie zmarłego Milana Kochy (1948-1974) – poety, tłumacza, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli czeskiego pokolenia beatników i edytorce jego pism, ukochanej żony Mirki, która dwa lata po śmierci męża popełniła samobójstwo (przyp. tłum.).

Poczuł gorącą słodycz ofiarnej miłości do wszystkiego wokół. Do ludzkości, duchów, bogów. Do zwierząt, wszystkich światów, kamieni i wód. Wewnętrzny ruch jednak nie ustawał. Ta wszechobjmująca, ofiarna miłość stawała się coraz gorętsza, coraz bardziej natarczywa, jakby rozkosz stworzona z miliona kłujących igieł wbijała się w niego coraz głębiej. Aż nagle z wszechogarniającej empatii wytrysnął nieprzerwany strumień miłości do każdego pojedynczego bytu: od Muszki, Kukułki, agentki i Kulawego, aż po kępkę trawy, wiewiórkę i pstrąga w potoku. Była to miłość nieskończona i absolutna. Szaman zapłakał. Wewnętrzny ruch ustał. Ukłucia milionów igieł zaczęły się unosić jak poranna mgła. Miał wrażenie, jakby wzbił się jeszcze wyżej, do sfery łagodnego wiatru, który schładzał jego rozpalone ciało. Miłość została przy nim, aby się przemienić. Współodczuwał z każdym stworzeniem i każdą jednostką, a z uczuć tych rodziła się powoli przestrzeń jeszcze subtelniejszej miłości, która nie tylko płonie i oddaje się innym, ale także oświetla i przebacza – oświetla blaskiem łagodniejszym i jaśniejszym niż słońce i pozwala roztopić się wszystkiemu w Wielkim Odróżnicowaniu. Zrozumiał, że bez tego łagodnego blasku wszystkie światy już dawno by zniknęły. Wielkie Odróżnicowanie napełnia miłością każdy czyn, przenika wszelkie procesy – dlatego nie ma nic piękniejszego, jaśniejszego i lepszego niż to, co inne. Przymioty i ich przeciwieństwa, tak i nie, zgoda i odmowa dzieją się w miłości i trwają zanurzone w jej bezpiecznym schronieniu. Władzę sprawuje tu pokój, pogoda ducha, radość i zapał; pewność i konkret przewyciężają błahe rozpoznania, przemyślenia, starania i próby. Dusza, która dojrzała do tego momentu, otwiera się na ciągle jaśniejsze, wyraźniejsze, głębsze poznanie przyczyn i ich miejsca w Wielkim Czymś. Rwące tętno Wielkiego Czegoś napędza ową miłość, nie pozwala jej zgasnąć i skonać, napędza ją wiecznym ruchem do przodu, rozlewa coraz szerzej i szerzej, a tam, dokąd dociera, tworzą się światy. Szamanowi już dawno wyschły łzy. Poczuł, jak nigdy przedtem,

wyjatkową wiarę, pokorę, wdzięczność, którym towarzyszyło poczucie nieskończonej wielkości i bogactwa własnej duszy, własnego bycia.

Wewnętrzny ruch wzmógł się ponownie.

Blask i pokój już go nie opuszczały, lecz gdy stopniowo go przenikały – lub on przenikał przez nie, bo nie sposób było tego rozróżnić, jakby rozróżnianie stało się niemożliwe – powracały kształty tego świata. Muszka, znikająca pod skałą, na której siedział w lesie, machała do niego, Kukułka uśmiechnął się w jego stronę, Wielka Agentka, co było raczej niespotykane, płakała, leżąc w jego łóżku, ostatni raz dopadło go spojrzenie Kulawego, którego zarżnięto żywcem, jakiś pies zbekał się tuż przed nim, kwiat wystrzelił przepięknie na szerokiej równinie – szaman widział ich wszystkich, płakał i cieszył się wraz z nimi, a blask i pokój, które go wypełniały, wytrysnęły z jego rąk jak promienie otulające tych, którzy czuli ból i głaszczące tych, którzy przez chwilę się radowali. Szaman poczuł, jak całe jego życie – nieprzemijające i nieskończone – wlewa się w każdego z nich; wciąż jednak przybliżali się ku niemu ci, których znał, wśród których żył na świecie, jakby spadał z wysokich obłoków; horyzont zawężył się wokół niego, rzeczy nabierały konkretnych kształtów i było ich coraz mniej, niezmiernie mało, ale były mu najbliższe, najbardziej wyjątkowe, jego własne, a gdy spadł w sam środek widnokągu, zobaczył siebie w swoim własnym obozie, w namiocie Muszki, która była chora, otoczony przez ludzi, którzy gapili się na niego z wywalonymi oczami i jęzorami, pocąc się i pierdząc obrzydliwie, gotowi utopić go w łyżce wody, wypełnieni myślami najbardziej prymitywnych zwierząt, szaman poczuł, że musi objąć ich wszystkich bogactwem łagodnej, słodkiej miłości, którą poznaje się we wspólnym cierpieniu i towarzyszącą mu czułą, cichą i wytrwałą pracą – każdy dzień, każdą godzinę, każdą chwilę.

Szaman przebudził się i zauważył, że stoi obok łóżka dziewczyny. Podszedł do niej, położył rękę na jej czole i powiedział:

– Jesteś już zdrowa, Muszko.

Zebrani w namiocie nawet nie pisnęli.

Szaman znajdował się w transie od ponad dwunastu godzin. Gdy kołysał się, padał i powstawał, bębenek, który wypuścił z rąk, co chwilę sam wybijał rytm w ciemności. Namiot drżał tak bardzo, że trzeba było przytrzymywać słupy. Ogień zgasł zupełnie i nikt nie odważył się przynieść żarzącego węgla. Świtało. Przed namiotem pojawił się Kukułka; z początku nieśmiało wołał do szamana, potem wdarł się do środka i odprowadził go ostrożnie do domu jak pijanego.

XI. Lodowiec

1

Szaman spał bez przerwy niemal trzy dni; w tym czasie nadeszła zima.

Przyszedł tęgi mróz i rzeki pokryły się lodem. Błoto w obozie stwardniało na kość. Gwałtowny wiatr hulał po równinach, świstał w lesie i powalał namioty w obozie. Czarne niebo wisiało nisko nad ziemią, ale śniegu nie było. Pojawiły się renifery, ciągnące bez przystanku na południe. Zima tym razem je zaskoczyła.

Myśliwi ruszyli na polowanie, narzekając, że szaman nadal chrapie. Ale nic nie dało się zrobić. Nawet kopniaki naczelnika nie były go w stanie obudzić. Gdy wreszcie wstał, obóz był niemal opustoszały.

Zerknął na zewnątrz: na placu i między namiotami nikogo nie było. Kobiety, dzieci, a nawet psy pochowały się w domach.

Kukułka sumiennie podtrzymywał ogień, choć opróżnił połowę zapasów, co nie uszło uwadze szamana podczas wizyty w toalecie.

Muszka czuła się coraz lepiej. Szaman wiedział o tym, nawet nie musiał pytać, mimo to opatulił się futrem i poszedł do niej zajrzeć. Surowo rozkazał, żeby leżała w łóżku jeszcze przez dziesięć dni. Nie wolno jej było wypuszczać na taki mróz.

Potem wrócił do domu i grzebał długim rogiem w ognisku. Przypominał sobie swoje niewiarygodne przeżycia i rozmyślał nad nimi. Niewiele jednak można było pomyśleć, bo nawet jemu brakowało na to słów. Trochę go to wkurwiało. Ale rozumiał, że nie może być inaczej. Póki co musiał się obejść bez słów.

Czuł, że powinien coś zrobić, ale nie wiedział co. Każdy konkretny pomysł wydawał mu się idiotyczny. Przecież nie pójdzie całować nóg naczelnika lub psich tyłków. Nie poprosi też agentki, aby wypuściła wszystkich więźniów na jego piękne oczy, tak jak nie mógł rozkazać złym, lodowatym wichrom, aby zmieniły się w wiosenny powiew. A może na odwrót: powinien pokochać agentkę? Same bzdury.

Kilka dni później myśliwi wrócili do obozu z mizernym dorobkiem. Piękna zima nas czeka! Wszyscy zgodnie uznali, że winę ponosi szaman, który chrapał. Naczelnik przyszedł mu to oficjalnie oświadczyć. Szaman tylko coś odburknał. „Nie ma co żartować z jego zaklęciami” – pomyślał naczelnik i ustąpił.

Jednak myśliwi trwali przy swoim. Szaman cieszył się, że agentka wzięła go latem w obronę. Dzięki temu nie tylko się go bali, ale nawet darzyli szacunkiem. Nic jednak nie usprawiedliwi nieudanych łowów.

Jakby jeszcze mało było tych wszystkich nieprzyjemności i wpadek, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa znowu złożyli wizytę w obozie.

Do osady zawitała znana szamanowi dziwka i dwóch tęgich dryblasów.

Po przyjsciu zakwaterowali się u naczelnika, gdzie pod wieczór rozpoczęła się uczta.

Szamana nikt nie zaprosił, nawet nic mu nie przyniesiono. Przydałby się mu jeżyniak.

Razem z Kukułką położył się zatem spać.

Na drugi dzień po południu bezpieczniacy wylegli z namiotu. Ruszyli do szamana.

– Słyszeliśmy, że ponoć kiepsko szamanisz, właściwie w ogóle nie szamanisz – zaczęła agentka.

– Sam ocenię swoją pracę – odparł szaman.

– Błąd. To my od tego jesteśmy.

Szaman spoglądał na nich z pogardą.

– Nie jesteś jedynym fajnym facetem, towarzyszu – zaśmiała mu się w oczy i wskazała głową tych dwóch dryblasów.

Szaman przytaknął.

– Co było, to się skończyło – ciągnęła towarzyszka. – Niechętnie z nami współpracujesz, a jeśli sądzisz, że ten Kulawy nam wystarczy, to się grubo mylisz.

Szaman podparł dłonią głowę i gapił się na nią.

– Oczekujemy, towarzyszu, większego zaangażowania. Z taką opinią personalną powinieneś się nieco bardziej postarać. Żaden szaman nie jest niezastąpiony.

– Czego chcesz? – spytał.

– Musisz się wykazać jakąś inicjatywą. Inaczej nie gwarantujemy ci przyszłości w tym obozie. Pamiętaj, że miałam dobre zdanie na twój temat. Obecna sytuacja wymaga od nas jednak zorganizowania jakiegoś publicznego procesu w celu ugruntowania ideologicznej świadomości. Ponosisz winę za nieudane polowania – ty lub Brodacz, który źle zaczarował te swoje ofiarne tabliczki. Wszystko jedno, który z was naprawdę jest winny. Chcemy tylko, żebyś jutro przed całą osadą zdemaskował i oskarżył Brodacza. Nie pobrudzisz sobie rąk. My zadbamy o resztę. Możesz sobie potem znowu chrapać, nawet do wiosny. Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek się na ciebie targnął. Jesteś przecież wielkim szamanem – prawda?

Dryblasy, rozciągnięci na skórach rozłożonych na ziemi, zaśmiali się arogancko.

Szaman podskoczył, jakby ukłuty przez nosorożca, i z podniesioną prawicą wrzasnął na nich groźnym głosem:

– Entliczek-pentliczek, czerwony guziczek....

Wypadli z namiotu jak dzicy.

Towarzyszka zbladła, najwyraźniej przestraszona, ale wytrzymała. Była po studiach.

Szaman raz jeszcze podniósł rękę i oklapł jak chory człowiek.

– Ejże, nie czaruj, gdy tutaj jestem – powiedziała niepewnie.

– Dobrze... – przytaknął szaman. – Ale darujcie mi tego Brodacza. I będziemy kwita.

– Spójrz na siebie...

– Powiedziałem! Niech naczelnik to zrobi.

– Naczelnika nie potrzebujemy, to twoje zadanie.

– Wystarczy!

Siedział zgarbiony, z pochyloną głową. Dziewczyna patrzyła na niego przez chwilę i zrozumiała, że siedzi przed nią stary, wyczerpany mężczyzna.

– Dobrze, nie warto o tym mówić. Jutro w południe zwołamy cały obóz – agentka podniosła się powoli – i przyprowadzimy cię tam, żebyś zdemaskował Brodacza. Możesz to zrobić w formie jakiegoś uroczystego obrzędu, może łowieckiego, który przespałeś. Nie będę cię do niczego zmuszać. Ale w południe przyjdę po ciebie, towarzyszu.

Wstała, poprawiła futro pod swoim czarnym mundurem, dokończyła i wyszła. Nawet podwójny entliczek-pentliczek nie zrobiłby na niej wrażenia.

Szaman siedział dalej. Wiedział, że przegrał, bo jest stary.

Była to ostatnia rzecz, która jeszcze pociągała szamana. W minionych dniach miał mgliste przecucie, że powinien uciec na lodowiec. Z wiedzą i doświadczeniem, których nabył przy łożku Muszki w Wielkim Transie, nie mógł już dalej żyć wśród ludzi. Lepiej i łatwiej będzie mu w naturze, pośród zwierząt, gdzie będzie mógł żyć zgodnie z tym, co poznał, pogłębiając jeszcze swoją wiedzę.

Ludzie pewnie by go zjedli lub nie pozwolili ani przez moment żyć tak, jak dane mu było w transie. Między śmiercią a prawdą nie było trzeciej drogi. I jeszcze do tego ta „współpraca”!

Ona wskazała mu trzecią drogę. Lodowiec.

Zaczął nerwowo krążyć po namiocie, chwytając się różnych rzeczy.

Kukułka, wychyliwszy się spod skór, gdzie błyskawicznie się ukrył, jak tylko goście zawitali do namiotu, patrzył na niego z przerażeniem.

Szaman wyrzucił stos swoich kostiumów i skór. Zrzucił magiczne szaty na jedną kupę i zaczął przeglądać filtra. Wszystkie były do niczego. Kukułka nie zacerował dziur, tylko je wytrzepał.

Wybrał najsolidniejszą, choć nie najcieplejszą z mamucich skór. Była ciężka, ale powinna być dość szczelna, jeśli ją zaszyje.

Szybko, a zarazem systematycznie i z rozwagą szykował wszystko, co będzie mu potrzebne i co musi mu wystarczyć aż do śmierci.

Wyszedł z namiotu, żeby ściągnąć słoninę wiszącą na tyczkach za namiotem, ale szybko wrócił, obawiając się, że zwróci na siebie uwagę.

Przejrzał całe swoje uzbrojenie. Tu miał największy bałagan. Od lat już go nie używał.

Ściemniało się. Szaman dołożył do ognia, żeby coś widzieć.

Zaraz jednak przypomniał sobie o Kukułce, który będzie potrzebował opału na zimę. Wyciągnął z ogniska kości, które jeszcze się nie zapaliły.

Oboje milczeli przez cały ten czas.

– Odchodzisz? – spytał wieczorem Kukułka.

– Tak. Słyszałeś przecież, co powiedziała.

Kukułka milczał.

– Boję się... – wyszeptał po chwili.

Szaman przerwał pracę i spoglądał na niego w milczeniu.

– Nic ci nie zrobią w namiocie szamana, będą się bać – dodał.

„Gdybyś się tylko więcej nauczył!” – powiedział do siebie.

– Ich się nie boję. Boję się śmierci.

– Głuptasie, ulżyłbym ci, gdybym tu został – ale i tak się nie bój.

Wkrótce się spotkamy.

Kukułka zamilkł. Szaman wrócił do swojej roboty.

Później, w nocy, gdy szaman ledwie ugasił ogień, czekając, aż psy w obozie pójną spać, Kukułka powiedział jeszcze:

– Czy z lodowca jest daleko do nieba?

– Nie.

– Więc już wkrótce tam będziesz?

– Nie wybieram się. Zostaję tu, na świecie.

– A jak się spotkamy?

– Łatwo, Kukułko, gdy tylko będziesz chciał.

– Czy po śmierci też będę bity?

– Nie, Kukułko, nie będziesz, nie zasłużyłeś na to.

– Ale przecież tak się kara...

– Będzie tak jak ze mną. Ale nie bój się bezpieczniaków. Robią tylko dużo szumu.

– A ciebie jaka czeka kara?

– Dali mi zbyt wielką wiedzę, Kukułko. To moja kara.

– Po śmierci?

– I po śmierci, i tutaj, Kukułko. Potem nie możesz już żyć wśród ludzi.

W osadzie robiło się coraz ciszej. Mieszkańcy schowali psy w namiotach, ogrzewając sobie nimi nogi w łóżku. Nie było gwiazd. Wiatr nadymał ściany namiotów.

Szaman podniósł swój tobołek i odczepiwszy połę namiotu, wyszedł tyłem na zewnątrz. Czmychnął na lodowiec, przechodząc obok swojej toalety.

Pierwszego dnia gnał, jak najszybciej się dało. Przez całą noc mknął po zamrożonej rzece, a o świcie skręcił do lasu i migiem ruszył dalej.

Psy nie znały się na tropieniu, tylko młodzi myśliwi mogli go dogonić. Jeżeli dotrze na czas do pustej równiny pod lodowcem, będzie już niemal bezpieczny. O tej porze roku niewielu odważy się tu przyjść.

Wędrówka była uciążliwa. W tym miejscu las był jeszcze gęsty, nikt nigdy tędy nie przechodził. Musiał przedzierać się przez nisko wiszące, obumarłe gałęzie, przeskakując przez głazy i sterty kamieni, ale zbliżał się do celu. Dopiero w drugą noc zatrzymał się na krótką drzemkę.

Tylko agentka mogła się domyślać, że idzie na lodowiec. Wszyscy inni założyli, że uciekł na południe za łatwiejszym życiem.

Na drugi dzień las zaczął się przerzedzać. Drzewa były coraz niższe, ale gęste porosty czyniły podróż jeszcze trudniejszą. Do wieczora nie udało mu się zejść zbyt daleko.

Gdy zapadła noc, droga stała się łatwiejsza. Drzewa rosły tu bardzo rzadko, niewiele też było krzaków. Wędrował jeszcze niemal przez całą noc i padł dopiero nad ranem – wreszcie z jako takim poczuciem bezpieczeństwa.

Trzeciego dnia dotarł na równinę.

Dzień drogi dzielił go od lodowca wyrastającego ponad horyzont. Był wierzchołkiem świata.

Pod popielatym niebem wydawał się żółto-szary; od zimy nie było na nim świeżego śniegu. Rozciągał się od prawa do lewa, jak wzrokiem sięgnąć. Jego krawędzie były czarne jak węgiel. Były to głazy, które wydawał na świat.

Na równinie wszystko zamarzło na kość. Ogromne pole, pełne kamieni i głazów, tylko miejscami porastał szary liszajec.

Wiał lodowaty, ostry wiatr.

Szaman był jedynym poruszającym się punktem na całej równinie.

W prawej ręce trzymał długi oszczep, w lewej kamienną siekierę, przez włochaty kozuch przewiesił łuk, na plecach niósł kołczan ze strzałami i tobołek z rzeczami do spania i jedzenia, za pas wetknął mieszek wypełniony grotami strzał, bryłami śniegu, krzesiwem i suchą hubką, z boku przywiązał kościany sztylet i szamański bębenek zabezpieczony w bukłaku.

Szedł, nie oglądając się, przez cały ranek. Co chwilę potykał się ze zmęczenia i wypatrywał lodowca.

Przed południem na skraju widnokregu, po jego lewej stronie, pojawił się słup cienia. Szaman natychmiast go zauważył. Wyglądał jak dym z ogniska, choć wiatr go nie rozpraszał. Był to Cień.

Szaman kroczył naprzód.

Cień powoli zbliżał się do niego. Czasem zasłaniał go duży głaz, innym razem chował się w jakiejś dziurze, ale stale się do niego zbliżał.

Równina była tak samo bezbarwna jak niebo. Zamarznięta gleba zlewała się w oczach z głazami. Ziemia znikła zupełnie pod morzem kamieni.

Cień niezauważenie przebiegł na drugą stronę.

Widział, jak drży. Kluczył przed nim; martwa równina wypaczała odległości, ale szaman przypuszczał, że dzieli go jeszcze od niego pół dnia drogi. Dalej kroczył naprzód.

Gdy Cień się zbliżał, można było zobaczyć, jak czasem zmienia kolor. Z szarego stawał się czarny, potem fioletowy i brudnopomarańczowy.

Gdy szaman przestał go na moment obserwować, zjawił się znacznie bliżej niego. Skakał z jednego końca pustkowia na drugi, a wiatr zawracał pod jego wpływem i zawsze wiał z jego strony.

Przynosił ze sobą lodowaty mróz, który sprawiał, że szamanowi drętwiały wszystkie kości i dzwoniły zęby. Jego powiew śmierzdział gnijącą padliną.

Rano był jeszcze wysoko na niebie. Teraz zmniejszył się do wielkości gigantycznego mamuta. Zmienił się jego kształt i rozmazały kontury. Czasem jakby zwracał się twarzą do szamana, innym razem przechodził bokiem.

Szaman zważył oszczep w rękę i przyciągnął bębenek.

Nagle Cień zniknął.

Wiatr świstał wszędzie wokół, ale ciężko było określić jego prędkość – nie było tu niczego, co mógłby owiewać, oprócz szamana.

Chłód lodowca objął szamana ze wszystkich stron i ścisnął.

Było południe. Kamienie i niebo jeszcze bardziej pociemniały.

Lodowiec jakby wyciągał ręce, okrążając szamana z lewej i prawej strony.

Krąg się zamykał.

W odległości tuzina strzałów z łuku znów pojawił się Cień. Stanął za czarnym głazem na wprost szamana.

Przestał przechodzić z jednej strony na drugą. Stale, choć niezbyt szybko podążał ku szamanowi.

Gdy szaman wstrzymywał krok, Cień też się zatrzymywał. Jeśli szaman kroczył naprzód, Cień również ruszał do przodu.

Znowu zrobił się szary lub czarno-szary jak popiół dawno zgasłego ogniska.

Szamanowi wydawało się, że idzie ze zwieszoną głową. Wytężał wzrok, żeby lepiej się przyjrzeć, ale nie był w stanie. Smród, który ciągnął się od niego, zmienił się teraz w obrzydliwą słodycz.

Nie mógł już tego nazwać smrodem; był to jakiś szczególny rodzaj zapachu – obrzydliwy i nieznośny.

Ani na moment nie spuszczał Cienia z oka, dlatego często się potykał i wywracał. Obliczył, że dzieli ich już nie więcej niż godzina drogi.

Szedł powoli i ostrożnie. Nie chciał ułatwiać zadania nieznanemu. Nagle odniósł wrażenie, że Cień się wycofał lub przynajmniej zatrzymał. Nabiegłe krwią oczy szamana łzawiły od wytężonego patrzenia. Zamknął je na chwilę.

Szybko otworzył – na odległość rzutu oszczepem stał przed nim teraz diabeł.

Ten sam, którego dostrzegł w namiocie w czasie swojej szamańskiej inicjacji i którego od tamtej pory nie widział.

Miał dwukrotnie powiększoną głowę renifera z ogromnym porożem; ubrany był jak najwyższy szaman, a zamiast rąk miał ogromne orle szpony.

Szaman w mgnieniu oka podniósł oszczep, ale w tym samym momencie spadło z niego całe uzbrojenie i rozsypało się w popiół. Został mu tylko bębenek.

Wicher wiał z taką prędkością, że przez jego świst wyrrywający z ust słowa, szaman nie słyszał własnego głosu. Zaczął Wielkie Zakłęcie, ale nie słyszał go. Uderzył w bębenek – też odpowiedział ciszą.

Diabeł wolno podniósł głowę, spojrzał uważnie w oczy szamana i głośno się zaśmiał.

O dziwo można go było usłyszeć.

Wobec nadciągającego huraganu futro szamana było warte nie więcej niż liść łopianu. Czuł, jak kamienieją mu wszystkie części ciała, bo wraz z wichrem nadciągała śmierć.

W oczach diabła nie było śladu życia.

Wyglądały jak oczy padłego zwierzęcia – nieruchome powieki, wygasły wzrok, gałki pokryte brudnym bielmem.

Jego morda wionęła tak okropnym smrodem, że szamanowi zjeżyły się wszystkie włosy. Pot lał się z niego strumieniami mimo trzaskającego mrozu. Spływające krople rozcinały jego ciało niczym nóż i twardniały, zamieniając się w sople zwisające pod kozuchem.

– Przyszedłeś do mnie, szamanie...

Jego głos był chropowaty.

– Nie, idę na lodowiec...

– Czekałem na ciebie, szamanie...

– Niepotrzebnie, nie wybieram się do ciebie.

– To ja jestem lodowcem.

Szaman milczał.

– Nie boisz się, szamanie?

– Nie boję się.

– ...żyć ze mną?

– Nie będę z tobą żył, zamierzam żyć sam.

– I umrzesz sam.

Szaman milczał.

– Widocznie masz na to ochotę.

Szaman nie odpowiadał.

– Bo przecież za poznanie jesteś gotów oddać wszystko, szamanie.

– Tak, wszystko.

– Bardzo dobrze... przegrałeś, szamanie.

Szaman chciał coś odpowiedzieć, ale zamilkł.

– Dobrze, że zrzekłeś się odpowiedzialności za swoje dzieło i swoje poznanie... Nie byłeś tego godzien.

Szaman znów chciał coś odpowiedzieć, ale język nie był mu posłuszny.

– Cieszę się, szamanie, przecież u mnie będzie ci dobrze. Gdy tacy jak ty uciekają od ludzi, przynajmniej nie sprawiają im problemów. Mogą oni nadal żyć tak wygodnie, jak żyli, i wierzyć w społeczeństwo wolności, o którym tylko marzyłeś.

Ostry wiatr przeszył szamana do szpiku kości.

– Nie boisz się, szamanie?

– Nie.

– No pewnie – ty i konsekwencje. Cóż to dla ciebie znaczy! Jesteś tak silny, że możesz przyjąć na swój grzbiet, ile tylko zechcesz.

– Wystarczy mi sił.

– No widzisz, nawet ja to wiem. Jesteś wielki, szamanie!

Szaman znów poczuł się tak zmęczony, że niemal upadł.

– Zimno ci, szamanie?

– Tak.

– Już wkrótce przestanie.

Diabeł otworzył szeroko pysk i chuchnął na szamana, któremu nagle przestało być zimno, choć nie odczuwał ciepła. Przeciwnie: przemarzył do szpiku kości i nie czuł mrozu tylko dlatego, że sam stał się mrozem.

Diabeł zaśmiał się, a jego rechot odbił się echem ze wszystkich stron świata.

– Baw się tu dobrze, szamanie, wkrótce do ciebie wrócę!

– Dokąd idziesz?

– Idę zająć twoje miejsce.

Szaman szczerze się zaśmiał.

– Chcesz z takim wyglądem straszyc stare baby?

– Bynajmniej, szamanie. Spójrz!

Szaman stał przed własnym obrazem. Powoli spojrzał na swoje ręce – zamiast nich miał orle szpony. Dotknął nimi swojej twarzy, w miejscu której poczuł pysk tysiącletniego renifera. Głowa ugięła się pod ciężarem ogromnych rogów.

Po raz pierwszy szaman poczuł grozę.

– Przecież dobrze mnie znają. Ucieszą się, że wróciłem z trzydniowej medytacji, i to jak! We wszystkim będą mi posłuszni tak jak tobie, szamanie. Przemówię do ich dusz.

– Co chcesz zrobić, diable? – krzyknął szaman.

– Wszystko, co potrzeba, żeby im było dobrze. Mówiłeś, że nie wiedzą, jak dziś walczyć. Powiem im, że nie trzeba walczyć. Myślisz, że to kłamstwo? Ale o wiele, wiele mniejsze niż ucieczka na lodowiec bez podjęcia starań o cokolwiek...

– To nieprawda...

– Ależ oczywiście, że prawda. Przecież jesteś tutaj.

Szaman starał się usilnie przynajmniej poruszyć głowę.

Ciężar, ogromny ciężar przygwoździł ją z powrotem do jego piersi. Z pyska, z którego zwisał gigantyczny język, ciekła mu ślina.

– Przecież miałeś rację, mówiąc, że dopóki społeczeństwem będzie rządzić zgraja łotrów i morderców, nie da się żyć zgodnie z prawdą. Trzeba to tylko wszystkim powiedzieć, żeby odetchnęli z ulgą. Zapomniałeś o tym, ale ja to naprawię.

Szaman starał się zaprzeczyć ruchem głowy, stanowczo zaprotestować, sprzeciwić się, bronić, ale nie był do niczego zdolny.

– Miałeś rację – powiedział diabeł, patrząc się na niego, a szaman dostrzegł na jego twarzy – czyli na swojej – obrzydliwe oślizgły uśmiech. – Nie da się żyć zgodnie z prawdą. Może nawet nie da się żyć jak człowiek. Można tylko umrzeć jak człowiek. Ale mi się nie spieszy do umierania, nie pozwolę się zarznąć i zjeść, dopóki nie zajmę twojego miejsca.

– Bo będziesz trupem... bez życia – szaman wykrztusił to z siebie ochryłym głosem renifera.

– Już jestem trupem, więc dla mnie to żadna różnica!

– Tak, jesteś martwy, ale ja – ja ciągle żyję – zacharował szaman i resztą swych sił podźwignął głowę. Diabeł znów się zaśmiał.

– Spójrz na siebie i zgadnij, jak długo pożyjesz w tym stanie!

Szaman nie poradził sobie z ciężarem i padł na kolana. Zrozumiał, że jest tak samo przemarznięty, twardy i martwy jak kamień, na który upadł.

– Poza tym – pytanie brzmi, czym jest to twoje życie, skoro, tak samo jak ja, nie zamierzałeś umierać jak człowiek, nie chciałeś, żeby cię zabili i zjedli, zamiast tego uciekłeś do mnie... Tak jak wtedy, gdy myślałeś, że masz raka, nawet ci się to podobało. A ja dopiero cię przygotowywałem!

Szaman jęknął tak głośno, że nawet diabeł się zdziwił.

– Przecież nie żałujesz, że cię nie zjedli, mój mały szamanie? Przecież nie żałujesz, że wreszcie jesteś od wszystkiego wolny, że się wyrwałeś, przekroczyłeś granicę... Tę Wielką Granicę, która dzieli człowieka od boskości, której nikt nie odważy się świadomie przekroczyć.

– Jaką granicę...? – z trudem wydusił z siebie szaman.

– Ależ jesteś zmęczony! Bo inaczej wyraziłbyś to lepiej niż ja. Granicę odpowiedzialności, oczywiście.

Szaman padł na wznak, a szpony zazgrzytały jak tłuczone kamienie.

– Jesteś wielki, szamanie, więc pewnie bierzesz to na siebie!

– Biorę... – wycedził przez zęby.

– Co za doskonałe porozumienie! – odparł diabeł z dobrze znanym szamanowi, przyjaznym uśmiechem. Uśmiechał się całkiem szczerze.

My, zmarli, też się cieszymy, będąc razem, całkiem nieźle dajemy sobie radę i w ogóle całkiem dobrze nam ze sobą. Też możemy zdobywać wiedzę. Nasi szamani – a ty przecież będziesz wśród nich przodował – mogą zajrzeć każdemu do żołądka. Tak jak tobie, o czym sam się przekonałeś. To nieskończone źródło poznania, jeśli tylko kogoś to interesuje.

Głowa szamana zwisała tak nisko, że rył porożem o zamarzniętą ziemię.

– Tylko czy będziesz w stanie unieść ten ciężar – zatroskał się diabeł. – Przecież wśród żywych też wzięłeś na siebie więcej, niż na koniec mogłeś unieść. Nie można na tobie za bardzo polegać, szamanie... Obyś, zamiast do szamanów, nie trafił do „zabłąkanych duchów”, które żywią się już tylko naszymi odchodami...

Szaman kaszlał krwią, próbując się podnieść i wstać na nogi. Napinał mięśnie do granic możliwości.

– Nie masz prostego kręgosłupa, nie szkodzi – sam o tym mówiłeś. Ale nie jest on też zbyt silny...

– Bądź przeklęty! – szaman zarył pyskiem o ziemię.

– Jak ci się to podoba? – spytał diabeł.

– Ty... ty... – szaman próbował coś odpowiedzieć.

Jego wizerunek skrzywił się przed nim z litości.

– Pójdę już, szamanie, wszystkiego dobrego, do zobaczenia. Pewnie się nie boisz, przecież wiesz, że nikogo nie karzemy. A ciebie tym bardziej! Dostaniesz jeżyniak.

– Ty...

– Chcesz coś powiedzieć? Pośpiesz się: muszę szybko zająć twoje miejsce, ludzie łakną opowieści o Bogu jak soli. Niewiele zrobiłeś w tej sprawie.

– Nie waż się! – warknął szaman.

– Pouczę ich – ciągnął ze spokojem diabeł – o wiele lepiej i solidniej niż „Wielki Szaman, który rzeczywiście jest tylko krwiożerczym idiotą. Będzie tutaj żarł gówna po tobie – z pewnością to docenisz. Pouczę ich, że Bóg jest surowym strażnikiem moralności. Kto nie pracuje, niech też nie je – to z pewnością piękne przysłowie, ale usłyszą ważniejsze: kto się kurwi, niszcząc społeczeństwo, kto mało pracuje, szkodząc społeczeństwu, kto nie przestrzega prawa, zagrażając społeczeństwu, kto nie współpracuje z Urzędem Bezpieczeństwa, podburzając społeczeństwo – i tak dalej, i tak dalej – tego Bóg surowo ukarze po śmierci, bo nie ma nic ważniejszego niż ludzie i ich interesy. Bóg jest niezłym żandarmem w tych kwestiach. I przeciwnie: kto nie cudzołoży, przekracza robocze normy, przestrzega wszystkich przepisów i współpracuje – ten otrzyma od Boga sowitą zapłatę. O ile oczywiście ma na tyłku właściwy tatuaż. Bez tego się na razie nie obejdziemy, dopóki rewolucja naukowo-techniczna nie stworzy nowego społeczeństwa.

– Nie masz prawa!!! – szaman wrzasnął ostatkiem sił z głową niemal przy ziemi.

– Nie powiedziałeś nic ludziom na ten temat, zostawiłeś po sobie luki – diabeł chichotał obrzydliwie – więc ktoś musi je wypełnić. Dlatego tam idę. Nie możesz się temu dziwić. Przegrałeś, szamanie!

Szaman jednym okiem spoglądał na swoją głowę renifera leżącą na kamieniach – między nim a nimi nie było żadnej różnicy, w ogóle nie były zimne – drugim okiem starał się dojrzeć diabła, jakby wciąż wierzył, że może go zakląć swoim spojrzaniem.

Diabeł rozkraczył się nad nim i schyliwszy się, pierdnął mu w gębę.

Szaman dostrzegł, że diabeł miał na sobie wszystkie jego rzeczy, oprócz bębena.

Z rozpaczliwym wysiłkiem podniósł jeden ze swoich szponów, wymacał bębenek przy boku i szybko zabębnił rytm Wielkiego Transu.

Zakręciło mu się w głowie, nieskończony lodowiec leciał na niego z góry, kontury diabła się rozmyły, zagrzmiął tylko huk jego pierdów. Szaman poczuł nieznośny ból – nie wierzył, że taki może w ogóle istnieć. Nadszedł koniec. Szaman padł ostatecznie.

XII. Powrót szamana

1

Kilkudniowa wichura przeszła ostatecznie w burzę śnieżną. Ogromne masy śniegu wirowały w powietrzu i szybko układały się w coraz wyższe warstwy na ziemi. Dalej niż na dwa kroki nic nie było widać. Szaman włókł się kolejny dzień na granicy kamiennego pustkowsia i pierwszych krzewów. Zgubił swój tobołek, siekierę i oszczep – nawet nie wiedział, gdzie je podział. Kamienie, o które wciąż się potykał, potargały jego mamucie futro; wicher wdzierał się przez dziurawe płótno i bezlitośnie go smagał. Nie miał pojęcia, co i kiedy jadł po raz ostatni. Raz udało mu się upolować sowę śnieżną. Jadł ją na surowo, jak drapieżnik, obskubując ją żarłocznie zębami z piór. Innym razem zaskoczył królika przed jego norą; resztki mięsa włókł ze sobą jeszcze przez kilka dni przypięte do pasa. Sypiał zagrzebany w śniegu. Spał długo i często. Chwilami pytał sam siebie, czy już zupełnie oszalał. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy diabeł naprawdę zajął jego miejsce w obozie. Nie był w stanie niczego ocenić. Wiedział tylko, że przegrał. Nawet nie potrafił stwierdzić, co przegrał. Nie był zdolny ustalić, czy coś mu jeszcze zostało. Był zupełnie załamany. Nadszedł jego koniec.

Nie miał odwagi myśleć o czymkolwiek. Przerażała go myśl o tym, że mógłby medytować. Bał się tego, co mógłby zobaczyć. Czuł, że wejście w Wielki Trans odnawiający życie było po prostu niemożliwe. Nawet tysiące rytów i kąpeli oczyszczających nie mogło go odmienić. Był przecież diabłem.

Nie liczył dni, aż w końcu, nie wiedząc dlaczego, pełen najstraszniejszych obaw, skierował się do obozu. Jego klęska miała osiągnąć swe apogeum.

Pewnego dnia nad ranem wkroczył do obozu od strony zamrożonej rzeki. Osada właśnie budziła się do życia. Kilka psów szarpało się między sobą, z kilku namiotów ulatywał dym porannego, świeżo rozdzielonego ognia.

Zauważyli go, gdy wkroczył na środek obozowiska. Po chwili ze wszystkich namiotów wychyliły się głowy.

Zmierzał w stronę przybytku zniszczonego przez burzę śnieżną.

Z trudem, jak starzec, zaczął dźwigać swój namiot.

Nikt nie przyszedł mu z pomocą.

2

Szaman siedział po turecku w zlodowaciałym namiocie i patrzył przez otwór na zewnątrz. Na podstawie fazy księżyca i układu gwiazd obliczył, że minął już prawie miesiąc.

Siedział sam.

Zapasy opału zostały rozkradzione.

Kukułka umarł.

Pewnie zaciągnęli go do lasu i rzucili jego trupa na pożarcie psom, wilkom i rosomakom.

Przez trzy dni od momentu swojego powrotu szaman z nikim nie rozmawiał. Dziś trzeba było jednak zacząć żebrać o jedzenie. Mięso zawieszane za namiotem już się skończyło.

Wstał i wyszedł na zewnątrz z małą torbą z łyka.

Zaczął od lewej strony.

Staął przed namiotem. Tupał, pokaszliwał, smarkał. Chciał wypowiedzieć zaklęcie, ale z lodowatym zdziwieniem stwierdził, że je zapomniał. Więc tylko mamrotał.

Szaman nie wiedział, który to już namiot z kolei. Ze środka było ciepło i zapach. Psy na podwórku wrywały sobie świeżo wyrzucone kości, które jeszcze dymiły na mrozie. Poszedł dalej. Z namiotu wybiegła Muszka i szybko podała mu świeże, ciepłe mięso. Była ubrana w czyste, nowe skóry. Po jej zaplecionych włosach poznał, że jest już zamężna.

Zeżarł mięso na zewnątrz jak pies. Naruszył tabu, ale nie myślał o tym. Poczłapał do lasu, żeby nazbierać chrustu.

Z namiotu naczelnika wybiegł jakiś młokos i pociągnawszy go bezceremonialnie, kazał przyjść do naczelnika.

Staął przy wejściowej zasłonie.

– A więc wróciłeś – powiedział naczelnik. – Nie myśl sobie, że nam na tobie zależy. Towarzysze z Urzędu Bezpieczeństwa obiecali, że Wielki Naczelnik i Wielki Szaman przyślą do nas wiosną nowego szamana. Zostało ci jednak coś do zrobienia. Przyjdź tutaj jutro rano, to rozkaz! Wreszcie zrobimy z tobą porządek. I, powiadam ci, nawet nie próbuj się opierać! Nie jesteś już wielki, szamanie!

Skorzystał z okazji, żeby pożyczyć siekierkę i poszedł do lasu.

Wieczorem po raz pierwszy od wielu tygodni rozpalił ogień.

Naczelnik chce go osądzić przed całym obozem. Było mu to obojętne, ale jednak się bał.

Rankiem zastanawiał się, co na siebie włożyć. Jego kostiumy obrzędowe zniknęły lub były w opłakanym stanie, porozrzucone po wszystkich kątach. Pewnie się tu włamało.

Zostawił sobie swoje dziurawe futro z mamuta, nawet go nie zdejmował.

Przed południem wywlekli go na zewnątrz.

Wszyscy myśliwi zgromadzili się wokół czaszki mamuta. Naczelnik popędził go porządnym kuksańcem, żeby na niej stanął.

Następnie naczelnik, podskakując i machając oszczepem, żeby szybciej nabrać wigoru, wykrzykiwał wszystkie oskarżenia.

Nie składał ofiar. Nie odprawiał rytuałów. Nie zachowywał tabu ani nie dbał o jego przestrzeganie w obozie. Deprawował młodzież, o czym wszystkim wiadomo. (Co dziwne, naczelnik nie odważył się wspomnieć o obrzędach w jarze. Była to tak wielka zbrodnia, że sam obawiał się jej magicznej siły). Chłwał. Zgwałcił wszystkie kobiety. Nie szanował Wielkiego Naczelnika i nie słuchał Wielkiego Szamana. Naczelnik dowiedział się o tym bezpośrednio od pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Nie jest godzien żyć dalej w obozie. Zasłużył na to, żeby go zjedzono. Ale kto by chciał tknąć wnętrzości takiego starego dziadka. Zabić go lub wygnać z obozu.

Szaman zdziwił się jednak, że tak łatwo się z tego wypłącze. Stał, patrząc na przemian na swoje palce wystające z butów i szeroką, zaśnieżoną równinę.

Została jeszcze jedna sprawa, którą musi się zająć, zanim przyślą do nich nowego szamana z Akademii Urzędu Bezpieczeństwa: musi zdemaskować Brodacza, który jest współwinny nieudanego jesiennego polowania.

Szamanowi serce stanęło w gardle. Urząd Bezpieczeństwa jednak o nim nie zapomniał.

Z grupy myśliwych wyłonił się związany Brodacz. Zapewne dostał już odpowiednią nauczkę – stanął przed nim wychudzony, w potarganym futrze, ledwo trzymając się na chromych nogach.

– Mów! – naczelnik rozkazał szamanowi.

Szaman miał sucho w ustach, przez co nie mógł się zrozumiale wysłować.

– Prawda jest taka, drodzy myśliwi, że za waszą porażkę odpowiadam tylko ja, ponieważ nie odprawiłem łowieckich rytuałów. Brodacz nie ma z tym nic wspólnego. Jego tabliczki były w porządku.

– Kłamiesz! – krzyknął naczelnik. – Mów prawdę albo cię zabiję!

– Powtórzę to, co już powiedziałem – odparł szaman i powtórzył swoje słowa.

– Łże kurwa jebana!

– Klnę się na najwyższe duchy, że nie kłamię – szaman odpowiedział głośno i podniósł prawą rękę.

– Kłamiesz! Urząd Bezpieczeństwa potwierdził winę Brodacza bez twojej pomocy! Poświadcz to!

– To nieprawda – odrzekł szaman.

– Dowalić mu! – ryknął naczelnik.

Na szamana spadł ze wszystkich stron grad kijów i ogromnych kości. Myśliwi byli dobrze przygotowani.

Po kilku uderzeniach w głowę szaman stracił równowagę i upadł. Podniósł rękę, chcąc coś powiedzieć.

– Mów! – rozkazał naczelnik.

– Tabliczki Brodacza były w porządku, to ja źle je zaczarowałem, bo się na nie wyszczałem – z trudem wy dobył z siebie szaman.

Tłum był całkowicie przerażony. Nawet naczelnik odskoczył od czaszki mamuta, żeby przypadkiem nie dotknąć czarnoksiężnika. Wydawało się, że już po wszystkim. Brodacz najwyraźniej ożył. Natychmiast rzucił w stronę szamana wiązanek niezrozumiałych pretensji.

– Nie wiercie mu! – krzyknął po raz ostatni naczelnik. – Wie, że to jego koniec, dlatego kłamie.

Kilku roślących myśliwych wystąpiło z tłumu i zważyło go na ziemię.

Tłukli szamana, podając go sobie z rąk do rąk jak szmacianą lalkę. Szaman czuł się coraz gorzej.

– Potwierdź jego winę! – naczelnik rozkazywał wrzaskiem, stojąc nad okładającym go tłumem.

– Musisz go oskarżyć, inaczej nieszczęście spadnie na cały obóz. Tak twierdzi Urząd Bezpieczeństwa. Nie zabijemy cię, bydlaku – będziesz bity przez cały miesiąc, póki go nie oskarżysz!

Gdy myśliwi pracujący nad szamanem zauważyli, że zemdlał, rzucili go na ziemię.

Polali go wodą. Szczali na niego i smarowali mu głowę odchodami.

Potem podnieśli go i znów zaczęli tłuc. Ostrożnie, żeby nie zabić, ale sprawić jak najwięcej bólu.

I znów przestali.

Szaman leżąc na ziemi, podniósł rękę.

– Mów! – krzyknął naczelnik. – Brodacz, jak ustalił Urząd Bezpieczeństwa, świadomie rysował wadliwe tabliczki! Potwierdź to!

– Brodacz... świadomie rysował... złe tabliczki... jak ustalił Urząd Bezpieczeństwa... – wydusił z siebie zachrypiałym głosem. Usłyszał to naczelnik i czterech myśliwych wokół niego. Jego słowa zostały powtórzone zwycięskim głosem wszystkim zgromadzonym.

Wyznaczeni wcześniej myśliwi rzucili się na Brodacza i poderżnęli mu gardło.

Wszyscy ścisnęli się wokół jego zwłok i zostawili szamana w spokoju.

– A jednak nie skapcianałeś doszczętnie. Zrobiłeś to – powiedział naczelnik i polecił dwóm młokosom, żeby odnieśli go do namiotu.

Zima zaatakowała silniej niż w ubiegłym roku. Ciągłe wichury przywiewały do obozu ogromne masy śniegu. Wokół osady utworzyły się wysokie zasy z nielicznymi, wydeptanymi ścieżkami w środku. Do namiotów, pokrytych śniegiem po sam czubek, wchodziło się jak do nory w ziemi.

Szaman leżał pod stosem skór, patrząc na sklepienie namiotu, gdzie kiedyś wisiały kępy ziół, grzybów i innych składników, z których gotował medykamenty. Czasem wrzucili mu do namiotu kawałek mięsa. Naczelnik rozkazał, żeby dostarczono mu drewna na opał. Nadal wszędzie leżał śnieg. Szaman nie odczuwał potrzeby regularnego podtrzymywania ognia. Rozpalał go, gdy musiał rozmrozić podrzuczone mięso.

Pewnego razu przyszli po niego, żeby odprawił wielki obrzęd inicjacyjny dla chłopców i dziewcząt, którzy mieli zostać w tym roku przyjęci do grona mężczyzn i kobiet. Zszył kostium z resztek skór – nie potrafił sobie przypomnieć, jak powinien dokładnie wyglądać. Gdy stanął się u naczelnika, żeby zaprowadził go do jaskini, wyglądał jak dziwoląg.

Zaraz po rozpoczęciu obrzędu szaman stwierdził, że nic nie pamięta.

Uderzał w bębenek, coś tam mamrotał, a nawet starał się tańczyć. Członkowie starszyny spoglądali na siebie zaniepokojeni. Czy taki obrzęd będzie miał w ogóle jakąś wartość?

Szaman patrzył na nich, becząc nieznanym głosem to, co, jak sądził, powinien zaśpiewać.

Dziewczeta i chłopcy, którzy nie mogli oczywiście ocenić, czy obrzęd został wykonany prawidłowo, tańczyli przed nim wokół pradawnej rzeźby spółkujących bizonów.

Chwilami w kręgu tańczących przed szamanem przewijała się Muszka. Opuściła głowę i nie patrzyła na niego.

Szaman bębnił i bębnił, marząc o zakończeniu obrzędu, aż wreszcie przestał. Stał utrudzony, ze zwieszonymi rękami, wśród starszyny i cierpliwie czekał, co się stanie.

Zażądali, żeby rozpoczął Wielkie Zaklęcia.

Wiedział, że trzeba do tego machać rękami, ale nie wiedział jak. Poza tym lewe ramię znów tak go rozboleło, że prawie nie mógł nim poruszyć. Machał zatem tak, jak potrafił, krzycząc przy tym niezrozumiale, jakby mówił językiem szamanów. Pocił się, ale tylko ze zmęczenia, a nie ze strachu, że odkryją jego niewiedzę. Przecież każdy widział to wyraźnie.

I znów wrócił do namiotu, żeby zakopać się pod stosem skór.

Przyszli jeszcze po niego, żeby odprawił rytuał przesilenia. Był to najważniejszy obrzęd w roku. Gdyby nie został przeprowadzony, słońce mogłoby nie wrócić na wiosnę. Tylko szaman był w stanie określić, kiedy nadejdzie ten dzień.

Posłusznie opuścił swój barłóg. Dali mu się najeść. Siedział przy blacie naczelnika, przeżuując powoli i milcząco resztką swych zębów. Uznali, że będzie najlepiej, jeśli przez kilka dni zostanie pod ich nadzorem. Miał obserwować niebo, którego oczywiście nie był w stanie dojrzeć ze swojej dziury.

Na pniakach wokół wielkiego drewnianego stołu siedzieli naczelnik i członkowie starszyny. Był zdziwiony ich wyglądem. Jakby nie pochodzili ze świata ludzi. Już wcześniej to zauważył, ale nie poświęcał zbyt wiele uwagi ludziom. Nawet gdy z nimi rozmawiał, patrzył gdzieś ponad ich głowy. Tylko kilka razy w życiu świadomie im się przyglądał.

Nie patrzył nawet na kobiety, które miał w młodości. Nie patrzył też na naczelników. Z uwagą spoglądał tylko na swojego nauczyciela, swoich uczniów, Kukułkę, Muszkę... i agentkę. Wyglądali jak ludzie. Tak jak on.

Teraz nie był pewny, jak wygląda. Pamiętał tylko, jak z przerażeniem macał orlimi szponami swoją głowę. Możliwe, że nadal je miał, chociaż mniejsze. Bał się sprawdzić.

Wszyscy wyglądali tak samo przerażająco: naczelnik, członkowie starszyny, gdzieś w tle kobiety naczelnika – wśród nich pewnie też ta, od której zaczęły się jego kłopoty – dzieci naczelnika, jego służący i psy.

Tylko przy wnikliwszym spojrzeniu mógł rozróżnić psy od ich panów. Właściciele wyglądali jeszcze bardziej nieludzko.

Pod powierzchownym wyglądem szaman dostrzegał wyraźnie ich oblicza.

Jeden wyglądał jak wiedźma, kłapał dziobem sterczącym z jego twarzy, drugi przypominał rosomaka, trzeci wyglądał jak wilk z przedłużonym językiem i wystającymi siekaczami. Ktoś inny był starym, wyliniałym królikiem z przekrwionymi oczami. Zobaczył jeszcze mysz, psa i nosorożca. Brakowało wśród nich tylko szlachetnych zwierząt: reniferów, mamutów czy orła.

Większość z nich, gdy bacznie się im przyglądał, wyglądała jeszcze gorzej. Były to kreatury zupełnie niepodobne do zwierząt: pociemniałe gęby, zrosnięte głowy, wrogie, kretyńskie oczka wetknięte w kupę mięsa, rozkwaszone wargi i nosy, szpetne kobiece brzuchy, ręce z króciutkimi, tłustymi paluchami, spłaszczone karki, wyżłobione czoła, do których można było wsadzić pięść; ciała tak zdeformowane, że żadne zwierzę nie przeżyłoby z nimi w naturze nawet roku – takie kształty nie zdarzały się po prostu wśród zwierząt. Te bebechy, gnaty i garść inteligencji podszytej podłością już dawno doprowadziłyby ich do zguby.

Szaman widział takie kształty podczas swoich podróży po innych światach. Częściowo byli to przed-ludzie, zazwyczaj jednak pochodzili z jeszcze dalszych światów złych podziemnych duchów, które starają się przeniknąć na ziemię i każdemu zaszkodzić – zwierzętom, roślinom, kamieniom, wodom i ludziom.

Zdawał sobie sprawę, że dzieci tych stworów są w stanie zniszczyć całą ziemię – od niewinnej wody i roślin, aż po świętą zwierzynę. Tej zimy nieprzyjemny wgląd w ich naturę tak go pociągał, że tylko z wielkim trudem się od nich uwolnił. Oczywiście nie wiedział, jak sam wygląda.

W ciągu kilku dni szaman ustalił dokładną datę przesilenia słonecznego. Naczelnik polecił przygotować wszystko, co potrzebne było do złożenia ofiar, w tym wybranego niemowlaka, który miał zostać zabity magicznym, owalnym kamieniem symbolizującym słońce i jego panowanie.

Szaman śpiewał, mamrotał i niemal mechanicznie podrzynał dziecku gardło.

Potem wynagrodzili go i puścili do domu. Nic już od niego nie chcieli.

4

Szaman leżał w swoim namiocie i rozmyślał. Szło mu to niezwykle wolno.

Dlaczego dalej tak wegetuje?

Jakaś mgła przesłaniała wszystko w jego głowie i tylko czasami na moment ustępowała. Wynurzały się z niej fragmenty jeszcze nieskomponowanych pieśni:

*Od początku nie ma
życia ani śmierci
Myśl odchodzi i zostaje
W przyszłym życiu w kolejnym życiu
będę samym sobą
i nie samym sobą
tak jak jestem tutaj.*

Nie dbał o to, jakie miały znaczenie. Przyjemnie się mu nuciło w myślach.

Mijały tygodnie, a szaman niezmiennie dziwił się, dlaczego nadal tak wegetuje. Najprościej byłoby to zakończyć. Dlaczego zatem się wstrzymywał?

Zastanawiał się: czy na tym właśnie polega ponoszenie odpowiedzialności?

Jeśli tak, to zupełnie inaczej to sobie wyobrażał. Wierzył, że będzie uroczyście i z uprawnioną dumą głosił swoje poznanie, a w jego blasku roztopią się wszystkie zmartwienia i uczynki.

Teraz całe uniwersum i przed-ludzcy ludzie dali mu do zrozumienia, że nie może przekazać żadnego poznania – nie ma do tego prawa.

Nie czuł wstydu, goryczy ani bólu. Czuł jedynie, że nie ma do tego prawa. Tak, dane mu było poznać rzeczywistość, ale nie miał prawa o tym mówić.

*Odejść – dokąd?
Zostać – gdzie?
Czym jest poznanie
które zawrę w słowach?
Przecież wszystko przenika
Rosa mleczna droga
księżyc co się zmienia.*

Może ma zostać tylko niemym świadkiem tego, co jest – lub było – jego poznaniami?

Ale jakże mam być świadectwem poznania? Czemu mam zaświadczyć?

Ech... niech Bóg sam zdecyduje.

Czasami czuł, jak wzbierały w nim nieznanne siły. Choć był potępiony, powinien wyrwać się i mówić. Milczenie do niego nie pasowało! Bóg chce zostać odkryty!

Potem pomyślał, że może znajduje się w jednym z tych „głuchych miejsc”, z którymi komunikacja w poznanych przez niego światach nie jest możliwa. Sam był teraz w jego wnętrzu i nie mógł przeniknąć na zewnątrz – do świata, w którym nadal żył i żyje.

Do jakże zadziwiającego końca doprowadził swoje poznanie!

I nie ma prawa o nim mówić. Tylko to wiedział. Przegrał.

5

Po długiej zimie, w czasie której cała osada zamarzała na kość, a martwych dzieci i starców było więcej, niż wilki były w stanie zezreć, odrodziła się wiara w to, że wreszcie nadejdzie wiosna.

Ogromne zaspy śniegu roztapiały się w słońcu. Szaman rozsunał płachtę swojego namiotu i rozkaszał się. Choć zbliżało się południe, wciąż utrzymywał się nocny przymrozek, którego przenikliwy chłód drażnił jego oskrzela. Zmęczony i zniechęcony rozejrzał się po obozie. Zmarniał jeszcze bardziej niż rok temu. Był wyniszczony i zgarbiony, a wiszące na nim skóry przypominały szmaty.

Pociągnął nosem. Wiatr niósł z południa zapach wielkich roztopów. Już wkrótce, gdy szlaki się udrożnią, Urząd Bezpieczeństwa wyśle do obozu nowego szamana. Potrzebują go.

Jego kara polegała na tym, że nie zamierzali go zabić. Przypomniawsobiesobieniewiarygodnegostarca, którego wiosną ubiegłegoroku wygrzebał na śmietniku za namiotem naczelnika pod stosem połamanych mamucich łopatek, gdzie latami się ukrywał, ogryzając przegniłe kości. Wygrzebał go, żeby został zgładzony jako wróg obozu w czasie obrzędów łowieckich. Jeszcze podziękuje, jeśli czas będzie dla niego łaskawy.

Poszedł na skraj lasu, żeby zedrzeć nożem porosty i korę z młodych drzewek. Gdy się najadł, zniknął znowu w swoim namiocie.

Przedwiośnie wyciągnęło ludzi z namiotów. Szaman słyszał ich na placu. Leżał, żeby strawić ciężki obiad i nie tracić niepotrzebnie energii. Dzień mijał powoli. Nadszedł wieczór, a po nim noc.

Szaman drzemał.

Nagle między dwoma kawałkami skóry w namiocie pojawiła się szczelina. Obcy głos cicho coś zaszeptał.

Szaman natychmiast się obudził i oparł na łokciu. Przez szparę można było dojrzeć jasne niebo z szybko przelatującymi pod księżycem chmurami.

Głos znowu się oderwał, a szpara pociemniała od czyjejś twarzy zaglądającej do środka.

– Spisz?

– Nie.

– Pamiętasz mnie?

– Tak.

– Przygotowałbyś dla nas rytuał?

Szaman myślał, że śni o dawnych wiosnach. Nie mógł od razu zdecydować, czy to jawa.

Pytanie zostało powtórzone jeszcze dyskretniej.

Szaman założył, że to jawa i odparł:

– Kiedy?

– Jutro będzie pełnia.

- W tym samym miejscu?
- W tym samym miejscu.
- Zajmijcie się psami, w tym roku nie pomogę...
- Załatwione. Ale nie mam nic dla ciebie, głodujemy.
- Wiem – odparł czule szaman – przecież wiem.

Szczelina się zamknęła.

Szaman położył się z powrotem i milcząc, patrzył w nieprzeniknioną ciemność.

XIII. Pieśni ostatniego roku

1

*To nie jutro ale szmaty
w których tutaj błotem brodzę
o obgryzioną króliczą nogę
zebrzę i duszę hańbię srodze*

*W głowę mi rzucą renifera kość
i jeszcze chcą błogosławieństwa
ta bydła zgraja wcale się nie boi
pogromu za swoje błazeństwa*

*Niewiele chyba jestem wart
skoro pozwalam im uniknąć kary
Że lepsze rzeczy do roboty mam
dla głupców to nie do wiary*

*Młoda i piękna była
to dziewczyna, żadna już jej nie dorówna
tak piękna była i młoda*

*Rznąłem ją drząc o swe życie
pewnie chciała mnie zabić
lecz to ja ją zabiłem*

*Ach nie zabiłem bo nie miałem odwagi
wstrętna funkcjonariuszka
psy mną mogła karmić*

*Nad wygasłym ogniem w ciemności siedziałem
Jakże ohydnyim życiem obdarowałaś mnie Panie
skoro każdy mógł mną psy nakarmić*

*Widziałem Panią Reniferów
kopytami krzesła słoneczne promienie
wznosiła się nad ziemię
Pani Reniferów smukła i giętka jak łuk
przemierzała lodowe równiny
Pani Śniegu*

*Widziałem ją w noc pełną mgieł
nad mym namiotem
Sunęła słonecznym promieniem
na północ na północ
ku Gwieździe Polarnej*

*Więc widziałem dziewczynę
Panią Reniferów która na chwilę do nas zstąpiła
Szła po słonecznym promieniu
w deszczowy dzień
odchodziła i powracała równie wielka*

*Równie wielka
bo choć odchodziła
nasze dusze zostawały przy niej
nasze dusze zabierała ze sobą
ku swemu pięknu*

*U mych stóp
pluskają się dzieci
To nasze dzieci
Jak się bawiły dzieci ludzi lodu?
Rozpaczały i lamentowały
wiedząc że ich ród zaginie?
A może były jak niewinne szczenięta
które głupieją mimo
że jutro utopimy je w rzece?
Lepiej jest widzieć
czy pozostać ślepym?
Kiedy przeminie świat dzieci waszych dzieci?
Raczej nie w tym roku
Ale kiedyś na pewno...*

*Zmrok wszystko zakrył
przed moim namiotem
nie bawią się dzieci*

*Zaświeciły gwiazdy
noc będzie jasna
a sen nie nadejdzie*

*Niebiańskie zwierzęta
na nieboskłonie będą
cicho zerkać*

*Biegają po jaskini —
tysiące zwierząt
dawnych epok
Siedzę przed obrazem
Ledwie dyszę w ciemności*

*Czy w tamtych czasach
człowiek żył w zgodzie
ze świętą zwierzyną
i z sobą samym?*

*Nie wrócą się... nie powrócą...
będzie przybywać mordów
świętej zwierzyny i nas samych?*

*Mylili się starożytni uczeni
wierząc w nastanie bezklasowego
społeczeństwa?*

*Już wkrótce
stanie się zbędny nawet Urząd Bezpieczeństwa
Tak zdurniejemy
że pogrążymy się sami*

*O Totku i Lotku
lub najwyżej o futbolu
rozprawiają myśliwi*

*Dni wloką się leniwie
powoli do grobu
tą drogą zmierzają*

*Nawet piorun nie trzaśnie
w to bydło Wszystko
o nich zapomniało*

1

*Utraty i zguby
poznania naszego
boimy się tylko
gdy znikąd nadziei*

2

*Jakże dziecinnie
dbać o swój los – !
Równie dziecinnie
otaczać troską
los swego poznania.*

3

*Jaki los je czeka
mądry człowiek nie wie
Wszystko trwa w terażniejszości
i nigdy nie zanika
i rozpaczy nie sieje*

9

*Co raz poznane
nie może zaginąć
nieprzekazane*

*Gwarancją tego
jest już samo poznanie*

*Gdy już nadejdzie
nie opuszcza ludzi
Objawia się ciągle
powstaje*

*Kukułka mi umarł
nie tak dawno temu
Zeżarły go psy*

*Ledwo zdania klecił
na gwiazdach się nie znał
niemał gówna wiedział*

*Że prawda nie
przemienie wiedział
choć wyrazić nie umiał*

6-19 marca 1976 r.